

Zesłaniec, według *Słownika języka polskiego*, Warszawa 1981, to “człowiek skazany na zesłanie, przebywający na zesłaniu”, zesłanie natomiast to “kara polegająca na skierowaniu skazanego do odległej miejscowości na przymusowy pobyt; zsyłka, deportacja”. W te właśnie pojęcia wpisuje się nazwa naszego kwartalnika poświęconego zesłaniom i deportacjom Polaków na Syberię. Od czterech wieków są one częścią bliskiej nam narodowej martyrologii, a publikowane na łamach “Zesłańca” artykuły w sposób istotny wzbogacają obraz tego męczeństwa i postrzegania go w szerszym kontekście polskości za Uralem, zarówno w dziedzinie nauki oraz w działalności cywilizacyjnej i gospodarczej.

Tak więc związki polsko-syberyjskie to zagadnienie mające wiele kontekstów historycznych, kulturowych, gospodarczych i politycznych. Zdaje się, że w tym wypadku możemy mówić o liczących się opracowaniach z tego zakresu publikowanych na łamach “Zesłańca”, których autorami są zarówno historycy krajowi jak i z Federacji Rosyjskiej, zwłaszcza z jej syberyjskiej części mający dostęp do przebogaty archiwów w Czycie, Irkucku, Jakucku czy Tomsku. Dzięki temu wprowadza się do badań naukowych wiele cennych, nieznanych dotąd materiałów poszerzających wiedzę o dziejach Polaków na Syberii, przekazy o niezwyklej doniosłości zawarte w urzędowych zapiskach carskich urzędników. Ceniśmy tę szczodrość autorów z Rosji zainteresowanych publikowaniem u nas artykułów związanych z różnymi aspektami kontaktów polsko-syberyjskich. Ogromne to merytoryczne osiągnięcie zespołu redakcyjnego, któremu udało się nawiązać stałą formę współpracy z historykami rosyjskimi, posiadającymi nieraz polskie korzenie. Konsekwencją tego jest pojawianie się coraz to ciekawszych tekstów o zróżnicowanym bogactwie faktograficznym związanym z polską obecnością za Uralem. Tak więc idąc tym śladem podążamy także do opisu jakże jeszcze niedawnych doświadczeń zesłańczych z okresu drugiej wojny światowej oraz z pierwszych lat po jej zakończeniu. W efekcie tych publikacji powstaje złożony obraz losu licznych pokoleń naszych rodaków związanych z syberyjską martyrologią.

Przypominając ten poniewolny wątek część artykułową “Zesłańca” otwiera artykuł dr. A. Lenkiewicza poświęcony Konfederacji Barskiej, której przypadająca w tym roku 240-ta rocznica przeszła jakoś bez echa w narodowej pamięci i krajowych mediach. Niech więc ten skromny tekst poświęcony temu ważnemu wydarzeniu w naszej historii będzie formą spłaty długu zapomnienia o Konfederacji, a zarazem formą hołdu złożonego jej bohaterom, których około 15 tysięcy zesłanych zostało na Syberię. Podążając tym tropem pamięci S. Mulina z Omska pisze o uczestnikach Powstania Styczniowego na Syberii oraz problemach ich adaptacji, zaś historycy z Tomsku zadali sobie trud przedstawienia życia społecznego i kulturalnego polskiej diaspory w guberni tomskiej w latach 1893-1919. Spraw niedawnej naszej przeszłości na Syberii dotyczą artykuły A. Dobrońskiego, G. Skrukwy oraz E. Jackowskiej, mówiący o psychicznych śladach cierpień, dający każdemu z nas sybiraków powód do głębszych refleksji i przemyśleń. Jak zwykle interesujące są tu relacje z zesłania, tym razem zestawiające obraz Kazachstanu w opisach zesłańcy z XIX wieku i autorki przybywającej w tym kraju w okresie drugiej wojny światowej. Tak więc tradycyjnie już teksty publikowane także w tym numerze “Zesłańca” są wielowątkowe. Polecam Czytelnikom wspomnienia Romany Łukasik, której wygnańczy szlak rozpoczął się w Krakowie i prowadził ją przez Algierię, Włochy oraz Wielką Brytanię oraz inne teksty zamieszczone w dziale “Kronika” i recenzje.

Tradycyjnie już dziękujemy Autorom za trud poniesiony dla utrwalenia pamięci o losach sybiraków. Jednocześnie prosimy Czytelników o przysyłanie tekstów do druku i finansowe wspieranie “Zesłańca”, a tym którzy już to uczynili składam serdeczne podziękowanie. Innych zachęcam do przeczytania naszego “Apelu” zamieszczonego na stronie trzeciej okładki i nie pozostawienie go bez echa!

ANTONI LENKIEWICZ

**KONFEDERACJA BARSKA (1768)
PO 240 LATACH**

Wydłużali drogę carscy kaci
Przez Syberię wiódł najkrótszy szlak
I w kajdanach szli Konfederaci
Mogilami znacząc polski trakt...

M. Jonkajtys, *Marsz Sybiraków*

Wielu historyków uważa, że to, co działo się po śmierci króla Jana III Sobieskiego (1696 r.), w sposób nieuchronny prowadziło Polskę do utraty niepodległości. Czy rzeczywiście w sposób nieuchronny? Determinizm samej tezy i jej najprzeróżniejszych interpretacji podszyty jest dosyć ewidentnymi fałszami. Jednym z nich jest twierdzenie, że powszechne w Rzeczypospolitej było przekonanie, że „Polska nierządem stoi”.

Ci, którzy powołują się na to „przekonanie”, nie wiedzą lub niewiedzę udają, że hasło to miało zupełnie inne znaczenie i sens. Prawdą jest jedynie to, że w zderzeniu z militarną siłą despotycznie rządzonej Rosji i Prus, nadzieje politycznej samorządności z lekceważeniem władzy centralnej, wyrażane w tym hasle, okazały się nierealne i nieskuteczne, wobec absolutystycznie rządzonych państw, które z Rzeczpospolitą sąsiadowały.

Wypracowane na podstawie wielowiekowych już doświadczeń przekonanie szlachty, że władza centralna ma w państwie drugorzędne znaczenie, że ważniejsza od rządu i jego zmartwień (czy i jak się wyżywi!), jest świadomość posiadanych praw i powszechna wola ich obrony, było błędem możliwym do naprawienia.

Inne szatany były wówczas czynne! – saskie ostatki

Cały 66-letni okres – od 1697 do 1763 r. – gdy Polską rządili Sasi (August II i August III) rezydujący w Dreźnie, był czasem rosnącej w Polsce dominacji rosyjskiej, realizowanej przez cara Piotra I. Po śmierci Augusta III Sasa „Familia Czartoryskich”, która stanowiła coś w rodzaju „partii politycznej”, propagowała hasła dosyć radykalnych reform i zerwania z cudzoziemcami na polskim tronie. Hasła były słuszne i trafiały

do przekonania większości szlachty, ale zasadniczy błąd „Familii” polegał na tym, że reformy chciała przeprowadzić przy pomocy Rosji.

Marek Jandołowicz, karmelita, „prorok” konfederatów barskich.
Wg W. Konopczyński, *Konfederacja Barska*, Warszawa 1991.

Stanisław August Poniatowski.

Wg W. Konopczyński, *Konfederacja Barska*, Warszawa 1991.

W efekcie tej „pomocy”, która była brutalną interwencją wojsk rosyjskich, na polskim tronie zasiadł Stanisław August Poniatowski, a fak-

tyczną władzę objął ambasador rosyjski – Nikołaj Repnin (1734-1801). Nawet „Familia”, która chciała wcześniej rosyjskiej pomocy, zaczęła domagać się usunięcia z terenów państwa wojsk rosyjskich. W odpowiedzi na to, Rosja i Prusy wysunęły żądanie przyznania innowiercom prawa do obejmowania wszystkich urzędów państwowych.

14 sierpnia 1767 r. Nikołaj Repnin, w obecności króla i kilku osób oświadczył z właściwym sobie cynizmem: „Stanę na sejmie w 15 tysięcy wojska i wszyscy będą musieli głosować jak każę”. Na to bezczelne oświadczenie nie zareagował król, ale odezwał się Józef Pułaski (ojciec Kazimierza): „Niech stanie i sto tysięcy. Naród wolny krew przeleje. Nasze stare, z XIII wieku pochodzące zawołanie głosi, że należy raczej dom spalić i z bronią po lasach się poniewierać, niżli samowładnej mocy się poddać”.

Zastraszyc opozycję

Jednym z głównych przywódców niepodległościowych opozycji był biskup krakowski – Kajetan Sołtyk. Instrukcja rosyjskiego ambasadora pouczała: „[...] gdy ów pierwszy i główny buntownik uśmierzon zostanie, to zaraz stulą uszy jego naśladowcy [...] Trzeba ogłosić nuncjusza, jako sprawcę niepokojów oraz intryganta i wydalić z Polski, a papieżowi ujmującemu się za katolikami zagrozić, że my wskutek postępów jego, możemy się posunąć aż do ustanowienia w Polsce hierarchii niezależnej”.

Biskup K. Sołtyk, który poinformowany został o treści instrukcji N. Repnina, pisał: „Zło, które mnie spotyka, przyniesie korzyść krajowi, nadając legalność temu co rozum czynić dyktuje”.

W nocy 13 października 1767 r. żołdacy rosyjscy przemocą wdarli się do mieszkania marszałka Mniszcha i wywlekli do kibitki biskupa K. Sołtyka. Tej samej nocy porwano hetmana Wacława Rzewuskiego z synem oraz biskupa kijowskiego – Józefa Załuskiego. Akcja miała zdeorganizować i zastraszyć opozycję, ale efekty okazały się odwrotne do zamierzeń.

W połowie stycznia 1768 r. w klasztorze Ojców Bernardynów we Lwowie odbyło się zgromadzenie, na którym powołano Związek Kawalerów Krzyża Świętego. Cały aktyw Konfederacji Barskiej stanowili później członkowie tego Związku.

Akt w Barze

W końcu lutego 1768 r. małe miasteczko Bar, na rosyjsko-tureckim pograniczu Rzeczypospolitej, zaroiło się koźmi i zdecydowaną na podjęcie walki z wojskami rosyjskimi młodzieżą szlachecką. Nic przeto dziwnego, że 29 lutego, w tamtejszym klasztorze Ojców Karmelitów, którego przeorem był ksiądz Marek Jandołowicz (1713-1804), zaprzysiężono i ogłoszono uroczyście akt konfederacji, który stwierdzał „Wszem, wobec i każdemu z osobna wiadomym się czyni, że rody, dygnitarze, szlachta i

obywatele gromadzą się na ratunek pohańbionej Ojczyzny, wiary, wolności praw oraz swobód narodowych”.

Kazimierz Pułaski.

Wg W. Konopczyński, *Konfederacja Barska*, Warszawa 1991.

Sens i zakres rozpoczętej w Barze walki, najzwyczajniej ujął rosyjski generał – Kretecznikow, który w swoim „Dzienniku” zapisał: „Postanowili, aby wszyscy panowie szlachta, jeśli im wiara i wolność miła, siedli na koń pospolitym ruszeniem dla obrony kraju, aby przyłączyli do konfederacji nadworne wojska swoje i z każdych 10 dymów włościan dali po jednym żołnierzowi”.

W dniu 4 marca 1769 r. powołany został Związek Wojskowy Konfederacji. Do narodów, papieża Klemensa XIII, do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, do Wielkiego Wezyra i Sułtana, do Katarzyny II Carycy Wszechrosji – rozesłano listy, manifesty oraz uniwersały, opieczetowane orłem z krzyżem na piersiach, z dwoma pałaszami w szponach i napisem: „Aut vincere, aut mori!” (Albo zwyciężyć, albo umrzeć!). Ustalono, że działania konfederacji będą na razie ograniczone do aktów o znaczeniu propagandowym, do mobilizowania wojska, obsadzenia zamków oraz do ściągania do nich dział i amunicji.

Roznieść szeroko ogniska konfederacji, a gdy zadzwonią podkowy sprzymierzonych Turków, którzy zaatakują Rosję, ruszyć całą siłą wiary i zapału, aby wypędzić wojska rosyjskie z granic Rzeczypospolitej – tak streścić można cele Konfederacji Barskiej. Nie jest prawdą, że konfederaci sprzeciwiali się reformom politycznym, że przesiąknięci byli duchem fanatyzmu religijnego i anarchii. Świadczy o tym między innymi również to, że w dobrze pojętym interesie obrony polskiej niepodległości, przywódcy konfederacji działali w sojuszu z mahometańską Turcją.

„Ani połknąć, ani strawić”

W długich, bo ponad trzy wieki trwających zmaganiach Polski z „rosyjskim parciem na Zachód”, Konfederacja Barska była pierwszym, najdłuższym (4 lata) i najbliższym zwycięstwa – niepodległościowym powstaniem. Rosja zrozumiała w tym czasie, że sama Polski ani „połknąć” ani „strawić” nie jest w stanie i dla swoich zaborczych zamiarów znaleźć musi silnych sojuszników. Jest zasadą w polityce, że sojusze zawierają słabi przeciwko mocnym. Należy więc przyjąć, że Rzeczpospolita nie była aż tak słaba, jak to się twierdzi, skoro musiały się przeciwko niej sprzymierzyć aż 3 wielkie państwa.

Warto przy tej okazji uświadomić sobie, że Rosja od wieków była mistrzynią w operowaniu szantażem i intrygą, a także i to, że już w wieku XVIII miała na swoich usługach niemały zastęp tyleż mądrych, co przekupnych intelektualistów Zachodu. Najbardziej odrażającym przykładem był Wolter, głoszący w podzięce za kosztowne prezenty carycy (futra i brylanty), że „Semiramida Północy wysłała 50 tysięcy wojska do Polski, aby wprowadzić tam tolerancję i wolność sumienia”.

Skuteczną intrygą przeciw Konfederacji Barskiej, w którą uwierzyła niestety większość ówczesnych obywateli Rzeczypospolitej, był rzekomy zamach konfederatów na króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jako inspiratora tego zamachu, skazanego później na śmierć, upatrzone sobie Kazimierza Pułaskiego, który kandydował w tym czasie na stanowisko naczelnego wodza wojsk konfederackich.

Nie przedstawiając w tym miejscu bardziej szczegółowych argumentów, należy ubolewać nie nad brakiem ofiarności Polaków w walce o prawa i wolności, lecz nad zdradziecką postawą Stanisława Augusta Poniatowskiego i tych, którzy go wspierali w realizowaniu „moskiewskich kruczków”, wobec których przodkowie nasi okazywali się bezbronni, gdyż postępowali zgodnie z zasadą „każdy sędzi według siebie”.

Maurycy August Beniowski, konfederat barski zesłany na Kamczatkę.

W zaklętym kręgu zafalszowanych ocen

Ani król Stanisław August Poniatowski, ani jego rosyjscy mocodawcy nie brzydzili się kłamstwem. Nie z nimi, ale z konfederatami solidaryzowało się 3/4 mieszkańców Rzeczypospolitej, a mimo to większość uwierzyła w oficjalną wersję zamachu na króla. Fikcję „zamachu” opisałem w książce o Pułaskim, a tu przypomnę tylko starożytną mądrość: „Is facit, cui prodest” (Ten czyni, kto ma korzyść).

Caryca, która pertraktowała już z dworami w sprawie rozbioru „pogrożonej w anarchii Rzeczypospolitej”, miała nowy i bardzo mocny argument. Mogła odwoływać się do solidarności ludzi zasiadających na tronach. Prowokacja okazała się bronią skuteczniejszą od kilkudziesięciotysięcznych korpusów rosyjskiego wojska. Fryderyk Pruski, Józef II i Maria II Teresa, równie stanowczo jak Katarzyna II opowiedzieli się w obronie króla „Ciołka”. Ludwik XV wstrzymał w związku z tym „skandalem” pomoc w walkach, których celem było usunięcie z Polski wojsk rosyjskich.

„Konfederacja Barska spowodowała I rozbiór Rzeczypospolitej” – takie oceny powtarzane są aż nazbyt często i naiwnie. A co o Konfederacji Barskiej napisał Norman Davies, który nie bez podstaw uchodzi na historyka przedstawiającego nasze dzieje bez uprzedzeń?

„W r. 1768 reperkusje brutalności Rosjan wobec Rzeczypospolitej nabrały gwałtownego rozmachu. 29 lutego zebrane w Barze konsorcjum rozczarowanej szlachty zawiązało pod wodzą marszałków Michała Krasieńskiego i Józefa Pułaskiego nową konfederację, z udziałem członków rodu Potockich, Sapiechów i Krasieńskich. Rozpoczęli wojnę, której Rosjanie nie byli w stanie stłumić przez blisko cztery lata. Stworzyli takie ideały i rozbudzili takie wątpliwości wobec podstawowych pryncypiów, jakich nie znano od dziesiątków lat; one to właśnie miały stać się punktem wyjścia dla współczesnego nacjonalizmu polskiego”. (*Boże igrzysko*, Kraków 1987, t. 1, s. 680).

Gdyby w Polsce istniała bardziej powszechna wiedza na temat Konfederacji Barskiej, N. Davies musiałby przyznać, że to co nazwał „nacjonalizmem” było po prostu PATRIOTYZMEM.

SWIETŁANA A. MULINA

UCZESTNICY POWSTANIA STYCZNIOWEGO NA SYBERII – PROBLEMY ADAPTACJI

Po powstaniu styczniowym zesłano na Syberię około 40 tysięcy Polaków, nadal jednak szacunki te nie są dokładne. Ich adaptacja do nowych warunków życia zależała od wielu czynników, a ważną rolę odgrywało ich nastawienie do warunków społeczno-kulturowych na Syberii i jej mieszkańców. Wszystko to miało wpływ na kształtowanie się postaw tych nowych przybyszów na Syberię, określało charakter wzajemnych stosunków między zesłańcami a przyjmującym ich społeczeństwem.

Opisując wpływ zesłańców na proces ich adaptacji, należy przede wszystkim przedstawić wyznawane przez nich normy wartości. Wśród tych czynników U. Sefren wyróżnił pamięć lub pielęgnowanie mitu o ojczyźnie, oddanie sprawie poparcia dla ojczyzny lub jej odrodzenia, solidarność grupową, przekonanie, że nie zostaną oni w pełni zaakceptowani w nowym kraju i wiarę w powrót do kraju ojczystego.¹ Ten zestaw, rzec można wewnętrznych ograniczeń, stojących na przeszkodzie asymilacji, można zaobserwować wśród zesłanych Polaków. W literaturze jest on częściej traktowany jako ograniczenie szlacheckiej ideologii w podejściu do ojczyzny² lub jak „swoista niepodległościowa mentalność Polaków”, której główne cechy to nadzieja i obawa.³ Wszyscy zesłańcy mieli nadzieję na powrót do kraju, a Syberię traktowali jak „tymczasowy przystanek, jeden z chwilowych postojów w ich życiu”.⁴ Porównując się do jeńców wojennych powstańcy zakładali, że po zakończeniu powstańczych

¹ W.A. Tiszkow, *Istoriczeskij fienomien diaspory*, „Etnograficzskoje obozrenije”, 2000, nr 2, s. 43-63.

² B.S. Szostakowicz, *Polaki w Sibiri w 1870-1890-je gody (iz istorii ruskko-pol-skich odnoszenij w XIX wiekie)*, autoreferat pracy doktorskiej, Irkutsk 1974, s. 27.

³ N.N. Diakonowa, J.N. Jermołajewa, *Polaki w jakutskoj ssyłkie (psichomientalnyj aspekt problemy)*, [w:] *Rossija i Polska: Istoriko-kulturnyje kontakty (sibirskij fienomien)*, Nowosibirsk 2001, s. 47.

⁴ GU GAOO, f. 3, op. 4, d. 5727, l. 19v-20.

niepokojów powrócą do kraju.⁵ Religijnie nastawieni Polacy wierzyli w mające nastąpić „odpuszczenie grzechów”.⁶ Nadzieje na powrót rosły równoległe z pojawianiem się rządowych przepisów o złagodzeniu rygoru dla tej czy innej kategorii zesłańców. Na przykład administracja Wschodniej Syberii zauważała, że po decyzji carskiej z 17/25 maja 1867 roku Polacy „zaczęli mniej aktywnie zajmować się prowadzeniem swoich gospodarstw”.⁷ Niektórzy zesłańcy sprzedali lub porzucili dzierżawione przez siebie gospodarstwa. Oczekiwanie na amnestię nasilało się przed ważnymi wydarzeniami w rodzinie carskiej. Oto np. nieznany informator donosił, że 8 listopada 1866 roku, w dniu planowanego ślubu następcy tronu, Polaków czeka amnestia a jeśli Jego Cesarska Mość nie okaże łaski, to Polacy zamierzają wywołać powstanie, podobne do tego nad Bajkałem. Władze nie znalazły dowodów na zawiązany spisek, ale istotnie odnotowano oczekiwanie Polaków na kolejne złagodzenie rygorów.⁸ Tego typu nastroje miały negatywny wpływ na proces integracji. Polacy niechętnie pobierali zasiłki na urządzenie domów, obawiając się, że stanie się to przeszkodą w ich powrocie do kraju.⁹ W 1868 roku w okręgu omskim, tomskim i mariińskim zasiłek na urządzenie domu wzięło tylko 38 % osiedlonych zesłańców.¹⁰

Myślenie o ojczyźnie stanowiło podstawę bytu Polaków na Syberii. Zesłańca M. Żaba pisał z Kurganu:

Teraźniejszość nie ma w sobie nic pocieszającego, przyszłość jest pochmurna, nieładna, nieodgadniona, dlatego myśli i serce skłaniają się ku wspomnieniom. Przyznaję, że dziwny wydaje mi się widok młodzieńców, którzy zamiast myśleć o przyszłości, co jest naturalne dla młodego serca i umysłu, pogrzebali się w przeszłości i stali się prawie starcami, którzy przeżyli swoje życie i nie widzą przed sobą nic oprócz nudnej mogiły.¹¹

Zesłańcy nazywali siebie „więźniami” i „wygnańcami”, „biednymi tułaczami”.¹² Ale „choć Polak, biedne dziecko, tuła się po całym świecie, zbierze się w jednym miejscu i z pewnością powróci do ojczyzny”.¹³ Szcze-

⁵ L. Pantielejew, *Iz proszlogo polskoj ssylki w Sibiri*, „Sibirskije woprosy”, 1910, nr 5, s. 16.

⁶ M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928, s. 400.

⁷ GAIO, f. 24, op. 3, d. 28 a, b, w, l. 152v-153.

⁸ GU GAOO, f. 3, op. 13, d. 18498.

⁹ K. Borowski, *Na obcym chlebie*, [w:] A. Kuczyński, *Syberia. 400 lat polskiej diaspory*, Wrocław 1998, s. 197.

¹⁰ Procent obliczony przez autorkę na podstawie danych statystycznych i spisów imiennych – GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7883, l. 10-11, 150-157; d. 8960.

¹¹ M. Żaba do rodziców, Kurgan, 20 września 1864 r. (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 516v-517).

¹² Określenia te spotyka się w tłumaczeniach polskich wierszy adresowanych do „członków towarzystwa wzajemnej pomocy”, podpisanych słowem *skitalec* i datowanych 10 listopada 1864 roku. Wiersze zostały odebrane M. Żabie. Ich autorem jest prawdopodobnie Tomasz Zan zesłany do Orenburga.

¹³ Są to słowa pieśni pt. „Obertas”. Odebrano jej zapis w. Turobojskiemu. Cytowane zgodnie z tłumaczeniem wykonanym przez policję (GU GAOO, f. 3, op. 13, d. 18502, l. 81).

gólnie wyraźne jest postrzeganie siebie przez członków polskiej diaspory w duchu mitu „syna marnotrawnego”, podkreślanie trudów ciągłych przesiedleń i wyrażanie nadziei na powrót do ojczyzny¹⁴. „Syndrom diasporalny” zaostroszony przez upadek powstania 1863 roku miał nasilać poczucie ofiarności, a przykłady wygnania i tułaczki konsolidować wspólnotę etniczną. „Kompleks cierpiętника” spowodował rozpowszechnienie wśród zesłańców nastrojów pesymistycznych i apatii. M. Żaba pisał:

Charakter [...] mój bardzo się zmienił. Stałem się mniej wesoły, mniej chętny do wysiłku umysłowego, który mnie męczy, [...] wszyscy moi towarzysze doświadczyli tej samej (jeśli można tak się wyrazić) niemocy moralnej – mało co nas zajmuje, żadne zajęcie nie pochłania naszych myśli, stale na coś czekamy.¹⁵

Jego brat Kacper, który odbywał karę w miejscowości Wierchoturje, opisuje podobne uczucia:

Zmieniłem się nie do poznania, zrobiłem się cichy, flegmatyczny, nic mnie nie cieszy. [...] Nikomu nie wierzę, przed nikim nie otwieram swojego serca, jestem zamknięty w sobie, patrzę na wszystko z ironicznym uśmiechem, który prawie zawsze jest na mojej twarzy – nikt nie może dotrzeć w głąb mojego serca. Na wszystko patrzę obojętnie, słucham, co mówią, ale sam milczę.¹⁶

Coś wyjątkowego, właściwego wszystkim zesłańcom politycznym, jakąś wspólną dla wszystkich cechą zauważali również przedstawiciele miejscowej administracji¹⁷. Polacy – jak pisał ich rodak, tobolski gubernator A. I. Despot-Zenowicz – „mimo woli zamykają się w sobie i stwarzają sobie jakiś nierealny świat, sztuczne środowisko, stanowiące anomalie w życiu społecznym.”¹⁸ Na Syberii Polacy czują się jak obcy element. „Dostanie się do tutejszego towarzystwa jest dla nas nie do pomyślenia. Jesteśmy zupełnie obcy wśród tutejszych mieszkańców” – zauważał M. Żaba¹⁹. „Jesteśmy obcy w tym kraju” – powtarzał J. Szaltanis.²⁰ Polacy stale podkreślali dystans kulturowy między nimi a miejscowymi mieszkańcami, a wspomniany już M. Żaba ironizował:

Kierowany ciekawością [...] poszedłem do spichlerza, przekształconego w teatr i zaręczam wam, że dobrze bym się wyspał, gdyby nie budziły mnie krzyki aktorów na scenie.²¹

Inny powstaniec, również odbywający karę w Kurganie, krytycznie wypowiadał się na temat wieczoru literacko-muzycznego zorganizowane-

¹⁴ M.A. Astwacaturowa, *Diaspory w Rossijskiej fiedieracii: formiowanie i uprawianie (Siewiero-Kawkazskij riegion)*, Rostow na Donu – Piatigorsk 2002, s. 84.

¹⁵ M. Żaba do rodziców, Kurgan (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 513v).

¹⁶ K. Żaba do M. Żaby, Wierchoturje, 31 maja 1865 r., ibidem, l. 562).

¹⁷ GU GAOO, f. 3, op. 4, d. 5727, l. 18.

¹⁸ Ibidem, l. 21.

¹⁹ M. Żaba do rodziców, Kurgan, 20 września 1864 r. (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 516v).

²⁰ GU GAOO, f. 3, op. 9, d. 13603.

²¹ M. Żaba do brata, Kurgan, 20 sierpnia 1866 r. (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 545v).

go przez „Moskali”, na który przyszedł tylko „z grzeczności”. „Łatwo można sobie wyobrazić, jaki to był wieczór, jak mógł zostać urządzony przez tutejszych urzędników. Miałem nieszczęście również na nim być”²². „Wszędzie otepienie i mrok” – stwierdzał polski zesłaniec przebywający w Tobolsku²³. „Jednym słowem, drogi bracie, przyjmij za swoją regułę jak najmniej otwierać serce przed tamtejszymi [omskimi²⁴] mieszkańcami; pamiętaj zawsze, że jesteś na Syberii” – radził M. Gutinowski mieszkający w Petersburgu swojemu krewnemu zesłanemu na Syberię.²⁵

Krytyczne nastawienie zesłańców było przezwyciężane z trudem. M. Żaba, nawet gdy zaczął bywać w domach tutejszych mieszkańców, gdzie go dobrze przyjmowano, uparcie wyszukiwał wady syberyjskiej społeczności: „Nie ma tej serdeczności, która cechuje nasze polskie domy, gdzie człowiek spędza czas z pożytkiem dla serca i umysłu, mimo że nie tylko plotki są tematem rozmowy”²⁶. Przytoczone wyżej wypowiedzi świadczą o przeciwstawianiu Europy i Azji, przy czym Syberia występuje nierozłącznie z Rosją. Opisy Syberii, dokonane przez A. Święto-rzeckiego, Bronisława Rejchmana i innych Polaków, pozwalają J. Michalakowi mówić o procesie zastępowania porównania Europy i Azji porównaniem Rosji i Syberii, w którym wizerunek Syberii staje się diametralnie odmienny²⁷. B. Rejchman zauważał:

Po wschodniej stronie Uralu wszystko wokół zmienia się na lepsze – powiedziałbym, że wyjeżdża się nie z Europy na Syberię, ale z Syberii do Europy! Mniej jest tej jednostajnej przygnębiającej dzikości, męcząco wpływającej na rozum swoją płaskością i smutkiem.²⁸

Polskich zesłańców dziwi w mieszkańcach Syberii to samo, co dziwi mieszkańców centralnych guberni rosyjskich.²⁹ Nie przypadkiem A.W. Starcew, rekonstruując obraz mieszkańca Syberii, na równi wyko-

²² Ignacy do nieznanego adresata, Kurgan 1866 r. (GARF, f. 109, Aneksy do teczek III Wydziału, op. 214, d. 291, l. 4).

²³ Tytus do W. Wojzbuna, Tobolsk, 20 czerwca 1866 r. (GARF, f. 109, Aneksy do teczek III Wydziału, op. 214, d. 288, l. 12).

²⁴ Uściślenie dokonane przez podporucznika Pleszkowa, autora adnotacji na dokumentach w języku polskim, odebranych w czasie przeszukania F. Muraszece, W. Wojzbunowi i A. Orłowskiemu.

²⁵ Gutinowski do brata, Sankt Petersburg 1864 r. (GARF, f. 109, Aneksy do teczek III Wydziału, op. 214, d. 288, l. 6v).

²⁶ M. Żaba do N.R.D., Kurgan, przełom 1864–1865 r. (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 520).

²⁷ J. Michalak, *Proszczanije u „mogilnogo kamnia nadzieży”*. *Uralskaja granica w wospominanijach polakow, soslannyh w Sibir`*, [w:] *Sibir w istorii i kulturie polskiego naroda*, nauczna redakcja A. Kuczyński i P. Romanow, Moskwa 2002, s. 112.

²⁸ Cyt. za: J. Michalak, op. cit., s. 112.

²⁹ O odbiorze mieszkańców Syberii przez mieszkańców europejskiej części Rosji zob. w: A.W. Riemniow, *Prizrak sieparatizma*, „Rodina” 2000, nr 5, s. 10-17; idem, *Sdielat` Sibir` i Dalnij Wostok russkimi*, [w:] *Sibirskaja zaimka* [zasób elektroniczny], dostęp: http://www.zaimka.ru/03_2002/remnev_motivation/.

rzystuje relacje A. Czechowa i S. J. Jęłpatjewskiego.³⁰ Powstaniec J. Kraskowski pisał o bogactwie rdzennych mieszkańców, ich życzliwości.³¹ Przewagę mieszkańca Syberii nad Rosjaninem odnotowywał Agaton Giller.³² „Lud tu wszędzie ładny, silny i zdrowy” – opisywał swoje pierwsze wrażenia na temat mieszkańców Syberii Rufin Piotrowski.³³ Polskiej szlachcie imponowała swoboda kontaktów, brak na Syberii klasy obszarników, co sprawiało, że Syberia była podobna do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. O ile porównanie Rosji i Polski stawało się zderzeniem dwóch sprzeczności, nie dających się pogodzić pierwiastków, o tyle w porównaniu Syberii ze swoją ojczyzną Polacy odnotowują nie tylko różnice, lecz także podobieństwa. Oceniając rzeczywistość „polską miarką” powstańcy doszukują się Polski tam, gdzie jej nie ma. Syberyjskie miasto powiatowe okazuje się podobne do polskich miast powiatowych,³⁴ syberyjscy Tatarzy – do polskich Żydów.³⁵ Ale wszystko, co wyróżniało się z łańcucha polsko-syberyjskich podobieństw, okazywało się elementem Wschodu i nabierało negatywnych konotacji. Z jednej strony „niewyobraźalnie uprzejmy” komendant Tary władający językiem polskim był lepszy od rodowitego Polaka,³⁶ a z drugiej tatarska fizjonomia tobołskiego gubernatora „pozbawiona jest nawet śladu rozumu i szlachetnego pochodzenia”.³⁷

Utrwalił się stworzony przez romantyków wyraźnie emocjonalny obraz Syberii jako kraju zapomnianego przez Boga.³⁸ Syberia zastąpiła w polskiej poezji antyczny Tartar i średniowieczne piekło³⁹ i dostarczyła zesłańcom do opisywania otaczającego ich środowiska całego zestawu odpowiednich sztamp literackich. W wyniku tego żandarmi stają się „cerberami”,⁴⁰ asesor – „szatanem”,⁴¹ plac-major – „prawdziwym Lucy-

³⁰ A.W. Starcew, *Homo sibiricus. Osobiennosti sibirskogo oblastniczestwa*, [w:] Sibirskaja zaimka; [zobacz dokładniej o tym w zasobie elektronicznym sygnowanym dostępem: http://www.zaimka.ru/08_2002/startsev_homosibiricus].

³¹ J. Kraskowski, *Z niedawnej przeszłości. Urywki z pamiętnika*, „Przegląd Powszechny”, 1984, t. 41, zeszyt 1, s. 103-104.

³² Zob. B.S. Szostakowicz, *Formirowanije w XIX wiekie polskiego stierieotipa wosprijatija Sibiri i sibirjakow*, [w:] *Polaki w Sibiri*, Irkutsk 1995, s. 21-27.

³³ *Pamiętniki z pobytu na Syberii Rufina Piotrowskiego*, t. 2, Poznań 1861, s. 193.

³⁴ M Żaba do rodziców, Kurgan, 1864 r. (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 542).

³⁵ *Pamiętniki z pobytu na Syberii...*, op. cit., s. 194.

³⁶ K. Lubicz-Chojecki, *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków*, Bagno – Warszawa – Wrocław 1997, s. 72.

³⁷ K. Wolicki, *Kibitką na Sybir*, [w:] *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815-1914*, Warszawa 1992, s. 224.

³⁸ Zob.: Z. Trojanowiczowa, *Sybir romantyków* (w opracowaniu materiałów wspomnieniowych uczestniczył Jerzy Fiećko), Poznań 1993.

³⁹ B. Piłsudskij, *Poliaki w Sibirii*, [w:] *Sybir w historii...* op. cit., s. 29.

⁴⁰ Wyjątki z listu podpisanego „brat Albin” do Piotra Świrskiego w Dorpacie (chodzi prawdopodobnie o list Albina Świrskiego – przyp. autora), Omsk, 1869 r. (GARF, f. 109, Tajne archiwum, op. 1, d. 357).

⁴¹ J. Kraskowski, op. cit., t. 12, s. 59.

ferem”,⁴² a sami powstańcy przedstawiani są jako „osoby niespokojne, nudne, zamyślane, podobne do wampirów”.⁴³

Wielu badaczy zauważało, że na Syberii odbiór rzeczywistości przez zesłańców zaczyna się indywidualizować, a zwyczajowe stereotypy „po trochu odchodzą w niepamięć”.⁴⁴ Analiza źródeł pochodzenia osobistego pozwala nam na odnotowanie szeregu punktów, w których rzeczywistość zaczyna przeczyć stereotypom. Na przykład dużo miejsca w swoich listach zesłańcy poświęcają opisom przyrody. Polaków dziwi przy tym nie syberyjskie zimno, lecz letnie upały typowe dla klimatu kontynentalnego,⁴⁵ urodzajność ziem, bogactwo przyrody i krajobrazów, uprawianie przez mieszkańców Syberii tak egzotycznych roślin jak melony i arbuzy. Wskutek tego kraina zimy i śniegu, gdzie „dzicy bracia i ziemia, i naród”, gdzie „lód zwisa z oczu każdego mieszkańca”⁴⁶ przekształca się w „syberyjską Italię”.⁴⁷ „Cudowny klimat – pisze o Kurganie M. Żaba, który podreperował tu zdrowie nadwreżone po tułaczce”.⁴⁸ Na Syberii „klimat jest bardzo zdrowy” – pisał również K. Borowski, który ani razu nie chorował w czasie swojego pięcioletniego pobytu w tym regionie.⁴⁹

Nawiązywanie nowych kontaktów społecznych zmieniało stosunek zesłańców do otaczającego świata. Ich pierwszymi partnerami stali się syberyjscy urzędnicy, zarządzający zesłańcami i sprawujący nad nimi nadzór policyjny. Na opisy przedstawicieli administracji syberyjskiej napotyka się dość często w literaturze pamiętnikarskiej. Akcenty w tych opisach rozkładają się w zależności od roli tego lub innego przedstawiciela władzy w życiu zesłańca. Często negatywny stosunek urzędnika do osoby autora rzutuje na stosunek do Polaków w ogóle. Na przykład we wspomnieniach Jerzego Kraskowskiego spotykamy „jawnego wroga Polaków” adiutanta Makłakowa i „wpadającego w szal na widok Polaka” asesora.⁵⁰ Ogólnie autorzy pamiętników oceniają lepiej władze syberyjskie niż władze stołeczne, chociaż znane są przypadki protekcji również ze strony instytucji centralnych. „Chruszczow pisał o mnie jak o własnym synu – pisał J. Kraskowski – ale na nieszczęście miał wroga w Pe-

⁴² S. Tokarzewski, *Waśka*, [w:] *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815-1914*, Warszawa 1992, s. 253.

⁴³ List M. Żaby do nieznanego adresata (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 512v).

⁴⁴ J. Michalak, op. cit., s. 113.

⁴⁵ „Nie możecie sobie wyobrazić – pisał M. Żaba z Kurganu – jakie panują tu upały. W południe nie można wyjść na ulicę – wszystkie okna wychodzące na słoneczną stronę zakrywa się okiennicami, a mimo to człowiek oblewa się potem” – list M. Żaby do nieznanego adresata, Kurgan (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 515-515v).

⁴⁶ „Do członków towarzystwa wzajemnej pomocy”, ibidem, l. 542v, 544.

⁴⁷ „Syberyjską Italią” nazywano Kurgan – list M. Żaby do nieznanego adresata, Kurgan (ibidem, s. 515v-516).

⁴⁸ Ibidem, l. 516v; M. Żaba do rodziców, Kurgan (ibidem, l. 513v).

⁴⁹ K. Borowski, op. cit., s. 197.

⁵⁰ J. Kraskowski, op. cit., s. 89.

tersburgu w osobie ministra spraw wewnętrznych”.⁵¹ Stosunek do zesłańców przedstawiany przez autorów pamiętników jest zgodny z twierdzeniem Zygmunta Librowicza, że „im dalej na Zachód, tym gorzej odnoszono się do Polaków”.⁵²

Adaptacja wpływała na odbiór rzeczywistości przez zesłańców. „Naprawdę tęsknię za Tobolskiem tak samo jak za ojczyzną” – pisała Janina Wiskowska.⁵³ Ta wypowiedź wydaje się tym bardziej ciepła, że została napisana w więzieniu na zamku w Omsku. Dla jej siostry M. Jamont, która przebywała w sąsiedniej pojedynczej celi, ziemia wygnania stawała się „miłą Syberią”.⁵⁴ Natomiast duch następnej wypowiedzi polskiego zesłańca politycznego jest bliski dumie rosyjskich przesiedleńców, którzy mówili przyjeźdźcą, że „stając się mieszkańcami Syberii, jak gdyby dostali awans na wyższe stanowisko”.⁵⁵ „Do zrozumienia mojej osobowości nie wystarczy to, że nazywam się Tomasz Bułhak, urodzony na Litwie, były szlachcic i ziemianin nieszczęsnej naszej Polski, ale też osiedleńca syberyjski”.⁵⁶ Wyrażenie „osiedleńca syberyjski” miało w sobie sens nie tylko polityczny. Zesłańcy byli świadomi również kulturalnych aspektów asymilacji z Syberią.

Przesiedleni do zupełnie obcego kraju powinniśmy dostosowywać się do tujejszego życia, przyjmować tujejszy sposób patrzenia na świat tylko po to, aby otrzymać prawo do bycia obywatelem wśród tujejszych mieszkańców.⁵⁷

Członkowie diaspory stawali przed wyborem: przyjąć normy i wartości nowego społeczeństwa, rezygnując z wartości określających tożsamość, lub pozostać na marginesie życia z tradycyjnymi poglądami. D. Wong-Riger stosunek między fundamentalnymi atrybutami wartości i norm jednostki i przyjmujących te jednostki grup społecznych rozpatrywała jako wskaźnik adaptacji.⁵⁸ To znaczy, że dobrze zaadaptował się ten, kto nauczył się zachowywać zgodnie z normami ustalonymi przez członków nowego społeczeństwa. Głównym mechanizmem, za pośrednictwem którego zbiorowości ludzkie adaptują się do otaczającego środowiska, jest kultura, a najbardziej wyrazistym przejawem kultury są modele postępowania. Na Syberii obserwujemy interesujące zjawisko:

⁵¹ Ibidem, s. 74-75.

⁵² Z. Librowicz, *Polacy w Syberii*, Wrocław 1993, s. 157.

⁵³ Liścik J. Wiskowskiej do M. Jamont, Omsk, 3 grudnia 1867 r. (GARF, f. 109, 1 ekspedycja, 1866, d. 217, cz. 3, l. „B”, t. 2, l. 5v).

⁵⁴ Liścik M. Jamont do J. Wiskowskiej (GARF, f. 109, 1 ekspedycja, 1866, d. 217, cz. 3, l. „B”, t. 1, l. 235).

⁵⁵ Wypowiedź W.P. Siemionowa-Tianszańskiego, cyt. za: M.W. Szyłowskiej, *Oso- biennosti powiediencheskich stierieotipow sibirskich kriestjan wo wtoroj połowinie XIX – naczale XX ww.*, [w:] *Sibirskaja dieriewnia: problemy istorii*, Nowosibirsk 2004, s. 68.

⁵⁶ GARF, f. 109, Aneksy do spraw III Wydziału, op. 214, d. 274, l. 2v.

⁵⁷ List M. Żaby do nieznanego adresata, Kurgan (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 516).

⁵⁸ W.B. Jewtuch, *Sowriemiennaja etnologija w Kanadie*, [w:] *Etnologija w SSzA i Kanadie*, Moskwa 1989, s. 285-311.

zesłańcy zaczynają sztucznie kształtować formy zachowania w warunkach zesłania. Najbardziej wyrazistym wariantem zachowań na zesłaniu są statuty towarzystw wzajemnej pomocy, które istniały w wielu miastach na Syberii. M. Żaba w czasie przesłuchania mówił, że były to raczej prawa pisane, dotyczące sposobu życia, a ich konieczność była uwarunkowana tym, że każdy niewłaściwy postępek zesłańca rzutował nie na osobę, która go popełniła, lecz na wszystkich Polaków.⁵⁹

Jednym ze stałych punktów wspomnianych statutów było stwierdzenie: nie mieć kontaktów z rozwiązłymi kobietami i nie zawierać małżeństw. Negatywny stosunek polskich zesłańców do małżeństw z kobietami wyznania prawosławnego można zaobserwować dość często. Na przykład w liście odebrany przez policję Ksaweremu Sosuliczowi ożenek z „syberyjskimi ladacnicami” nazwany jest „publicznym wyśmiewaniem się z religii i uczuć zesłanego narodu”, przestępstwem, za które nie ma przebaczenia, dyshonorem.⁶⁰ „Dmochowski zwariował: ożenił się z jakąś kacapką” – pisał z oburzeniem Mickiewicz.⁶¹ Polskie tajne organizacje były przeciwne nawet pozamałżeńskim związkom polskich zesłańców z rosyjskimi kobietami. „Jeśli wyśledzą, że ktoś ma kochankę, od razu poddają go osądowi społecznemu” – skarżył się Włodzimierz Podwiński na zwyczaje polskiej organizacji w Jałutorowsku.⁶² Za erotyczne namiętności często wykluczano ze społeczności. Nawet sam W. Podwiński został wykluczony z organizacji, ponieważ wziął sobie utrzymanie. Aby uniknąć wrogości i życia w konflikcie w Jałutorowsku Podwiński myślał nawet o przeniesieniu się do Mariińska. W Kurganie niezadowolenie Polaków wywoływało to, że zesłaniec A. Pliskowski zamierzał ożenić się z mieszkanką Syberii. Z reguły w literaturze polskiej „przymusowy celibat” rodaków-zesłańców, przypadki powstrzymywania się od miłości do kobiet innego wyznania traktowane były jako czynnik pozytywny, a przykłady małżeństw mieszanych usprawiedliwiano życiową koniecznością, pozbawioną uczuć i romantyzmu. Na przykład wspomniany już Z. Librowicz o powstańcach 1830-1831 roku mówił, że:

jeśli nawet ktoś zenił się z Rosjanką, to w większości przypadków [...] tylko dlatego, aby miał mu kto prać bieliznę i szykować jedzenie.⁶³

Władze Syberii we współtowarzyszkach życia Polaków nie widziały „kobiet rozwiązłych”, lecz „nałożnice”.⁶⁴ Dominacja w środowisku

⁵⁹ GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 219.

⁶⁰ Ibidem, l. 580.

⁶¹ List Mickiewicza do kolegi, Iszim, 25 maja 1866 r., (GARF, f. 109, Aneksy do spraw III Wydziału, op. 214, l. 3v).

⁶² W. Podwiński do E. Korndko, Jałutorowsk, 8 marca 1865 r., (GU GAOO, f. 3, op. 13, d. 18517, l. 5v).

⁶³ Z. Librowicz, op. cit., s. 121.

⁶⁴ Między innymi w raporcie tarskiego okręgowego naczelnika policji Maraszkowskiego z 28 października 1874 roku jest mowa, że zesłaniec „Albin Mackiewicz mieszka w domu swojej nałożnicy, wdowy po żołnierzu, Marii Anisimowej Noskowej” (GU GAOO, f. 3, op. 9, d. 13641).

polских zesłańców elementu męskiego sprawiła, że władze dostrzegały w Polakach „niebezpieczeństwo rozwiązłości”.⁶⁵ Częstym zjawiskiem były pozamałżeńskie związki polskich zesłańców i sybiraczek. Radca kolegialny Popow na podstawie materiałów z okręgu omskiego zauważył:

We wsiach rzadko zdarza się, żeby Polacy nie mieli tak zwanych utrzymanek – w większości żon będących w wojsku, będących chłopskimi wdowami lub pochodzących z osiedleńców, albo po prostu chłopskich dziewczyn wątpliwej kondyty lub nawet mieszkających w innych okręgach.⁶⁶

Trudno jest ustalić statystykę takich „rozwiązłych” związków. Z badań ludności Tomaska od 1 stycznia 1884 roku do 15 lipca 1887 roku wynika, że Polacy stosunkowo rzadko chorowali na syfilis. Autor badań lekarz A. Makuszyn nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego tak się działo:

Być może jest to skutek większej kultury w porównaniu do reszty ludności Tomaska, a być może nie chodzi nawet o mniejszą liczbę zachorowań, lecz o to, że po 1880 roku duża część Polaków wyjechała do kraju.⁶⁷

Administracja Zachodniej Syberii starała się wszelkimi sposobami popierać mieszane małżeństwa. Dowodzi tego przykład polskiego zesłańca O. Bachowskiego, który wyraził chęć ożenienia się z chłopką, wdową J. Sustawą. Duchowni ze wsi Bitni nie dali zgody na ten związek, ponieważ kobieta była starsza od swojego wybranka o ponad 10 lat, a hierarchia diecezjalna zakazywała tego typu małżeństw. Jednak naczelnny prokurator Najświętszego Synodu wychodząc z założenia, że związki między zesłanymi na Syberię Polakami a rosyjskimi kobietami są bardzo pożądane, wyraził zgodę na ślub.⁶⁸ Ogólnie rzecz biorąc, jeśli wierzyć lokalnej administracji, procent Polaków ożenionych z mieszkankami Syberii był „bardzo niski”.⁶⁹ Małżeństwa mieszane sprzyjały adaptacji. Powstańcy, którzy ożenili się na Syberii, częściej brali pożyczki na urządzenie domu i z reguły pozostawali w miejscu osiedlenia i zajmowali się rolnictwem.

Jeszcze jednym obowiązkowym punktem statutów polskich towarzystw wzajemnej pomocy był wymóg życia w trzeźwości. Miało to nie tylko wymowę etyczną. Prawdopodobnie pijaństwo było traktowane jako jeden z czynników utraty kultury, ponieważ pociąg do alkoholu w oczach Polaków był nieodłącznym elementem zbiorowego wizerunku mieszkańców Syberii. M. Żaba tak charakteryzował społeczeństwo syberyjskie: „Naród jest leniwy, pijaństwo zakorzeniło się w najwyższym stopniu, nie ma żadnej moralności”,⁷⁰ „główne zajęcie tutejszej ludności to karty i bu-

⁶⁵ GU GAOO, f. 3, op. 13, d. 18515, l. 1.

⁶⁶ GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7883, l. 165v–166.

⁶⁷ A. Makuszyn, *Wieniericzeskije bolezni w Tomskie s 1884 do 1890 goda*, [w:] „Trudy Tomskiego obszczestwa jestiestwoispytatielej”, rok trzeci, s. 9.

⁶⁸ GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 8615.

⁶⁹ GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7883, l. 166.

telka”.⁷¹ Podobne wrażenie miał zesłany do Wiercholeńska wuj M. Żaby – L. Walicki, który pisał:

Wątpię aby nasz uczciwy naród doszedł do takiego stanu, w jakim jest ludność na Syberii. Jakie by nie było dozwolone pijaństwo, nie dojdzie do takiego rozluźnienia obyczajów, jakie panuje wśród ludzi na Syberii.⁷²

Widocznie wizerunek pijanego mieszkańca Syberii był znany w Polsce, jak bowiem inaczej można wyjaśnić obawy Edwarda Rydwańskiego wyrażone w liście do jego żony: „Odjeżdżając na Syberię myślałem, że stanę się pijakiem, ale Bóg nie pozwolił, aby to się stało”.⁷³

Mimo negatywnego stosunku do trunków polscy zesłańcy z powodzeniem zajmowali się handlem alkoholem. E. Rydwański odłożył kilkadziesiąt rubli i zaczął handlować winem w dwóch szynkach, w jednym z nich sprzedawał sam, a w drugim zatrudnił pracownika. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego żonę zmartwi wiadomość o tym, że „stał się szynkarzem”.⁷⁴

Pijaństwo jednak nie ominęło zesłańców. M Janik przytacza wypowiedź zwolennika całkowitego powstrzymywania się od alkoholu B. Dybowskiego, który mówił, że pijaństwo i katorga były rozpowszechnione wśród Polaków tak samo, jak wśród rosyjskich urzędników i popów.⁷⁵ „To smutne, bardzo smutne, że nasi zachowują się tak źle” – ubolewał W. Gregorowicz⁷⁶. Mickiewicz, mówiąc o komplikacjach, jakie napotkała próba utworzenia w Iszimie polskiego stowarzyszenia, wskazywał na niechęć niektórych Polaków do rezygnacji „z picia i gry w karty”. „Mój Boże, zaciskasz zęby i pięści i przechodzisz obok tego wszystkiego, bo prawdę mówiąc nie warto strześcić języka”⁷⁷. E. Kaczyńska upowszechnienie się dewiacyjnych form zachowania wśród zesłańców wiąże z tym, że po powstaniu styczniowym na Syberię trafiło dużo młodzieży nie mającej wykształcenia i nie mającej wyraźnych wzorców ideowych, za to nastawionej bardzo radykalnie.⁷⁸ Nie można zapominać również o głębokim „zepsuciu moralnym, jakie szerzy się w naszych więzieniach”.⁷⁹

⁷⁰ M. Żaba do K. Żaby, Kurgan, 20 lutego 1865 r. (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 523v).

⁷¹ M. Żaba do nieznanego adresata (ibidem, l. 542).

⁷² L. Walicki do M. Żaby, Wiercholeńsk, 1 czerwca 1865 r. (ibidem, l. 557).

⁷³ E. Rydwański do żony Anieli, Kurgan, 6 lutego 1865 r. (ibidem, l. 568v).

⁷⁴ Ibidem.

⁷⁵ M. Janik, op. cit., s. 375.

⁷⁶ W. Gregorowicz do M. Żaby, Turyńsk (GU GAOO, f. 3, op. 6, d. 7921, l. 549).

⁷⁷ Mickiewicz do (prawdopodobnie M. Żaby – przyp. autora), Iszim, 7 grudnia 1865 r. (ibidem, l. 553v-554).

⁷⁸ E. Kaczyńska, *Polaki w Sibiri (1815-1914). Socialno-diemograficzeskij aspekt*, [w:] *Sibir w historii...*, op. cit., s. 275.

⁷⁹ P. Kropotkin, *Sobranije sozinienij*, [w:] *Ssylka w Sibir*, t. 2, Sankt Petersburg 1906, s. 21.

Przymusowa wieloletnia bezczynność w miejscach uwięzienia; namiętność do gier hazardowych, systematyczne wykorzenianie w więźniach wszelkiej woli i rozwijanie biernych cech charakteru⁸⁰

– wszystkie te cechy odnotowane przez Kropotkina na podstawie materiałów dotyczących zesłańców kryminalnych można odnieść również do zesłanych powstańców. Na skutek tego „alkoholizm, hazard i rusyfikacja” stają się głównym zagrożeniem dla Polaków zesłanych na Syberię.⁸¹ To samo można także odnaleźć we wspomnieniach polskich zesłańców, którzy dostrzegali ten problem pisząc z deprecjacją o takich zesłańcach, którzy w „alkoholu szukali zapomnienia o niewoli”. Po przeciwnej stronie demoralizacji stały godność i polskość. Ogólnie rzecz biorąc historycy w ślad za pamiętnikarzami mówią o „nadzwyczaj wysokim morale zesłańców” i ich pozytywnym wpływie na miejscową ludność.⁸² Nic przeto dziwnego, że we wspomnieniach zesłańczych odnajdujemy wiele przykładów potwierdzających te relacje.

Spółeczność polskich zesłańców była więc nośnikiem wielu ekspansywnych, emocjonalnie nacechowanych wizerunków o charakterze etnicznym. Istnienie emocjonalnego związku z krajem wychodźstwa, idealizowanie ojczyzny świadczyły o tym, że większość zesłańców silnie identyfikowała się z polską diasporą. Stereotypy narodowe, wyznaczenie, nakazy wprowadzane przez diasporę – wszystko to konsolidowało polskie środowisko i utrudniało integrację Polaków z przyjmującym ich społeczeństwem. Analiza poglądów zesłanych powstańców na ich miejsce na Syberii pozwala na stwierdzenie, że polska diaspora nie była nastawiona na inkorporację ze społeczeństwem syberyjskim. Przekonanie Polaków o własnej wyższości kulturalnej i misji oświatowej w Rosji określiło strategię realizowaną przez polską społeczność, chociaż odbywało się to bez deprecjacji miejscowej ludności rosyjskiej i autochtonicznej. Polegało ono na dążeniu do wzrostu grupowego autorytetu poprzez utrzymywanie wysokiego morale. Normy o charakterze etycznym istniejące w statutach polskich organizacji w pewnym stopniu odpowiadały także zadaniom etycznym. Transformacja poglądów zesłańców w procesie adaptacji szła w parze z różnicowaniem się wizerunku Rosji i Syberii, przy czym wizerunek Syberii okazywał się bardziej atrakcyjny.

*Z języka rosyjskiego tłumaczyła
Ewa Rybarska*

⁸⁰ Ibidem.

⁸¹ B. Jędrzychowska, *Polscy zesłańcy na Syberii (1830-1883)*, Wrocław 2000, s. 110.

⁸² Ibidem.

**LARYSA A. KUTIŁOWA, IRAIDA W. NAM,
NATALIA I. NAUMOWA, WŁODZIMIERZ A. SAFONOW**

**POLACY W GUBERNI TOMSKIEJ.
KRONIKA ŻYCIA SPOŁECZNEGO
I KULTURALNEGO (1893-1919)**

Ludność polska Syberii na początku XX wieku składała się z mieszkańców, wśród których większość stanowili byli zesłańcy i ich potomkowie, z przesiedlonych chłopów oraz z osób przybyłych na Syberię w poszukiwaniu zatrudnienia. W latach I wojny światowej syberyjska Polonia powiększyła się ewakuowanych ze strefy działań frontowych, uchodźców i jeńców wojennych. Polacy z reguły mieszkali na wsi, chociaż część z nich osiedlała się w miastach. Pod względem wyznaniowym Polacy byli katolikami, zatem ośrodkiem ich życia społecznego, zwłaszcza we wczesnym okresie samoorganizacji, były parafie rzymskokatolickie. Powstawały przy nich towarzystwa dobroczynne, które skupiały także katolików innych narodowości. W 1893 roku przy tomskim kościele katolickim powstało Rzymskokatolickie Towarzystwo Dobroczynne. Jego zadaniem było udzielanie pomocy katolikom, którzy znaleźli się w potrzebie. Towarzystwo prowadziło nie tylko działalność dobroczynną (miało pod swoją opieką szkołę, w której w 1908 roku uczyło się 32 chłopców i 31 dziewczynek, oraz ochronkę dla sierot), ale również kulturalno-oświatową. Wszystkie organizowane przez towarzystwo wieczory artystyczne, koncerty, spektakle odbywały się z reguły w języku polskim, z wykorzystaniem polskich strojów narodowych. W ciągu trzech lat istnienia Towarzystwa (1895-1898) liczba jego członków wzrosła 25-krotnie, miało 6 członków honorowych i 156 rzeczywistych. Na budowę sierocińca Towarzystwo zebrało 10 755 rubli.

Innym przykładem może być powstałe w Nowonikołajewsku (obecnie Nowosybirsk) w wyniku starań proboszcza kościoła katolickiego Polskie Towarzystwo Dobroczynne św. Józefa, którego zadania były takie same jak Tomskiego Rzymskokatolickiego Towarzystwa Dobroczynnego. W 1909 roku wydarzeniem w życiu religijnym polskich katolików stał się przyjazd na Syberię biskupa Jana Cieplaka. Odwiedził on Omsk, Kurgan, Nowonikołajewsk, Tomsk, Irkuck i inne miasta Syberii. Jak znaczące było to wydarzenie w życiu katolików świadczy fakt, że na przyjazd biskupa droga od dworca do kościoła została usłana kwiatami.

Rok 1909 wyróżnił się szczególnie ważnymi wydarzeniami w życiu religijnym polskich katolików. Na podstawie umowy między rządem rosyjskim i Kościołem rzymskokatolickim na Syberii w tym właśnie roku utworzono diecezję rzymskokatolicką z siedzibą w Omsku.

Oprócz organizacji wyznaniowych na Syberii działały jednocześnie świeckie organizacje kulturalno-oświatowe i towarzystwa dobroczynne. Ich powstanie było uwarunkowane dążeniem Polaków do jedności narodowej, które stało się wyraźne w warunkach zesłania. Na przykład w 1907 roku w Tomsku w Instytucie Technologicznym w środowisku polskich i litewskich studentów powstało polsko-litewskie ziomkostwo, którego celem było udzielanie pomocy miejscowym polskim i litewskim studentom oraz działalność kulturalno-oświatowa wśród miejscowej ludności. Stowarzyszenie to regularnie organizowało wieczory dobroczynne prowadzone w języku polskim i litewskim.

Działalność pomocowa Polaków rozwinęła się najbardziej w latach I wojny światowej. Było to związane przede wszystkim z tym, że wielkie masy ludzi znalazły się w strefie działań wojennych. Organizacje narodowe musiały więc udzielać wszechstronnej pomocy osobom, które ucierpiały na skutek wojny, rodzinom żołnierzy i uchodźcom. Już pod koniec 1914 roku w Tomsku i Barnaulu pojawiły się oddziały Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Do listopada 1916 roku oddziały tego towarzystwa utworzono także w innych miastach w guberni tomskiej: Kainisku, Tatarsku i Nowonikołajewsku. Poza wspomnianym towarzystwem powstawały również inne stowarzyszenia prowadzące działalność kulturalno-oświatową i filantropijną. Na przykład w Nowonikołajewsku w 1916 roku utworzono Polskie Towarzystwo Dobroczynne „Ogniwo”. Dzięki działalności polskich organizacji możliwe było udzielanie pomocy Polakom, którzy ucierpieli na skutek wojny. Pod opieką Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny w 1915 roku znajdowało się 657 polskich uchodźców, przy towarzystwie pracował felczer, powstała szkoła, w której uczyło się 140 dzieci uchodźców. W tym samym roku w Tomsku Rzymskokatolickie Towarzystwo Dobroczynne otworzyło specjalnie dla dzieci uchodźców polską szkołę. W 1916 roku dwa polskie stowarzyszenia w Tomsku miały pod swoją opieką 1232 polskich uchodźców. Do początku 1917 roku było już w guberni tomskiej 3454 Polaków-uchodźców. W tym okresie działalność narodowa Polaków na Syberii koncentrowała się nie tylko na organizacjach i stowarzyszeniach narodowych, lecz także przejawiała się w wydawaniu prasy w języku polskim. W 1916 roku w Nowonikołajewsku zaczęto wydawać tygodnik w języku polskim „Głos Syberii”, a po jego zamknięciu – „Nowonikołajewski Listek”.

Tak więc o ile pod koniec XIX wieku życie Polaków na Syberii koncentrowało się wyłącznie wokół ośrodków religijnych, o tyle w przededniu 1917 roku coraz bardziej konsolidowało się wokół instytucji kulturalnych. Po etapie samoorganizacji na poziomie działalności kultu-

ralno-oświatowej i filantropijnej Polacy zaczęli zbliżać się do etapu samokształtowania narodowo-politycznego i tworzenia partii politycznych oraz regionalnych struktur organizacyjnych.

Po rewolucji lutowej 1917 roku, kiedy odrodziło się odwieczne marzenie Polaków o niepodległości narodowej, wyraźnie ożywiło się życie społeczno-polityczne i kulturalne Polonii zarówno na Syberii, jak i w całej Rosji. W wielu miejscach zaczęły powstawać organizacje i stowarzyszenia o różnym ukierunkowaniu (kulturalno-oświatowe, dobroczynne, wojskowe, zawodowe, polityczne itp.), które prowadziły aktywną działalność. W marcu 1917 roku w Nowonikołajewsku powstał Polsko-Litewski Związek Narodowy – organizacja, której celem była „walka o niepodległość Polski i Litwy na republikańsko-demokratycznych zasadach”. W maju w Tomsku utworzono Polski Dom Ludowy, a w czerwcu w Nowonikołajewsku „Ognisko polskie”.

Cechą szczególną polskich organizacji o charakterze politycznym na Syberii było to, że środowiska polskie dzieliły się głównie na dwa obozy: zbliżony do lewicowych kadetów obóz liberalno-demokratyczny, do którego ciążyły również grupy PPS-„Fracji” i niektórzy działacze PPS-Lewicy, oraz obóz socjaldemokratyczny (bolszewicki), do którego skłaniali się członkowie SDKPiL i część lewicowców. Do kierunku liberalno-demokratycznego zaliczał się między innymi Polski Klub Demokratyczny w Tomsku i Polsko-Litewski Związek Narodowy w Nowonikołajewsku. Na początku 1918 roku w Nowonikołajewsku powstała organizacja o orientacji liberalno-demokratycznej – Komitet Wykonawczy polskich organizacji społecznych i partii politycznych. Polscy liberałowie w tomskiej guberni nie dążyli więc do tworzenia własnych struktur partyjnych, lecz uznawali za sprawę priorytetową zjednoczenie pod ich wpływem wszystkich tutejszych Polaków.

Tendencje zjednoczeniowe w początkowym okresie były charakterystyczne również dla ruchu socjalistycznego. Na przykład w Tomsku zjednoczona organizacja polskich socjalistów – Polski Socjalistyczny Komitet Koalicyjny – powstała już 25 marca 1917 roku. Organizacja ta utrzymywała kontakty z piotrogrodzkim komitetem PPS-Lewicy. Pod koniec kwietnia na wzór organizacji działającej w Tomsku powstał w Nowonikołajewsku Polski Komitet Socjalistyczny, w którym przeważające wpływy mieli lewicowcy. Wraz z nasilaniem się w kraju tendencji rewolucyjnych polskie zjednoczenia socjalistyczne stopniowo odchodzą na lewo. Ich samorozwiązanie nastąpiło na przełomie 1917 i 1918 roku.

Przewycięzeniu tendencji zjednoczeniowych wśród Polaków-socjalistów towarzyszyło tworzenie jednorodnych pod względem politycznym organizacji i grup PPS-„Fracji”, PPS-Lewicy i SDKPiL. W Tomsku, gdzie Polski Socjalistyczny Komitet Koalicyjny został zlikwidowany 24 lutego 1918 roku, na jego miejsce postanowiono powołać sekcję

Polskiej Partii Socjaldemokratycznej. W Tomsku i Nowonikołajewsku tworzono również grupy PPS-Lewicy.

Między tymi ugrupowaniami politycznymi w warunkach rewolucji i wojny domowej trwała walka o wpływy wśród Polaków na Syberii. Największą wagę przywiązywano do pracy wśród tymczasowego kontyngentu ludności polskiej (uchodźców, wojskowych i jeńców wojennych), który miał w przyszłości wrócić do kraju i budować niepodległe państwo polskie. Szczególnie gorące spory toczono w kwestii utworzenia z żołnierzy polskich odrębnej armii polskiej w Rosji. Podjęcie tego kroku – jak twierdzi polski historyk G. Bagiński – „uratowałyby żołnierzy-Polaków przed bolszewizacją w szeregach armii rosyjskiej”. Podstawą formowania polskich jednostek wojskowych były związki polskich żołnierzy, które w Tomsku i Nowonikołajewsku powstały już w kwietniu-maju 1917 roku.

Przewrót październikowy w Piotrogradzie spowodował jeszcze większe podziały w szeregach Polaków. Grupy SDKPiL i część lewicowców z zadowoleniem powitały nastanie władzy radzieckiej. Pozostali odnieśli się do objęcia władzy przez bolszewików zdecydowanie negatywnie i zajęli neutralne stanowisko w stosunku do wydarzeń w Rosji, twierdząc, że „w imię przyszłości Polski należy oszczędzać swoje siły, nie angażować się w wydarzenia w Rosji, zachowywać neutralność wobec wszystkiego, co się w niej dzieje”.

Po Październiku z nową siłą odrodziła się walka o wpływ na uchodźców. W tym celu w listopadzie 1917 roku na II Wszechrosyjskim Zjeździe Uchodźców powołano Zarząd Centralny Związku Uchodźców w Rosji. Jego zadaniem była reorganizacja stowarzyszeń uchodźców „na zasadach demokratycznych”, czyli – jak należy rozumieć – „na zasadach radzieckich”. W terenie zalecano tworzyć rady uchodźców, wybierane przez zgromadzenia lub zjazdy uchodźców. Wybory do rady polskich uchodźców w Tomsku i Nowonikołajewsku przyniosły zwycięstwo polskim socjalistom. Walka toczyła się również o wpływy na żołnierzy-Polaków. Główny Polski Komitet Wojskowy w Rosji wezwał 31 października do zachowania neutralności i sformowania z polskich wojskowych samodzielnych polskich formacji. W terenie, a więc również na Syberii, zadanie to, podobnie jak wcześniej, realizowały związki polskich wojskowych.

W warunkach wojny domowej powstawały organizacje, pretendujące do reprezentowania i obrony interesów wszystkich Polaków: Komitet Narodowy Polski na Syberię i Rosję (KNP) i Polski Komitet Wojskowy (PKW). KNP podlegający Komitetowi Narodowemu Polski w Paryżu wziął na siebie opiekę nad ludnością cywilną. PKW zajmował się formowaniem polskiego wojska na Syberii i organizował pomoc dla rodzin wojskowych. Pełnomocnicy tych komitetów (delegatury) wysyłani byli do ośrodków powiatowych i gubernialnych. Np. pełnomocnikiem KNP

na okręg tomski był R. Górski, przedstawicielem PKW w Tomsku był T. Neuwelt, a w Kaińsku R. Cegielski. KNP i PKW zobowiązywały się do opieki konsularnej nad polską ludnością na Syberii i Dalekim Wschodzie i utrzymywały kontakty z miejscowymi władzami. Obydwa komitety zajmowały się także przygotowaniami do powrotu Polaków do kraju i miały znaczący wpływ na nastroje Polaków na Syberii. Kształtowały one także nastroje patriotyczne w stosunku do Polski – „wszystko dla niej, wszystko dla sławy i siły zjednoczonej ojczyzny”. Organizowano polskie oddziały wojskowe złożone i zbierano wśród Polaków „podatek narodowy”. Komisje dobroczynne i stowarzyszenia pomocy dla wojska tworzyły punkty żywieniowe, stołówki, schroniska dla uchodźców, pomagały w znalezieniu pracy, przy przeprowadzkach, wypłacały zasiłki pieniężne. Do takich organizacji należały np. Polska Komisja Ratownicza przy PWK w Nowonikołajewsku czy Komitet Pomocy Polskim Wojskowym w Tomsku. Tworzenie wojska polskiego miało miejsce głównie na Zachodniej Syberii, gdzie ośrodkiem był Nowonikołajewsk. Wszystkie polskie oddziały zostały zjednoczone pod dowództwem mjr. Waleriana Czumy. W końcu 1919 r. liczyły one 14 tysięcy. W celu pobudzenia patriotyzmu organizowano nabożeństwa i uroczystości dla uczczenia ważnych dla Polaków dat (bitwy pod Grunwaldem, Konstytucji 3 Maja) i wybitnych postaci polskiej historii (Tadeusza Kościuszki) oraz współczesnych (Józefa Piłsudskiego i Józefa Hallera).

W życiu społecznym i kulturalnym uczestniczyły wszystkie warstwy polskiego społeczeństwa. Działały różne stowarzyszenia m.in. harcerskie (w Barnaule, Nowonikołajewsku, Kaińsku). Główna organizacja harcerska mieściła się w Nowonikołajewsku, gdzie działała rada złożona z pięciu członków i funkcjonowały kursy instruktorskie. Aktywną działalność prowadziły również kobiety. W Tomsku Polki Wężer i Proszkowska były organizatorkami Towarzystwa Pomocy dla Armii Polskiej.

Obraz ten dopełniają polskie stowarzyszenia i banki. W Tomsku pod koniec 1918 r. otwarto Syberyjsko-Polskie Stowarzyszenie Konsumentów pod kierownictwem P. Wojciechowskiego. W listopadzie 1918 r. utworzono Syberyjsko-Polski Bank Komercyjny, którego główny kapitał akcyjny sięgał 5 mln rubli. Zarząd banku znajdował się w Tomsku. Życie Polaków w guberni tomskiej, jak zresztą na całej Syberii, w okresie rewolucji i wojny domowej było bardzo aktywne i urozmaicone. Wyróżniało się wysokim stopniem świadomości narodowej, patriotyzmu i samoorganizacji. Cele narodowe i patriotyczne stały się sprawą dominującą. Sensem życia dla wielu Polaków był udział w walce o niepodległą Polskę i powrót do kraju.

*Z języka rosyjskiego
tłumaczyła Ewa Rybarska*

GRZEGORZ SKRUKWA

**ARMIA ANDERSA –
NADZIEJA DLA POLAKÓW W ZSRR**

Tragiczny los setek tysięcy Polaków w głębi ZSRR był konsekwencją dokonanej we wrześniu 1939 roku agresji Niemiec i ZSRR przeciw Polsce. W dniu 23 VIII 1939 został zawarty pakt niemiecko-radziecki zwany oficjalnie paktem o nieagresji. Towarzyszył mu tajny protokół o podziale stref wpływów w Europie Wschodniej.¹ W dniu 17 września 1939 siły zbrojne ZSRR dokonały agresji na Polskę. Po pokonaniu polskiej obrony przez obu agresorów, w dniu 29 IX 1939 r. zawarli oni pakt o granicach i przyjaźni. Uzupełnił go dodatkowy protokół o dokładnym wytyczeniu linii granicznej podpisany 4 X 1939 r.. Wszystkie te działania ze strony ZSRR były złamaniem traktatu pokojowego z Rygi z 1921 r., paktu o nieagresji z 1932 r., a także międzynarodowych traktatów i konwencji o zakazie wojny napastniczej. Podsumowaniem sowieckiej kampanii przeciw Polsce było niesławne przemówienie ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR Wiaczesława Mołotowa w Radzie Najwyższej ZSRR, w którym nazwał on Polskę „Pokracznym bękartem traktatu wersalskiego”, i stwierdził że Polska „rozpadła się w wyniku marszu wyzwoliteńczego Armii Czerwonej”.²

Pod okupacją sowiecką znalazło się po 10 października 1939 r. 201 700 km² obszaru Rzeczypospolitej Polskiej, zamieszkane przez ponad 12300000 ludności w tym około 5600000 osób Polaków,³ ponadto na ziemiach tych znajdowało się około 500-600000 uchodźców z Polski centralnej i zachodniej. W czerwcu 1940 roku, po zajęciu przez ZSRR

¹ Szerzej zob.: S. Dębski, *Pakt Ribbentrop-Mołotow a sowiecka agresja na Polskę 17 września 1939 r.*, [w:] *Radziecka agresja 17 września 1939 i jej skutki dla mieszkańców ziem północno-wschodnich II Rzeczypospolitej*, red. M. Gnatkowski, Białystok 2000, s. 11-34.

² J. Kumaniecki (red.), *Stosunki Rzeczypospolitej Polskiej z państwem radzieckim 1918-1943. Wybór dokumentów*, Warszawa 1991, nr 96.

³ P. Żaroń, *Ludność polska w Związku Radzieckim w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1990, s. 67.

państw bałtyckich, obszar RP pod władzą Moskwy się powiększył o Wileńszczyznę – 6680 km² zamieszkane przez 550000 osób.

Celami polityki sowieckiej było zniszczenie polskiej państwowości, depolonizacja, zintegrowanie zagarniętych ziem z ZSRR, sowieetyzacja życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Środkami prowadzącymi do realizacji tych celów były represje i indoktrynacja.⁴ Rządy sowieckie na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej trwały niecałe dwa lata – do czerwca 1941 r. Okres ten można podzielić na trzy lub cztery podokresy.⁵

Pierwszy podokres obejmował dwa pierwsze miesiące, do listopada 1939 r. włącznie. Na początku zaznaczył się on falą mordów i rabunków, generalnie jednak był okresem względnej tolerancji narodowościowej i pewnego chaosu. Administracja sowiecka w tym okresie prowadziła politykę równouprawnienia pięciu języków: rosyjskiego, ukraińskiego, białoruskiego, jidysz i polskiego.

W tym okresie jednak zostały dokonane ważne posunięcia przesadzające z sowieckiego punktu widzenia formalny status zajętych ziem i ich mieszkańców. W dniu 22 X 1939 r. przeprowadzono tzw. „wybory”, fasadowe i sterowane oczywiście, do Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, owe Zgromadzenia wystosowały „prośby” o przyjęcie w skład ZSRR, co oczywiście zostało rozpatrzone pozytywnie – w dniach 1-2 XI 1939 r. Rada Najwyższa ZSRR przyjęła uchwały o wejściu tych ziem w skład Związku. Kolejnym krokiem była paszportyzacja – w dniu 29 XI 1939 Prezydium Rady Najwyższej wydało dekret o nadaniu obywatelstwa ZSRR wszystkim obywatelom RP znajdującym się w dniach 1-2 XI na terenie Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy.⁶ Wprowadzono radziecki system paszportowy – w istocie system ścisłej kontroli ludności, w którym życie bez sowieckiego paszportu stało się faktycznie niemożliwe. Akcja paszportyzacyjna prowadzona przy pomocy szczegółowych kwestionariuszy osobowych miała też na celu zebranie bardzo dokładnych informacji o ludności, a zwłaszcza o jej postawach politycznych i o stosunku do ZSRR. Zarówno wcielenie wschodnich ziem RP do ZSRR, jak i narzucenie sowieckiego obywatelstwa, były niewątpliwie krokami łamiącymi prawo międzynarodowe, które zakazuje okupantowi zmieniania statusu okupowanego terytorium i nadawania swojego obywatelstwa jego mieszkańcom.

Drugi etap trwał od grudnia 1939 r. do stycznia 1940 r. i można go krótko nazwać okresem depolonizacji. W tym okresie zostały przeprowadzone działania zmieniające społeczne, gospodarcze i kulturalne oblicze zajmowanych obszarów. Znacjonalizowano przemysł i handel, usuwano

⁴ A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939-1941*, Łódź 1998, s. 618.

⁵ Ibidem, s. 618-619.

⁶ Szerzej zob.: Ibidem, s. 48-82.

język polski z obiegu w kulturze i oświacie. Miejsce polskiego w tym okresie zajął język ukraiński i białoruski, na kierownicze stanowiska promowano kadry ukraińskie i białoruskie. W tym okresie miała też miejsce pierwsza fala aresztowań Polaków, która dotknęła głównie oficerów rezerwy, urzędników i aktywistów polskich organizacji.

Kolejny okres można scharakteryzować jako okres represji i rusyfikacji. Od lutego do lipca 1940 r. społeczność polską i zresztą nie tylko polską, dotknęły najbardziej brutalne represje: zostały przeprowadzone trzy wielkie deportacje na wschód, pobór do Armii Czerwonej, zamknięto granicę z Rzeszą Niemiecką. Zamiast białorutenizacji i ukrainizacji zaczęto prowadzić akcję rusyfikacyjną, napłynęli liczni funkcjonariusze Rosjanie z Rosyjskiej FSSR, najważniejszą i najbardziej widoczną instytucją stało się NKWD – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, czyli policja polityczna. W tym okresie została też dokonana zbrodnia katyńska.

Ostatni i najdłuższy etap trwał od sierpnia 1940 do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Najprawdopodobniej w przewidywaniu konfliktu z Niemcami Moskwa nieco złagodziła politykę wobec Polaków, przywrócono częściowo język polski w urzędach i szkołach. Najbardziej tragiczne było zakończenie tego okresu kiedy to w przededniu wojny w czerwcu 1941r. dokonano czwartej wielkiej deportacji, a już po wybuchu wojny wycofujący się enkawudziści wymordowali kilka tysięcy więźniów politycznych.

W konsekwencji wyżej opisanej polityki represji, pokaźna część Polaków – mieszkańców wschodnich ziem Rzeczypospolitej – znalazła się bez własnej woli w głębi Związku Sowieckiego. Ofiary przemieszczeń można podzielić na kilka grup.

Pierwszą tworzyli jeńcy – żołnierze Wojska Polskiego wzięci do niewoli sowieckiej we wrześniu 1939 roku. W propagandzie radzieckiej nazywano ich z reguły „internowanymi”, co było fałszem, gdyż żołnierze ci utracili wolność w wyniku działań obcej armii na obcym terytorium, powinien im więc przysługiwać status jeńców. Jak jednak widzimy doskonale, nie było to ani pierwsze, ani ostatnie złamanie przez państwo Stalina prawa międzynarodowego. Wbrew zasadom Konwencji Genewskiej (której ZSRR nie podpisał ale deklarował przestrzeganie), jeńców oddano pod nadzór administracji niewojskowej – NKWD. Ilu było owych jeńców? Według oświadczeń władz polskich z 1941 r., we wrześniu 1939 r. w niewoli sowieckiej znalazło się około 200000 żołnierzy i oficerów. Z tego około 40-50000 zostało zwolnionych, 25-30000 uciekło, 10-15000 zostało przekazanych Niemcom, doszło zaś kilka tysięcy internowanych z Litwy i Łotwy. W połowie 1940 roku było w niewoli sowieckiej prawdopodobnie jeszcze ponad 100000 jeńców, z czego więk-

szość wywieziono w głąb ZSRR.⁷ W kwietniu i maju 1940 r. w Katyniu, Charkowie i Miednoje około 15000 jeńców (oficerów) zostało wymordowanych w ramach tzw. w enkawudowskim żargonie akcji „rozładowania obozów” – formalnie było to wykonanie wyroków śmierci wydanych przez trybunały specjalne NKWD, w trybie specjalnym bez aktu oskarżenia i bez procesu. Faktycznie była to oczywiście zaplanowana akcja ludobójcza – największa podczas II wojny światowej zbrodnia na jeńcach wojennych.

Drugą grupą przemieszczonych w głąb ZSRR obywateli polskich były osoby formalnie aresztowane i osadzone w więzieniach oraz obozach pracy (łagrach). Była to głównie inteligencja, urzędnicy, oficerowie rezerwy, kupcy, działacze organizacji polskich, a także żydowskich, ukraińskich i białoruskich). Byli oni skazywani na podstawie paragrafów sowieckiego Kodeksu Karnego za takie czyny jak „zdrada ZSRR”, „walka przeciw ZSRR”, „dywersję i szpiegostwo” (pod tym pojęciem rozumiano między innymi wszelkie próby przekroczenia granicy), „kontrrrewolucja” (udział w wojnie 1920 r.) itd. Ofiar tego rodzaju represji było około wg różnych szacunków od 100 do 300000.⁸

Trzecią i najliczniejszą grupą byli deportowani. Władze radzieckie uznały około 3 miliony mieszkańców zagarniętych ziem (a więc ponad ¼ ludności) za tzw. „element społecznie niebezpieczny”. Zaliczono tu leśników, urzędników, policjantów, działaczy politycznych i społecznych, część robotników i chłopów, część nauczycieli i lekarzy oraz uchodźców z zachodniej i centralnej Polski, oczywiście w każdym przypadku wraz z rodzinami. Ludzie ci stali się ofiarami czterech wielkich deportacji, które miały miejsce w dniach 8-10 II 1940 r., 13-15 IV 1940 r., 20-30 VI 1940 r. oraz w czerwcu 1941 r.. Część deportacji były to tzw. deportacje wewnętrzne republikańskie, kiedy to wysiedlonych kierowano na wschodnią Białorusi i Ukrainę, część jednak trafiła do wszystkich rejonów ZSRR. Los na miejscu był dwojaki: albo przebywali na wolnej stopie ale z zakazem opuszczania miejsca zamieszkania, albo mieli status tzw. specprzesiedleńców podlegających ścisłemu reżimowi pod kontrolą miejscowego NKWD. Starsze szacunki, oparte na danych władz polskich z lat 1941-1943 mówią o 1.200.000 wszystkich deportowanych, nowsze zmniejszają tę liczbę do około 460.000.⁹

Czwarta grupa to obywatele polscy wcieleni do Armii Czerwonej – los ten spotkał ponad 200.000 młodych mężczyzn. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zostali oni uznani w większości (podobnie zresztą jak zachodni Białorusini i zachodni Ukraińcy) za element niepewny i skierowani do batalionów budowlanych (*strojbatów*).

⁷ P. Żaroń, *Ludność polska...* op. cit., s. 117-121.

⁸ Ibidem, s. 121-124.

⁹ Ibidem, s. 125-135; A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków...* op. cit., s. 320-402.

Piątą grupą byli ochotnicy, którzy dobrowolnie wyjechali do pracy w ośrodkach przemysłowych ZSRR, głównie do Zagłębia Donieckiego. Było to kilkadziesiąt tysięcy osób.

Ostatnia grupa przemieszczonych to ludzie ewakuowani już po wybuchu wojny, w tym kilkadziesiąt tysięcy dzieci przebywających na koloniach letnich oraz w sierocińcach, łącznie zaś około 200000.

Zestawienia sporządzone w 1941 roku przez Ambasadę Polską w ZSRR mówiły o 1875000 obywateli polskich przemieszczonych w głąb ZSRR, w tym 52% mieli stanowić etniczni Polacy. Liczba ta nie obejmowała Polaków wcielonych do Armii Czerwonej. Dziś liczba ta budzi kontrowersje, wg szacunków opartych na źródłach sowieckich historycy dziś sugerują, że faktycznie ofiar wszystkich przemieszczeń było o połowę mniej.¹⁰ Nawet jeśli jednak przyjąć owe niższe dane – według których w głębi ZSRR do 1941 r. włącznie znalazło się niewiele ponad milion obywateli RP, to i tak liczba ta jest wielka a tragizm losu tych ludzi przerażający.

Deportowani i uwięzieni Polacy trafili na niemal wszystkie obszary ZSRR: do północnej części Rosji europejskiej (Republika Komi, obwód archangielski), na Syberię, na Powołże, do Azji Środkowej – w niemal wszystkie strefy klimatyczne, od bagnistej i pełnej insektów tundry na kręgu polarnym, po pustynie Azji Środkowej. Nieludzkie traktowanie, ciężka praca i złe warunki klimatyczne sprawiły, że ponad 300 000 Polaków w głębi ZSRR zmarło.

Do czerwca 1941 r. los Polaków deportowanych w głąb ZSRR nie był specjalnie nagłośniony w działalności władz RP na uchodźctwie. Sytuacja zmieniła się po napaści III Rzeszy na ZSRR. W przemówieniu radiowym w dniu 23 VI 41 r. premier Władysław Sikorski omawiając nową sytuację przypomniał o losie ludności polskiej w ZSRR.¹¹ W dniu 5 lipca 1941r. w Londynie rozpoczęły się negocjacje rządu RP z ambasadorem ZSRR Iwanem Majskim. Od początku strona polska podnosiła kwestię ludności, jeńców i więźniów. Majski się zgadzał co do zasady, że powinni zostać zwolnieni, były jednak różne stanowiska w kwestii liczby ich i statusu. Strona radziecka mówiła o 20000 jeńców, polska – o 180000. Tym niemniej wówczas strona radziecka była skłonna do dość dalekich ustępstw. Sytuacja militarna była niepomyślna dla ZSRR, a dla Stalina zawarcie układu z Polską było konieczne, by zalegitymizować swój udział w koalicji antyhitlerowskiej i uzyskać pomoc militarna i gospodarczą z Zachodu.

¹⁰ Z. Mańkowski, *Polska martyrologia 1939-1945. Kontrowersje*, [w:] *Przełomy w historii. XVI Powszechny Zjazd Historyków Polskich, Wrocław 15-18 września 1999 roku, Pamiętnik*, t 2., cz. 2, Toruń 2002, s. 351-352. Zob. także: A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków...* op. cit., s. 321.

¹¹ *Układ Sikorski-Majski. Wybór dokumentów*, red. E. Duraczyński, Warszawa 1990, nr 2.

W dniu 30 VII 1941 r. zawarty został układ między rządem ZSRR i rządem RP przywracający wzajemne stosunki dyplomatyczne, utrwalony w pamięci zbiorowej jako układ Sikorski-Majski.¹² Układ stanowił, iż:

- ❖ rząd ZSRR uznaje że traktaty niemiecko-sowieckie z 1939 dotyczące zmian terytorialnych w Polsce straciły moc. Rząd RP oświadcza, że Polska nie jest związana z żadnym trzecim państwem układem przeciw ZSRR;
- ❖ zostają przywrócone stosunki dyplomatyczne;
- ❖ oba państwa udzielą sobie pomocy wzajemnej i poparcia przeciw Niemcom hitlerowskim;
- ❖ powstanie Armia Polska w ZSRR z dowódcą mianowanym przez rząd polski w porozumieniu z rządem ZSRR, operacyjnie będzie podlegać Naczelnemu Dowództwu ZSRR. Zostanie też zawarty osobny układ wojskowy.

Protokół dodatkowy w artykule 1 głosił:

Rząd sowiecki udziela amnestii wszystkim obywatelom polskim którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium ZSRR bądź jako jeńcy wojenni bądź na innych odpowiednich podstawach

Pierwszy punkt układu mówiący o „utraceniu mocy” przez traktaty niemiecko-sowieckie mógł być różnie interpretowany. Dla Polski oczywiście korzystne i moralnie słuszne byłoby gdyby strona radziecka uznała, że traktaty te były sprzeczne z prawem międzynarodowym i nieważne od momentu zawarcia.¹³ Rzutowało to na wiele kwestii, dotyczących bezpośrednio ludność: kwestia obywatelstwa, zwolnienia z obozów i miejsc deportacji, pomoc materialna itd. Układ nie uchylał takich kroków sowieckich jak nadanie obywatelstwa, szczególnie zachodziła obawa, czy tak samo będą traktowani Polacy z Wileńszczyzny.

Część emigracji w Londynie krytykowała generała Sikorskiego za dopuszczenie do słowa „amnestia” uwłaczającego godności Polaków nie będących przecież żadnymi przestępcami. Naczelnny Wódz jednak odparł że tak można mówić, kiedy się ma codziennie śniadanie, obiad i kolację, dla tych ludzi to była sprawa życia lub śmierci.¹⁴ Także w liście do generała Kazimierza Sosnkowskiego pisał:

Zależało nam poza tym na utworzeniu wojska polskiego na obszarze ZSRR i podjęciu walki z Niemcami w liczbie przewyższającej nieporównanie wszystkie inne możliwości dzisiejsze. Zależało nam na uratowaniu dziesiątków tysięcy wybornych, jak się okazuje, żołnierzy od zagłady. Chcieliśmy jednocześnie ocalić, jak się dziś okazuje, ponad 1 ½ miliona wypróbowanych i zahartowanych w najcięższej szkole życia patriotów polskich, którzy dzięki umowie odzyskują prawa ludzkie, a wiele dziesiątków tysięcy uwięzionych od niechybnej śmierci. Ja oso-

¹² Ibidem, nr 30.

¹³ P. Żaroń, *Ludność polska...* op. cit., Warszawa 1990, s. 6-7.

¹⁴ Ibidem, s. 157.

biście wyczuwałem wtedy ich szept tragiczny „ratuj nas”. Tak też postąpiłem, salwując jednocześnie najżywotniejsze interesy Rzeczypospolitej.¹⁵

W piśmie do dowódcy Armii Krajowej, generała „Grota” Roweckiego, Sikorski przedstawił następujące motywy zawarcia układu:

- ❖ konieczność wzmocnienia Wielkiej Brytanii
- ❖ utworzenie Armii Polskiej w ZSRR - korzyść militarna dla sprawy polskiej
- ❖ wytrącenie argumentu propagandzie III Rzeszy głoszącej o europejskiej krucjacie antykomunistycznej
- ❖ konieczność zorganizowania szybkiej pomocy dla ludności polskiej¹⁶

Pomimo tych motywacji, układ wywołał kryzys polityczny: prezydent Władysław Raczkiewicz sporządził nawet nocą 30/31 VII 1941 r. pismo o złożeniu urzędu które jednak nie zostaje wysłane, a generał Sosnkowski podjął działania celu powołania nowego rządu. Ostatecznie kryzys został zażegnany dzięki: zdecydowanej postawie przywódców trzech stronnictw: SL, SP, PPS, oraz wskutek nabrania przekonania przez prezydenta, że układ jest jednoznacznie popierany i oczekiwany przez sojusznika brytyjskiego. Definitywnie rozstrzygnęło też poparcie z Kraju, którego udzieliły trzy z czterech stronnictw „Wielkiej Czwórki” (SL, SN i SP, bez PPS-WRN).

Potem doszły też głosy poparcia dla generała Sikorskiego od Polaków z ZSRR. Wyraził je najpierw w Moskwie generał Władysław Anders, potem zaś przybyły z ZSRR do Londynu generał Marian Januszajtis. Anders pisał do Sikorskiego tak:

Wydaje się, że chyba tylko my, a w każdym razie przede wszystkim my, cośmy przeszli gehennę i poniewierkę więzień sowieckich, obozów pracy i zesłań w straszliwych częstokroć warunkach, mogliśmy moralnie przeciwstawić się wszystkim próbom zgody z Rosją. A jednak wszyscy bez wyjątku przechodzimy do porządku nad sprawami i nieszczęściami osobistymi, gdyż samo danie możliwości dalszej walki o Polskę z bronią w ręku wskazuje nam wyraźnie drogę do wielkiego celu. Wszak sama możliwość stworzenia suwerennej armii polskiej i obok niej naszych ośrodków kultury, wyrwanie z niedoli co najmniej setek tysięcy ludności rdzennie polskiej i to olbrzymiej ilości niezwykle wartościowej (rodziny wojskowe, znaczna ilość dzieci, twardy polski element kresowy, osadnicy, pracujący w organizacjach wojskowych, społecznych itp.) jest już samo przez się zdobyczą olbrzymią.¹⁷

W dniu 4 VIII 1941 r. profesor Stanisław Kot objął ambasadę RP w ZSRR. Dwa dni później Władysław Anders został mianowany dowódcą Armii Polskiej w ZSRR i awansowany na generała dywizji.

¹⁵ *Układ Sikorski-Majski...* op. cit., nr 64, 1941, X 14, W. Sikorski do K. Sosnkowskiego, s. 267.

¹⁶ *Układ Sikorski-Majski...* op. cit., Wprowadzenie s. 65.

¹⁷ L. Mitkiewicz, *Z Generałem Sikorskim na obczyźnie. Fragmenty wspomnień*, Paryż 1968, s. 108, za: P. Żaroń, *Armia Andersa*, Toruń 1996, s. 32.

W dniu 12 VIII 41 r. prezydium Rady Najwyższej ZSRR wydało dekret o amnestii dla Polaków, a kolejne dwa dni potem (14 VIII) w Moskwie została podpisana polsko-radziecka umowa wojskowa w sprawie zorganizowania Armii Polskiej na terytorium ZSRR. W myśl tej umowy Armia Polska będzie częścią Sił Zbrojnych RP, będzie składać przysięgę na wierność RP, walczyć będzie przeciw Niemcom, po wojnie wróci do Polski. Operacyjnie będzie podlegać Naczelnemu Dowództwu ZSRR, personalnie i organizacyjnie Naczelnemu Wodzowi Sił Zbrojnych RP. Składać się będzie tylko z jednostek lądowych, zaś marynarze i lotnicy będą ewakuowani do Wielkiej Brytanii. Polskie jednostki będą kierowane na front w związkach nie mniejszych niż dywizja i po osiągnięciu pełnej gotowości bojowej. Uzbrojenie i sprzęt wojskowy będzie przekazane przez ZSRR oraz przez rząd RP ze środków z „Lend-Lease”. Utrzymanie armii będzie kredytowane przez ZSRR i po wojnie zwrócone.¹⁸

Amnestia była wielkim wydarzeniem w życiu Polaków w ZSRR – oznaczała początek nadziei na lepsze życie, a często na życie w ogóle. Faktycznie zwolnienia z obozów zaczęły się jeszcze przed dekretem o amnestii, zaś po 12 VIII 1941 r. rozpoczęła się ogromna wędrówka z północy na południe. Ambasada polska od początku nalegała, by Polaków przenieść w rejony korzystniejsze klimatycznie i tam też się oni samorzutnie kierowali. Początkowo zwalniani z łagrów otrzymywali zasiłki pieniężne, bilety i żywność a nawet organizowano im transporty. Znacznie trudniej było podróżować tym, którzy wyruszyli na południe „do Armii Andersa” samorzutnie. Nie mieli pieniędzy, a ponadto pierwszeństwo na przejazdy pociągami mieli wojskowi radzieccy i inne osoby z „komandirowkami”.

Faktyczne często amnestia była niewykonywana. Komendanci łagrów np. zwalniali tylko starszych i chorych, ale nie mężczyzn zdolnych do pracy. Odmawiano pomocy w transporcie. Jeszcze w listopadzie 1941 r. do Armii Czerwonej wcielano obywateli polskich sprzed września 1939 narodowości białoruskiej, ukraińskiej i żydowskiej. Największym jednak zagrożeniem dla egzystencji ludności była odmowa udzielenia przez ZSRR pożyczki na zapomogi dla ludności cywilnej. W dniu 5 XI 41 r. władze radzieckie zadeklarowały gotowość udzielenia takiej pożyczki, ale tylko w kwocie 3 milionów rubli. Była to kropla w morzu potrzeb i ambasador Kot odmówił jej przyjęcia. Korzystano więc ze środków z 65-milionowej pożyczki wojskowej.

W dniu 14 X 1941 r. ówczesny zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych Andriej Wyszyński stwierdził że w głębi ZSRR jest 387932 obywateli polskich pozbawionych wolności. Prawdopodobnie miał na myśli tylko tych z Polski centralnej i zachodniej.¹⁹ Władze radzieckie twierdziły też, że wszyscy Polacy zostali zwolnieni do listopada

¹⁸ P. Żaroń, *Armia...*, op. cit., s. 35.

¹⁹ P. Żaroń, *Ludność polska...* op. cit., s. 172.

1941 r. włącznie. Polska strona mając świadomość że tak nie jest, wysyłała władzom radzieckim noty z konkretnymi nazwiskami osób, domagając się ich zwolnienia.

Pomoc dla ludności polskiej była bardzo utrudniona przez fakt, że władze sowieckie nie zgodziły się na stworzenie polskiej służby konsularnej. Zadania konsulatów musiały być wykonywane przez służbę dyplomatyczną, za pomocą delegatur ambasady.²⁰ Do stycznia 1942 powołano 36 takich delegatur w różnych miejscowościach różnych regionów ZSRR, a także powołano 421 polskich mężów zaufania. Do kompetencji delegatur należało: rejestrowanie obywateli polskich, wydawanie im dokumentów, informowanie obywateli polskich i o obywatelach polskich, troska o minimum egzystencji niezdolnych do pracy, współdziałanie z władzami radzieckimi w wyszukiwaniu pracy dla zdolnych do pracy, wreszcie opieka kulturalna i oświatowa.²¹

W dniu 3 XII 1941 do Moskwy przybył generał Sikorski. W rozmowie ze Stalinem, z udziałem Andersa, Kota i Mołotowa, Naczelnny Wódz stwierdził, że jeszcze nie wszyscy Polacy są zwolnieni z łagrów i więzień. Nalegał na pełne wykonanie amnestii, przeniesienie Polaków na południe, zmianę stosunku organów terenowych do Polaków, domagał się też pożyczki 100 milionów rubli na rzecz ludności cywilnej

Można ocenić, że wszystkie te postulaty były realizowane lub przynajmniej zaczęto je realizować. W dniu 31 XII 41 została podpisana umowa o pożyczce. Wcześniej jeszcze, 8 XII Komitet Obrony ZSRR podjął decyzję o przeniesieniu obywateli polskich do Kirgiskiej i Uzbeckiej SRR. W radiu sowieckim przyznano czas antenowy dla ambasady polskiej w wielkości 4 razy po 10 minut w tygodniu. Strona sowiecka zezwoliła na wydawanie dwóch tygodników polskich w nakładzie po 10000 – ogólnego „Polska” i wojskowego „Orzeł Biały”. W dniu 5 I 42 generał Anders wydał rozkaz o dyslokacji jednostek Armii Polskiej w Uzbekistanie i Kirgizji, przy czym dowództwo umieszczono w Jangijul pod Taszkientem

Razem z Armią do Azji Środkowej zaczęli się przemieszczać polscy cywile. Ich sytuacja była tragiczna: w większości byli wycieńczeni po pobycie w łagrach, mieli zniszczone zęby, choroby skóry, chorowali na tyfus plamisty i brzuszny oraz na gruźlicę. Ogólne osłabienie organizmu wywoływało często tzw. kurzą ślepotę. Brakowało dla nich żywności – byli żywieni z racji przeznaczonych dla Armii. Nastroje i morale nie zawsze było dobre, część nie rozumiała po co ma jechać do Azji Środkowej, obawiano się może kolejnego sowieckiego podstępu. Na dodatek w regionach do których trafili, choć były one cieplejsze od mrozów koła

²⁰ B. Szubtarska, *Zarys działalności konsularnej ambasady RP w ZSRR w latach 1941-1943*, „Studia z Dziejów Rosji i Europy Środkowo-Wschodniej”, t. XXXVIII, 2003, s. 279-289.

²¹ P. Żaroń, *Ludność polska... op. cit.*, s. 195-196.

polarnego, Syberii czy Kamczatki, panowały epidemie tyfusów i malarii i klimat dla Polaków także nie był dogodny.²²

Wśród Polaków rozprowadzano środki z pomocy przekazywanej przez Amerykański czerwoną Krzyż i inne amerykańskie instytucje – żywność, lekarstwa i ubrania. Pomoc ta była duża jak na warunki wojenne, ale oczywiście za mała w stosunku do potrzeb. Łącznie pomoc rozprowadzana za pośrednictwem ambasady polskiej obejmowała ponad 260 000 ludzi.

Wkrótce miało się okazać, że okres grudnia 1941 r. i stycznia 1942 r., wcale nie będący przecież dla Polaków w ZSRR idyllą, stanowił i tak pewne optimum. W lutym stosunek władz sowieckich wobec Polaków się pogorszył. Moskwa domagała się wysłania 5 Dywizji Piechoty na front, strona polska jednocześnie w tym samym czasie żądała realizacji porozumienia o wysłaniu części Armii Polskiej (27000) na Bliski Wschód. Następnie władze radzieckie okroїły racje żywnościowe dla Armii do wysokości 30000. W dniu 18 III 42 r. odbyła się słynna rozmowa Andersa z Stalinem. sowiecki dyktator stwierdził wówczas, że nie ma już Polaków w obozach i więzieniach, a jedynie są ewentualnie „aresztowani za szpiegostwo”.²³ Obiecał jednak podwyższenie racji żywnościowych do 44000, zwolnienie 100 000 Polaków ze *strojbatów* i zezwolenie na ewakuację nadliczbowej ponad 44 000 części Armii do Iranu. Polaków ze *strojbatów* faktycznie zwolniono i skierowano do pracy w kolchozach.

W dniu 22 III zaczęła się pierwsza ewakuacja z ZSRR do Iranu – wyjechało 44 000 Polaków, w tym 33 000 żołnierzy. Trwała do 4 IV 1942 r.²⁴

W tym momencie na pierwszy plan wybił się problem dzieci – było ich przy Armii Andersa około 180000 w tym 30000 osieroconych.²⁵ W dniu 24 XII 41 r. rząd ZSRR zezwolił na tworzenie sieci placówek oświatowo-wychowawczych w skupiskach ludności polskiej. Do lipca 1942 (apogeum) zorganizowano 175 przedszkoli (obejmowały one także klasy I-IV), 43 szkoły, 139 sierocińców i ochronek. Łącznie te placówki objęły 10% polskich dzieci w ZSRR. W czerwcu 1942 r. pojawiła się po stronie polskiej koncepcja ewakuacji dzieci na Bliski Wschód. Wyszynski zareagował negatywnie, motywując to względami logistycznymi.

Tymczasem sytuacja się cały czas pogarszała. W maju 1942 r. usunięto polskich oficerów łącznikowych ze stacji węzłowych, a w czerwcu, lipcu i sierpniu nastąpiły aresztowania pracowników ambasady polskiej

²² *General broni Władysław Sikorski – general dywizji Władysław Anders. Korespondencja 1941-1943. Wybór dokumentów*, red. B. Polak, Koszalin 2000, nr 39.

²³ Propaganda sowiecka wyeksponowała potem incydentalny przypadek byłego premiera Leona Kozłowskiego, który przeszedł na niemiecką stronę frontu.

²⁴ J. Wróbel, *Uchodźcy polscy ze Związku Sowieckiego 1942-1950*, Łódź 2003, s. 20-21; P. Żaróń, *Ludność polska...* op. cit., s. 208-213.

²⁵ *Ibidem*.

pod fikcyjnymi zarzutami szpiegostwa na rzecz Niemiec.²⁶ Miała też miejsce próba ingerencji władz radzieckich w proces wydawania polskich paszportów – Sowieci zaczęli żądać, by przekazywać im bardzo szczegółowe dane z narodowością, wyznaniem, przynależnością państwową rodziców itd., co umożliwiłoby im ocenianie kto jest Polakiem z narodowości a kto innej narodowości, podczas gdy strona polska wydawała dotąd paszporty polskie wszystkim obywatelom RP. Likwidowanie delegatur, przejmowanie ich zasobów przez władze radzieckie, zmuszenie do wyjazdu z ZSRR ambasadora Kota – te zjawiska umacniały u generała Andersa myśl o całkowitej ewakuacji Armii i Polaków z ZSRR.

Obok restrykcji politycznych latem 1942 doszło pogorszenie warunków bytowych. Fala upałów, tyfus plamisty, malaria, choroby układu pokarmowego, ogólne wycieńczenie kurza ślepotą, groźba głodu - w ich efekcie generał Anders nabiera przekonania, że dalsze pozostawanie w ZSRR oznacza całkowitą zagładę dla Polaków (dotąd zmarło 3700 żołnierzy – bez walki zginęło więc prawie pół dywizji!)²⁷ Takie same też były nastroje żołnierzy i cywilów – dominowało ogólne dążenie by wyjść z „niehumanitarnej ziemi”.

Latem 1942 r. zapanowała więc dziwna sytuacja. Za ewakuacją Armii z ZSRR opowiadali się jednocześnie Anders i jego żołnierze, Stalin i Churchill. Oczywiście wszyscy z innych motywów. Generał Anders uważał, że próby współpracy wojskowej z ZSRR są skazane na niepowodzenie, że intencje Stalina wobec Polski są złe i ewakuacja jest jedynym wyjściem by ocalić Polaków, zaś skupienie Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie może wywrzeć wpływ na polityczne losy wojny. Dla Stalina w tym czasie Armia Polska stała się przeszkodą w realizacji jego planów co do Polski – planował już powołanie własnego ośrodka politycznego w oparciu o komunistów polskich. Dla Churchilla z kolei Armia Polska na Bliskim Wschodzie oznaczała wzmocnienie obronności tego strategicznego regionu w momencie apogeum sukcesów militarnych Niemiec i Japonii.

Na początku lipca 1942 r. premier Sikorski, dotąd konsekwentnie przeciwny, zgodził się na ewakuację Armii.²⁸ Rząd RP domagał się ewakuacji pozostałych dywizji, PSK i Junaków, rodzin wojskowych, 5000 dzieci i 5000 matek lub opiekunek. W dniu 31 VII 42 podpisano protokół polsko-radziecki o ewakuacji. Faktycznie mogli wyjechać jako „rodziny wojskowych” najbliżsi krewni i powinowaci żołnierzy: żona, mąż, rodzice, niepełnoletnie dzieci, chorzy bracia i siostry, przy czym na szczęście liczyło się nie tylko pokrewieństwo i powinowactwo z żołnierzami Armii Polskiej w ZSRR ale także w PSZ na Zachodzie i w niewoli niemieckiej oraz obozach sowieckich.

²⁶ *Generał broni Władysław Sikorski...* op. cit., nr 104-106.

²⁷ J. Wróbel, *Uchodźcy polscy...* op. cit., s. 26-28; P. Żaroń, *Armia Andersa...* op. cit., s. 153.

²⁸ Szerzej nt. ewakuacji zob. tamże, s. 113-154.

W wyniku drugiej ewakuacji trwającej od 9 VIII 42 wyjechało ok. 70000 osób. Łącznie w obu ewakuacjach ZSRR opuściło około 115000 osób, co stanowiło około 7-8% obywateli polskich znajdujących się w ZSRR i około 13-14% tychże narodowości polskiej.²⁹ Była to największa ewakuacja o charakterze humanitarnym podczas II wojny światowej przeprowadzona przez aliantów zachodnich.

W dniu 16 I 43 r. została wydana nota ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR o przywróceniu obywatelstwa sowieckiego mieszkańcom „Zachodniej Ukrainy” i „Zachodniej Białorusi”. Nie dotyczyła ona jedynie osób które przed listopadem 1939 mieszkały w Polsce zachodniej i centralnej. Rząd RP odmówił przyjęcia jej do wiadomości uznając ją za niezgodną z układem Sikorski-Majski, Kartą Atlantycką, i Konwencją Haską.

Definitywnym przełomem w stosunkach polsko-radzieckich stała się sprawa ujawnienia zbrodni katyńskiej. W jej konsekwencji, w dniu 25 IV 43 ZSRR zerwał stosunki dyplomatyczne z Polską.

²⁹ P. Żaroń, *Ludność polska...* op. cit., s. 240; J. Wróbel, *Uchodźcy polscy...* op. cit., s. 42.

ADAM CZESŁAW DOBRŃSKI

W PAMIĘCI DZIECI

Podczas kwerendy w Instytucie Polskim i Muzeum gen. W. Sikorskiego w Londynie natrafiłem na około 400 zapisów młodszych ochotniczek i junaków ze szkół polskich na terenie Środkowego Wschodu.¹ Zebrał je w kwietniu 1943 roku płk Stefan Bobrowski i on chyba nadał kolekcji tytuł: „Kwestionariusze z przeżyć uczniów”. Była to właściwie ankieta z kilkoma pytaniami, jednak mało kto z odpowiadających zachował proponowaną kolejność tematów. Najwięcej uczniowie napisali o warunkach przeprowadzonych na ziemiach polskich przez okupantów sowieckich po przegranej przez Polskę wojnie we wrześniu 1939 roku, o wywózce na wschód, dramatycznych przeżyciach w miejscach przymusowego osiedlenia, postawie funkcjonariuszy NKWD i kierownictw kołchozów, o drodze na południe i docieraniu do formowanych oddziałów armii gen. W. Andersa. Jest to materiał bardzo ciekawy, autentyczny, choć znaczna część odpowiedzi, zwłaszcza uczniów najmłodszych wiekiem, ograniczyła się do pojedynczych zdań i to napisanych niestarannie. Młode ofiary terroru sowieckiego miały z pewnością mniejszy od swych rodziców lub dziadków zasób wiadomości o okresie od września 1939 do wiosny 1943 roku, ale zapamiętały wiele istotnych szczegółów, przeżyły w sposób szczególnie dotkliwy poniewierkę. Zapisy te różnią się od wspomnień osób starszych także stylistyką, użytymi wyrazami i zwrotami.

I. Wejście Sowietów, terror

W odczuciu młodych nastąpiło zawalenie się dobrego świata, nagle zakończyło się ich beztrudne dzieciństwo, pojawili się obcy, ci zachowywali się jak złoczyńcy. W przeciwieństwie do relacji późniejszych żołnierzy 2 Korpusu Polskiego, nie ma oczywiście w odpowiedziach

¹ Instytut Polski i Muzeum gen. W. Sikorskiego, sygn. B. 1852. Na tej podstawie opracowałem referat na sesję w Białymstoku poświęconą wywózkom i migracjom. Ta wersja została poszerzona o nowe zapisy (wraz z załącznikiem) i komentarze.

uczniowskich opisów walk zbrojnych (bitew, potyczek) we wrześniu 1939 roku. Co najwyżej odnotowano wkraczanie oddziałów Armii Czerwonej i towarzyszące temu trwożące zjawiska. Mieszkający w strefie nadgranicznej współczuli nielicznym kopistom (żołnierzom Korpusu Ochrony Pogranicza), którzy zostali zaskoczeni w strażnicach, cofali się w rozproszeniu (Mieczysław Duszka).² Obserwowano również bezradność przemieszczających się grup piechurów polskich, częściowo już pozbawionych uzbrojenia, bez oficerów. Większość z nich szukała schronienia na Litwie lub wracała do domów. Ci żołnierze stawali się łatwych łupem miejscowych „bandytów” (tego terminu najczęściej używali uczniowie), wśród którym z pewnością byli i dywersanci przygotowani wcześniej do tej roli. Przy drogach (m.in. z Baranowicz do Nowogródka) leżały zwłoki żołnierzy, obdarte z mundurów, bez butów (Jan Gogolewski). Lepiej prezentowały się pododdziały kawalerii polskiej. Władysław Grybowicz z pow. krzemienieckiego zapamiętał fakt wystawienia bramy powitalnej z napisem: „Niech żyje Krasnaja Armia i towarzysz Stalin”. Wcześniej od „wyzwolicieli” jednak przyjechał oddziałek konnych,

porucznik skoczył do sklepu i kupił butelkę nafty, połał i podpalił tę bramę. Brama poszła z dymem. Ukraińcy nie wiedzieli, co robić...

Ze szczególną zaciekłością byli tropieni przez miejscowych „rewolucjonistów” policjanci. Marian Tudel z Tarnopola zapamiętał taką grupę pozbawionych wolności funkcjonariuszy, jeden z nich nie miał ciepłego ubrania. Zostali popędzeni do Ostaszkowa,

a potem ich wywieźli stamtąd gdzieś na północ w niewiadomym kierunku, gdzie jeszcze dotychczas nikt z nich nie przyszedł. I nie wiadomo, czy jeszcze żyją.

Skąd młody junak wiedział o Ostaszkowie? Na tym przykładzie uwiadcza się jeszcze jedna cecha charakterystyczna dla omawianych relacji. Są w nich szczegóły wynikłe z zadziwienia się obserwujących (policjant bez ubrania), nie ma zaś z reguły danych liczbowych (ile osób liczyła ta grupa?), nazwisk, stopni wojskowych, prób wyjaśnienia genezy zdarzeń.

Szczególnie okrutne sceny działy się w osadach wojskowych na Kresach. W Marysinie (pow. nowogródzki) miejscowa ludność (Białorusini) rozpoczęła grabież, następnie powstała z dnia na dzień milicja aresztowała mężczyzn i zaprowadziła ich do miasteczka Niechniewiczze. Tam wsadzono Polaków do piwnicy i murowanego ustępu. Po trzech tygodniach wszystkich wyprowadzono na plac, skuto im ręce i popędzono 30 km do więzienia w Nowogródku.

Ja byłem jeszcze małym uczniem i widziałem tę całą męczarnię na swoje oczy, bo kręciłem się koło aresztu prosząc, aby mnie puścili zobaczyć ojca mego, który był aresztowany. Trzy tygodnie dzień i noc prosiłem, aby mnie

² Część kopistów była tylko w kałesonach, choć z karabinami. Jeńców Rosjanie zgromadzili w pałacu nieopodal osady Liczkowe w pow. Husiatyń. Mieszkańcy karmili ich, a przy okazji przywozili i ubrania cywilne umożliwiając ucieczkę.

puszczono do aresztu, aby pocieszyć ojca, ale milicja wyganiała i nawet biła. Co prawda to jeden raz puszczono mnie zobaczyć ojca, ale go nie poznałem. Po trzech tygodniach był cały czarny i obrośnięty. Dużo takich ludzi widziałem, bo była napchana cała piwnica jak śledzi do beczki, aż przestraszyłem się, jak wszedłem do środka. (Jan Zacharewicz).

Bardzo często powtarzają się w relacjach młodych wyznania strachu, przerażenia. W kolonii Osownicza, pow. drohiczyński (Polesie) aresztowanych policjantów³ i osadników wojskowych po kilku dniach nocami wyprowadzano za miasto i mordowano.

Niedaleko mojej osady był majątek Skirmunta,⁴ który 16 lat przedtem był ambasadorem polskim w Anglii. Jego zamordowano w okrutny sposób, prawie żywego zakopano wraz z jego siostrą.

Pewnego głuchego wieczora usłyszeliśmy strzały. Wybiegłem na ulicę, parzę pali się wieś, nazywała się Mołodów. Słyszę krzyk. Konie rżą, krowy ryczą, psy wyją. Spaliło się wtedy dużo zabudowań białoruskich. Oni mówili, że to zrobili Polacy. Na drugi dzień złapali jednego osadnika. Nazywał się Mudza, mężczyli go strasznie, przywiązali do konia, pognali i bili, skończył przy koniu. Z zabitych ściągali ubrania i zabierali sobie. (Jan Korta).

Innemu osadnikowi legionście oraz leśniczemu wydłubano oczy, obcięto języki i też na wpół żywcem zakopano ich w lesie, żeby ciała nie można było znaleźć. (Wacław Wojtas, Lipsk, pow. łuniniecki). Parobek zabił ziemianina Pakulskiego, u którego służył dwa lata i przygwoździł trupa bagnietem do ziemi (Edmund Kowalski). Zwraca uwagę swoisty spokój, z jakim młodzi relacjonowali fakty bestialskiego zachowania się bandytów. Pisząc mieli już za sobą czas wywózki, sami doświadczyli okropieństw.

O rabunkach więcej napisał Mieczysław Florianowicz z osady Stółowicze w pow. baranowickim. I tam zamordowano najbogatszych gospodarzy. Do osadnika nazwiskiem Łatak przyszło w nocy

trzech milicjantów, to jest nie milicjanty tylko zwykli capy, przebrani, nałożyli czerwoną opaskę i na sznurku karabin, i powiedzieli, żeby szedł z nimi na milicję, ale nie poprowadzili na milicję, tylko za miasteczko i tam go nożami zamordowali, miał na sobie około trzydziestu ran i podrzucili go pod mostek, w którym nie było wody.

Pozostałym zabierano zboże, co lepsze wozy i maszyny. Również w osadzie wojskowej Horodyszczce koło Baranowicz górę wzięli „ludzie, którzy byli przestępcami przeciw rządowi polskiemu, między innymi: parobcy, pastuchy i Białorusini, którzy nie zdawali sobie sprawy z następstwa, jakie później osiągną.” Organizowali napady na majątki, urzędy, ciąłi drzewa w lasach. Edmund Kuczewski z osady Naręczyn w pow. ho-

³ W oryginale: milicjantów. Również inni zamiennie używali tych dwóch terminów: policjant i milicjant.

⁴ Skirmunt Konstanty (1855-1949), minister spraw zagranicznych, poseł (ambasador) w Londynie w latach 1922-1934, czyli 12 (13) lat a nie 16.

rochowskim napisał krótko: „Nowa policja złożona z kryminalistów. Mówili, że im słońce zaświeciło”.⁵

Białorusini, początkowo „całą duszą przywiązani do Sowietów”, gdy zorientowali się jak to jest, odwrócili się „od tego raj”. (Witold Karczewski, Kuchczyce, pow. nieświeski). Na tle atakujących cywili pozytywniej („nie była usposobiona zbyt wrogo”) wypadała Armia Czerwona. O łagodnej postawie czerwonoarmistów we wrześniu 1939 roku napisał również Aleksander Karpienko z osady Witosowej w pow. krzemienieckim. Inna sprawa, że w niektórych miejscowościach wytworzył się chaos władzy. Na przykład NKWD wydało polecenie milicji lokalnej, by ta aresztowała posła II RP, wówczas chłopci podzielili się w ocenach, część twierdziła, że był on jednak dobrym człowiekiem, skończyło się więc na akcji represyjnej w wykonaniu samych enkawudzistów.

Opis zdarzeń powrześniowych w Białymstoku podał Jerzy Sławiński, uczeń gimnazjum Zeligmana mieszczącego się przy ul. Sienkiewicza nr 4. Popłoch wśród mieszkańców miasta wzbudziły zwłaszcza aresztowania na ulicach. Do mieszkań dokwaterowywano Rosjan nie pytając gospodarzy o zgodę,

w domach podejrzanych robiono rewizje, szukano politycznych książek, oficerów, policjantów, gajowych, wyższych urzędników, członków organizacji „Strzelca”, OZON-u i innych partii, zaś gdy znaleziono, to aresztowali z miejsca gospodarza.⁶

Enkawudziści przychodzili również do szkoły zabierając uczniów prosto z lekcji. Mówili, że na kilka minut, ale ci już nie wracali do domów. Skutek był taki, że część gimnazjalistów zrezygnowała z nauki i przestała chodzić do szkoły. W mieście „odbywały się przymusowe zebrania, na których głoszono propagandę chcąc zaślepić ludzi, aby byli ślepyimi jak oni.” Z kaplicy wojskowej przy 42 pułku piechoty (kościół garnizonowy) zrobili klub, z pałacu Branickich (do września siedziba wojewody białostockiego) wywieźli co cenniejsze wyposażenie, rozebrali ratusz.

Zrobił się nieład, niedostatek żywności, ubrań i innych potrzebnych do życia przedmiotów. Sklepy opustoszały, głód powstał coraz większy, a ludzi wywożono bez końca i to coraz więcej.

⁵ Kazimierz Jakubowski z osady Rokitno podał informację, że czerwonej miejscowej milicji oparł się listonosz, bo miał broń. Może to błąd, że byli osadnicy wojskowi nie posiadali żadnego uzbrojenia, zawiązków samoobrony?

⁶ Zdaniem Adama Antonicza przeprowadzano je najczęściej w niedziele i święta, gdy w domach zostawały na ogół tylko dzieci, bo dorośli poszli lub pojechali do kościoła. Wówczas najłatwiej było im kraść bezkarnie, a w pierwszej kolejności łupem padały zegarki.

Autor podał też zadziwiający przykład zachowania się kierownika szkoły w Michałowie, obrońcy Lwowa i gorliwego Polaka, który po przyjsciu Sowietów włączył się w nurt wrogiej propagandy i

bluźnił kłamiąc w oczy tym, którzy uczyli się pod jego kierownictwem. Ci nauczyciele, co nie poszli za jego przykładem zostali wywiezieni na Sybir z rodzinami, gdzie pędzili i pędzą życie w bardzo złych warunkach do życia i gina gdzieś z głodu, dlatego że byli dobrymi Polakami.⁷

Swój tekst J. Sławiński zakończył stwierdzeniem:

Dużo więcej było takich przykrych zdarzeń, które (których) nie pamiętam, bo więzienie i łagier wytrzebiły mózgi i wywiały mi wszystko z głowy.

Znamy wiele relacji białostockich z okresu „pierwszego Sowietu”, ta nie wnosi nowych ważkich lub zaskakujących faktów, jest jednak potwierdzeniem zgody międzypokoleniowej w ocenie zmian. Pozwala też na wnioskowanie, że obce rządy były bacznie obserwowane a ich działania żywo komentowane przez młodzież, która brała też udział w dyskusjach domowych oraz środowiskowych.

Tylko mimochodem młodzi wspominali wybory urządzone przez Sowietów (nie brali w nich udziału), jeszcze nie zagrażał im pobór do Armii Czerwonej, z reguły nie byli wtajemniczani w przedsięwzięcia konspiracyjne swych rodziców. Wiadomo z innych źródeł, że NKWD szybko likwidowało nielegalne organizacje szkolne, a białostockie Szare Szeregi miały charakter kadrowy.⁸

Charakterystyczne, że młodszy jeszcze silniej od rodziców akcentowali udział po stronie sowieckiej osób innych narodowości: Żydów, Białorusinów, Ukraińców. Białostoczanin Jerzy Sławiński zawarł opinię odbiegającą znacznie od ustaleń historyków, choć w tej mierze nadal pojawiają się głosy emocjonalne, m.in. jako pokłosie dyskusji wywołanej książką J. Grossa „Sąsiedzi”.

Najlepszymi przyjaciółmi NKWD to byli Żydzi prawie wszyscy, zaledwie może 5% nie pomagało NKWD, zaś reszta jak psy gończe ganiła, aby gdzieś aresztować Polaka, a zwłaszcza oficera lub strzelca. Wszystko NKWD dowiadywało się u nich, bo oni uważali za zaszczyt uwięzić Polaka i wysłać go do tajgi Sybiru na głód, chłód i pewną w cierpieniach śmierć.⁹

⁷ Z pewnością często w domach opowiadano z goryczą o tych, co zdradzili, poszli na służbę najeźdźców, bo te przypadki dobrze zapamiętali synowie i córki. Przykładem również wypowiedź Romualda Błońskiego z osady w pow. Zaleszczyki.

⁸ Vide dokumentacja źródłowa NKWD opublikowana przez M. Gnatowskiego w książce pt. *Niepokorna Białostoczczyzna...*, Białystok 2001 oraz relacja Ryszarda Kaczorowskiego o Szarych Szeregach (*Konspiracja harcerska w Białymstoku 1939-1940 [w:] Społeczeństwo białoruskie, litewskie i polskie na ziemiach północno-wschodniej II Rzeczypospolitej w latach 1939-1941*, Warszawa 1995, s. 291-297).

⁹ Cytat ten koreluje z ówczesnymi sądami obiegowymi, nie uwzględnia jednak faktu deportowania także Żydów do odległych terenów ZSRR (wśród Sybiraków obywateli II RP stanowili ok. 20%). M. Wierzbicki, *Polacy i Żydzi w zaborze sowieckim...*, Warszawa 2001.

Podobne, choć bardziej stonowane w formie zarzuty formowali również dorośli mieszkańcy miasta. Natomiast na terenach wiejskich bardzo negatywnie oceniano postawę Białorusinów i Ukraińców. Zastosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej tłumaczyć należy częściowo niezajomością zaszłości historycznych na Kresach, zaś w programach szkolnych nie nadawano należytego znaczenie problemom narodowościowym II Rzeczypospolitej. Można się też domyślać, że młodzi mieszkańcy osad wojskowych i wsi (zaścianków) o wyraźnej dominacji ludności polskiej, mieli mało kontaktów koleżeńskich z rówieśnikami innej nacji, zwłaszcza ukraińskiej i białoruskiej.¹⁰

II. Wywózka, pobyt na „niehumanitarnej ziemi”

Nocą 10 lutego 1940 roku:

Spałam ja, jak zarówno i cała moja rodzina. Obudziły mnie stukanie i głosy jakiś nieznanymi osob. Spojrzałam w stronę drzwi skąd dochodziły stukania i głosy, i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzałam wpadających do mieszkania naszego NKWD i wielu cywilów trzymających w rękę broń, i zmierzających ku mnie. Struchlałam na widok tych ludzi, w tej chwili podobnych do lwów chcących rozszarpać jakiś żywioł. Podczas, gdy spojrzałam w stronę rodziców ujrzałam, że są przestraszeni.¹¹ (Zdzisław Mańkowski). Nakaz brzmiał: „sobirajties!”, pół godziny czasu na ubranie się, wzięcie jedzenia i ciepłych rzeczy. „Jeszcze ostatni raz spojrzeliśmy na nasze gniazdo rodzinne i dostaliśmy rozkaz opuszczenia domu gdzieś w przepaść.

Na pytanie dokąd, odpowiedziano w następujące słowa: „na drugiego kwartiru”. Starsi mieszkańcy Kresów liczyli się z możliwością wywózki, zwłaszcza po pierwszej akcji lutowej w 1940 roku. Chcieli jednak oszczędzić zmartwień dzieciom, ci łatwiej przyjmowali nadzieję pozostania w domach za dobrą monetę.

Po roku spokoju znów przyszło zaskoczenie.

19 czerwca (1941 r.) Sowietci przybyli do nas. Celem ich było zbadanie, czy my nie mamy broni i przesiedlenie nas w drugą obłast. Kazano nam się pakować. Wśród krzyku naszej ulicy odzywały się miarowe szpazy niewiast i dzieci. NKWD spieszyło się. Załadowano nas w wozy i przywieziono do Łomży. W jednym przystanku tatusia mego oddzielono zabierając gdzieś. Załadowano nas jak zwierzęta w wielkie towarowe wagony, przy tym zaplombowano je. Nigdy nie pomyślałam, że będą wywozić taką masę ludzi (przed naszymi oczyma wozy jechały przeszło pół dnia). Ogromny szpazm, krzyk, klócenie się niewiast z NKWD-stami sprawiały hałas nie do opisania. Najgorszy widok przedstawiali starzy ludzie. Pomyślałam sobie, że dobrze zrobiła nasza babcia nie jadąc z nami.¹² Nadeszła noc ostatnia w rodzinnych stronach. (Ryszard Ławnicki, lat 14,¹³ spod Łomży).

¹⁰ M. Wierzbicki, *Polacy i Białorusini w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-białoruskie na ziemiach północno-wschodnich II RP pod okupacją sowiecką (1939-1941)*, Warszawa 2007 r.

¹¹ Żywioł (żywina) – zwierzę (domowe).

¹² Rzadko się zdarzało, by pominięto osobę będącą na liście osób skazanych na wywózkę. Może piszący nie znał rzeczywistego powodu pozostania babci w domu.

¹³ W momencie wywózki respondenci byli 3 lub niemal 2 lata młodszy. W kołchozie zmarł Janek, dziesięcioletni brat R. Ławnickiego. Pojawiła się opinia, że NKWD prowokowało, by mieć preteksty do wywózek (Kazimierz Surowiec).

Podróż, to było niemal piekło na ziemi: płacz matek, nasilający się głód i brak wody, pierwsi chorzy i zmarli. Młodzi mniej jednak uwagi zwrócili na prymitywizm wnętrz wagonów, brak ubikacji, ciasnotę. W większości lepiej znieśli tę jeszcze jedną szykanę, a może też bardziej byli zainteresowani trasą przejazdu.

Ze zrozumiałych względów wiele miejsca zajmują w relacjach późniejszych młodszych ochotniczek i junaków wspomnienia z miejsc wywozki. Najczęściej były to opisy warunków zamieszkania oraz pracy, głodowania, przypadków nadzwyczajnych.

W posiołkach syberyjskich zastano zrujnowane baraki, do tego ciasne, wilgotne. W ścianach i sufitach gnieździły się pluskwy, a za piecem siedziały karaluchy. Młodemu brakowało dotkliwie ulubionych miejsc zabaw, przyjaciół. Źle znosili drakońskie ograniczenia swobody. Trudno im było zaakceptować system pobytu i pracy oparty niemal wyłącznie na karach. Anna Kapusta zapamiętała, że za samowolne opuszczenie miejsca nakazanego pobytu – w dzień wolny od pracy – trzeba było odsiedzieć 3 dni o samej wodzie. Dokuczał też (i ciekawił?) klimat, zaskakiwała rozległość przestrzeni. W Kazachstanie z kolei zadziwiał step, potem okazał się groźny, choć nauczono się wykorzystywać jego skąpe zasoby żywności. „Chaty kołchoźników były w stosunku do chat w Polsce kurnikami..., z podłogą niczym klepisko w stodole polskiej”. (R. Ławnicki).

Wyjątkowo dokładne są przekazy o tak zwanych „trudodniach” (sprawny robotnik zarabiał 2-3 trudodnia, chłopak polski 1-1,5, jego starsza od 1,5 do 2,5), sposobach naliczania i organizacji płacy, wysokości wynagrodzenia w rublach, a w kołchozach najczęściej w płodach rolnych. To potwierdza udział ledwie kilkunastoletnich chłopców i dziewczynek w wypełnianiu zadań stawianych brygadam. Tym samym stawiali się oni przedwcześnie osobami zarobkującymi lub przynajmniej przyczyniającymi się do otrzymywania żywności. W rozkładzie dnia młodzi najbardziej zapamiętali koszmarnie dla nich ranne wstawanie i niezwykle ostre kary za spóźnienia. W jednym z kołchozów za pierwsze spóźnienie do pracy potrącano 25% głodowej zapłaty, za drugie już 50%, ale z trzeciego groziło aż 6 miesięcy więzienia (Aleksandra Szwed).

Rzadziej spotyka się w analizowanych tekstach wzniosłe deklaracje patriotyczne, tak charakterystyczne zwłaszcza dla powojennych już wspomnień polskich Sybiraków. Jest natomiast wyraźne rozróżnienie świata „swojego” (polskiego, z Bogiem) od „ruskiego”. Z radością ale i dumą młodzi podkreślali, że nie spełniały się groźby sowieckie. „Oni” mówili, że „prędzej włosy u siebie na dłoniach zobaczą,¹⁴ jak my Polskę, ale my wierzyliśmy w lepsze jutro i podtrzymywaliśmy się duchowo, to

¹⁴ W innej wersji – ucho. Helena Domsza. Tak mówił komendant posiołka podsłuchujący niedzielne modlitwy i rozmowy polskich przesiedleńców. Rozsyłał on rodziny „zsylnych” na odległość 15 km, „żeby razem nie byli i zapomnieli o ojczyźnie”.

nas uratowało od śmierci” (Oktawiusz Buczkowski, lat 16). Kiedy na stepowym horyzoncie pokazywała się mała bryzka, wiadomym było, że to jedzie dowódca NKWD. Zadaniem jego było zbadanie postawy zesłańców. Zawsze odbywała się lekka „wypytank”, połączona z kolejną próbą podłamania ducha Polaków. Do tego dochodziły słowa brutalne i na koniec padał nakaz kierowany do „priesiedatiela” kołchozu, by wrogów ludu trzymał krótko (R. Ławnicki). Inny funkcjonariusz powtarzał:

Nie myślcie, że wróćcie do Polski. Polska teraz nasza. Krasna Armia jak raz coś weźmie, to nie oddaje. A lwów (Lwów) nie będzie. (Danuta Petrykiewicz).

Młodszy jeszcze gorzej od starszych znosili wszelkie przymusowe zebrania, kłamstwa jakie podczas nich padały na temat sukcesów komunistycznych i przewinień jaśnie panów polskich, bolesne żarty z wiary katolickiej. Nauczyli się milczeć, bo „jeśli ktoś był przeciw władzy, to go ukarali na parę lat.” Jak „jeden z naszych nie mógł iść do pracy, bo się bardzo źle czuł, to go wygnali i on w lesie zmarł i wykopali jamę i zakopali jak zwierzę.” (H. Domsza).

Cenną pamiątką pozostawały również dla młodego pokolenia wywiezionych nieliczne książki oraz gazety polskie, „urozmaicające to psie życie pełne bólu nie tylko fizycznego...” (Franciszka Adamajtis). Starano się przekazywać je z kołchozu do kołchozu, uczono się fragmentów tekstu na pamięć. Ta lektura miała i praktyczne znaczenie, podtrzymywała znajomość pisanego języka rodzinnego, natomiast najmłodszych uczono czytać – jak wynika ze wspomnień rodziców – głównie na książeczkach do nabożeństwa.

Trudno ocenić jak dalece wszyscy piszący swe relacje byli gorliwi w wyznawaniu wiary w miejscach przymusowego zamieszkania.¹⁵ Zapamiętali działania przeciwko Bogu i katolikom rozpoczęte pod okupacją sowiecką: „Do kościoła nie pozwalali chodzić, obrazy święte rozbijali, niszczyli” (J. Korta). Natomiast na obcej ziemi manifestowali swój katolicyzm razem z rodzicami i dziadkami. Brali udział w improwizowanych nabożeństwach niedzielnych, majowych i w czasie Wielkiego Postu (Teresa Birn). I w tym przypadku oburzały ich „dzikie” reakcje nadzorców, czego przykładem było zabieranie świętych książeczek, różańców, krzyżyków, innych dewocjonaliów.

Wcześniej młodzi wygnańcy zrozumieli, jak bolesne mogą być choroby i jak tragicznym przeżyciem jest śmierć bliskich w obcych stronach. Pomoc lekarska w zasadzie nie istniała, lekarka w sowchozie miała jedynie jodynę, nadmanganian potasu i krople walerianowe (Halina Charlińska), w innym przypadku felczerka dysponowała wyłącznie proszkami od bólu głowy, chininą i maścią ichtiolową (Beta Wmian). Jeden z juna-

¹⁵ Najmłodszy nie przystąpił jeszcze do Komunii Świętej, starsi mogli już przeżywać swe pierwsze niepokoje i protesty („bunty”), charakterystyczne dla wieku dojrzewania.

ków zakpił: „Pomoc lekarska w Rosji stała niby na wysokim poziomie, ale jakoś ludzie umierali.” „Jak ktoś był ciężko chory, to musiał zginąć...”, wywiezieni do szpitala na ogół już nie wracali (Anna Buziukówna). Bardzo trudno było uzyskać zwolnienie nawet przy bardzo wysokiej temperaturze. Brat Marii Furman nie poszedł 2 dni do pracy z powodu chorych nerek, więc zabrało go NKWD. W następstwie tego mama autorki w odpowiedzi na ankietę zmarła z żalu, ona zaś (rocznik 1925) została sama z 10-letnim bratem i 12-letnią siostrą. Starszy brat na szczęście wrócił po odbyciu kary, a Maria szczęśliwie przeżyła tyfus. „Ludzie chorowali na kurzą ślepotę z głodu i nędzy sowieckiej.” (J. Goliński).

W chwilach szczególnie trudnych można było jednak na ogół liczyć na pomoc sąsiadów. W środowiskach polskich wygnańców starano się uchronić najmłodszych przed oddaniem do domów dziecka, bo panowało przekonanie, że tam – jeśli przeżyją – zostaną wychowani na obywateli rosyjskich, posłusznych władzy komunistycznej.¹⁶

Dorastające dzieci dostrzegały ból swych rodziców i doceniały ich poświęcenie:

Gdy dostaliśmy po 50 deka chleba i tej rzadkiej zupy, to ojciec z matką nie zjedli, tylko się ze mną dzielili, choć to było dla mnie mało, a co mówić o rodzicach” (J. Goliński).

Szybko też stawali się młodzi pomocnikami w walce o przetrwanie, wchodzili często w rolę partnerów dorosłych, zwłaszcza tam gdzie zabrakło ojca lub matki. A. Buziukówna uznając, że „Bóg tak chce i tak kieruje naszym losem” zgodziła się na to, że mama z siostrzyczką pozostały na północy ZSRR a ona z braciuzkiem i drugą siostrą pojechały na południe „w tak daleką i nieznaną drogę”.

Dowodem na szybkie wkraczanie dziewcząt i chłopców w życie dorosłych są również zapisane przez nie wzmianki o tajnych organizacjach powstających wśród polskich Sybiraków. Sabina Pobereżna, mama Danuty, była członkinią lokalnej Polskiej Organizacji Wojskowej, a bliżej nieokreślone sprzysiężenie założył sierżant Władysław Sikorski (!) z żoną Zofią. Jeszcze częściej formą konspirowania stawały się zebrania połączone z dyskusjami, spotkania w izbach, w lesie, z dala od nadzorców i osób im się wysługującym. Organizowano także „ogniska”, by w polskim gronie choć na krótki czas zapomnieć o ponurej rzeczywistości, wspominać dobre czasy, pośpiewać, a jeśli można było to i pomodlić się. Bardzo istotną przesłanką organizowania się była pomoc na rzecz najsłabszych. Jednocześnie stroniono od zdrajców, tych co się załamali i stali się zwolennikami komunizmu. Anna Olechowska w swej dobroci dopisała, że „być może przyczyniła się do tego chęć polepszenia sobie

¹⁶ Problem ten, podobnie jak i większość poruszonych w niniejszym tekście, został podjęty w zbiorze relacji dziecięcych i komentarzu autorskim w książce: *W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali. Polska a Rosja 1939-42*, Warszawa 1989. Wykorzystano tam relacje z archiwum Instytutu Hoovera (USA).

bytu”. Urszula Kołerbicka wymieniła wśród donoszących do władz sowieckich: matkę nauczycielki, rzekomą lekarzkę i żonę komendanta policji sprzed wojny z dwójką małych dzieci. Takie przykłady podała również Maria Pelcówna.

Natomiast bardziej zróżnicowane były opinie młodych o współżyciu z przedstawicielami innych nacji. Trudno powiedzieć na ile kształtowały się one w wyniku kontaktów z rówieśnikami narodowości żydowskiej, rosyjskiej oraz ludów miejscowych. Na pewno wpływ na nie miały i doświadczenia z kraju z okresu po wrześniu 1939 roku. Na przykład Aleksandra Kucharska zapamiętała:

Na posiołku było dużo Polaków i Żydów. Żyliśmy w wielkiej przyjaźni. Natomiast z Ruskimi w wielkiej niezgodzie, bo na każdego Polaka patrzyli krzywo.¹⁷

Źle usposobieni byli w większości Ukraińcy, ale zdarzały i przeciwnie opinie co do zachowań przedstawicieli tej nacji. Nie napotkałem na uwagi o Białorusinach oraz Litwinach. Młodzi przekazali jednak mniej od dorosłych informacji o ludności miejscowej, raziła ich niska kultura życia „tubylców”.

Bardzo wiele emocji budziły listy. Czekano na nie, podobnie jak na paczki z żywnością. Denerwowała cenzura w wykonaniu władz kolchozowych (sprawowali ją często z pomocą deportowanych obywateli II RP innych nacji) i enkawudzystów, zarówno poczty nadchodzącej, jak i wysyłanej. Z tej przyczyny jedna z późniejszych młodszych ochotniczek pisała listy mlekiem i sosem cebulowym (?). Z zachowanej korespondencji wiemy też, że stosowano kamuflaż słowny.

III. Ratunek w wojsku

Pierwszym odruchem po ogłoszeniu tak zwanej amnestii, wynikającej z układu Sikorski – Majska, była chęć jak najszybszego wyjechania do rejonów charakteryzujących się dogodniejszymi warunkami klimatycznymi. Łączyła się z tym nadzieja na znalezienie lepszych mieszkań a przede wszystkim mniej znoјnej i lepiej wynagradzanej pracy. Przeszkodą zaś był brak środków finansowych, zły stan zdrowia niektórych przynajmniej członków rodzin, oczekiwanie na powrót uwięzionych lub przeniesionych do prac w innym miejscu. Często utrudnienia czyli również przewodniczący kolchozów i dyrektorzy innych zakładów pracy, bo po wybuchu wojny z Niemcami zaczęto pobór mężczyzn do wojska i tym samym ubywało siły roboczej. Domyślać się można, że młodzi byli bardziej skłonni od rodziców do podjęcia decyzji i wyjeździe.

¹⁷ W kwestionariuszu znajdowało się pytanie o zachowaniach przedstawicieli władzy, zabrakło natomiast takiej inspiracji do zapisania relacji z miejscową ludnością. Sybiracy w swych wspomnieniach wyraźnie odróżniają haniebną postawę funkcjonariuszy partii, sił bezpieczeństwa i większości nadzoru w miejscach przymusowego pobytu od zachowań zwykłych, też cierpiących, obywateli ZSRR.

Odzyskanie wolności dodała otuchy wierzącym w pomyślny finał.

Dnia 12 sierpnia wydali dla nas książeczki do nabożeństwa i paszporty, a wieczorem odbyło się zebranie, na którym naczelnik odczytał nam amnestię 1941 roku.. Polski robotnik wstąpił na scenę i przemówił do naczelnika: pamiętasz kiedyś było mówione, że Polski nie ma i nie będzie, a myśmy nie tracąc wiary, tylko czekaliśmy tej chwili, że Polska była, jest i będzie”. (A. Baziukówna).

Gehenną stała się jazda na południe, według niektórych historyków pochłonęła ona więcej ofiar śmiertelnych niż wywózka z ziem polskich do Syberii lub Kazachstanu.

W drodze zmuszeni byliśmy wyprzedzić ostatnią pościel. Z trudnością dostaliśmy się do Kirowa, łącząc się z innymi transportami Polaków. Miejsce nasze zakwaterowania było pod murem i gołem niebem, gdzie przez tydzień sprzyjała(?) nam zadyмка śnieżna. (Janina Garbicz).

Czekano w udręce na kolejne połączenia kolejowe, dokuczał głód, a w przypadku ciężkiej choroby szansę na wyzdrowienie były jeszcze mniejsze niż w poprzednich miejscach zamieszkania.

Dla kobiet, osób w podeszłym wieku i dzieci często pośrednim etapem były znów kołchozy, tym razem na południu ZSRR, głównie w Uzbekistanie.

Dawali nam po 200 g mąki jęczmiennej na pół z ościami, że nie było można wcale jeść, bo ości kaleczyły usta i bardzo ludzie chorowali i umierali, na dzień było 5 trupów. Chleba nie widzieliśmy 5 miesięcy. (H. Domsza, obłast taszkiencka).¹⁸

Jej rówieśnica Helena Tułak trafiła jeszcze gorzej, bo w kołchozie im. W. Mołotowa „płacili” 30 deka jęczmienia na jeden dzień, panował tyfus i marło po 15 osób na dobę. Zmarła również matka Heleny, więc jak powstała ochronka polska, dziewczyna zaprowadziła tam młodszą siostrę, sama zaś dostała się do szkoły junaczek w Kitabie. Upały w połączeniu z brakiem zdrowej wody do picia, a nade wszystko epidemie chorób zakaźnych dziesiątkowały Polaków. Nadzieję upatrywano w akcji pomocowej rozpoczętej za pośrednictwem delegatów Ambasady RP w Kujbyszewie i rejonowych oraz lokalnych mężów zaufania. Działania te jednak rozwijały się z różnych powodów wolno, delegaci prosili o pozostanie w kołchozach i podejmowanie tam pracy zarobkowej.¹⁹

W tej sytuacji najpewniejszym ratunkiem pozostawały obozy powstającego w ZSRR wojska polskiego pod dowództwem gen. W. Andersa. Skorzystali z tej okazji autorzy zaprezentowanych zapisów, wyszli razem z armią do Iranu (Persji), zostali skierowani do szkół młodych

¹⁸ Tam zmarły babcia i ciocia przyszłej młodszej ochotniczki.

¹⁹ Vide: *Sprawozdanie z podróży służbowej na trasie Kujbyszew – Taszkient – Alma Ata – Dżambuł – Czymkent – Kujbyszew, odbytej w dniach 22 stycznia - 7 marca 1942 roku przez attaché Ambasady RP Andrzeja Powierzę*, Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie, sygn. B. 2691.

ochotniczek i junaków oraz do szkoły kadetów. Tak zaczął się nowy okres w ich życiu, zyskali troskliwą opiekę, dobre warunki zakwaterowanie, szansę na zdobycie zawodu. Co jeszcze ważniejsze, stali się potrzebni Polsce, uwierzyli w pomyślne i szybkie zakończenie wojny, odzyskanie wolności przez ojczyznę, szczęśliwy powrót do domów rodzinnych. Nie wszyscy jednak powrócili.

Wykorzystano odpowiedzi następujących młodszych ochotniczek i junaków: Adamajtis Franciszka, Antonicz Adam, Baziukówna Anna, Babiś Eugenia, Birn Teresa, Błoński Romuald, Buczkowski Oktawiusz, Charlińska Halina, Domsza Helena, Duszka Mieczysław, Florianowicz Mieczysław, Furman Maria, Garbicz Janina, Goliński Józef, Gogolewski Jan, Grybowicz Władysław, Jakubowski Kazimierz, Kapusta Anna, Karczewski Witold, Karpieńko Aleksander, Kołerbicka Urszula, Korta Jan, Kowalski Edmund, Kucharska Aleksandra, Kurczewski Edmund, Ławnicki Ryszard, Mańkowski Zdzisław, Olechowska Anna, Pelcówna Maria, Petrykiewicz Danuta, Pobereżna Danuta, Sławiński Jerzy, Surowiec Kazimierz; Szwed Aleksandra, Tudel Marian, Tułak Helena, Wojtas Wacław, Wmian Beata, Zacharewicz Józef.

Załącznik

Baziuk Anna, lat 17, powiat wileńsko-trocki, województwo wileńskie.

W roku 1941, 20 czerwca o godzinie 3-ciej rano, przyjechało czterech enkawudzystów, powiedzieli nam za 30 minut zebrać się do wyjazdu. Zabrali nas z mamą, a tatusia samego. Chcieliśmy zebrać lepsze rzeczy z domu lub z jedzenia, więc oni dla nas nic nie dali, tylko jak parę bochenków chleba. Mówili, że wszystkiego tam będzie, gdzie nas powiozą. Mamusia chciała pójść do swego braciszka pożegnać się, to oni związali (ją) i posadzili na wóz, i nigdzie nie pozwolili zejść.

Przywieźli na stację, enkawudziści zamknęli do towarowego wagonu, zakręcili drzwi na klucz. Do jednego wagonu po 35 osób i około każdego pociągu po dwóch enkawudzystów z karabinami. Wieźli przez 26 dni, a w tygodniu tylko jedno wiadro wody dali na 35 osób. Dwanaście dni wioząc na stacji wypuścili wszystkich na pole, na jedną godzinę, aby mogliśmy świeżego powietrza użyć. Wtenczas każdy człowiek wprost jak nieżywy z głodu zbierali trawę i jędlę. Jeżeli kto chciał wyjść na stronę, to naokoło, tak wszystko jedno jak w zagrodzie, enkawudziści stali i nigdzie nie dawali odejść. Naród z głodu umierał, to enkawudziści wyrzucali na pole, nawet nie raczyli zakopać. Po tak długiej podróży męczeńskiej zostałyśmy przywiezione na Sybir do Ałtajskiego Kraju, troiski rejon, pieszczański lestranchoz, uczastek zapadnij.

Były tam lasy bardzo duże i 4 baraki, komendantura, sklep, stołownia, stajnia i z tego składał się uczastek. Dali nam barak z desek, w którym już było dużo ludności polskiej wysłanej w roku 1940. Mieszkanie było bardzo brudne, w nocy nie można było spać, bo robactwo bardzo kąsało. Różnych brudactw było w mieszkaniu jak: tarakany, pluskwy i robactwo. W żaden sposób nie można było to brudactwo wyniszczyć, bo w jednym baraku po 60 osób miesz-

kało. Narodowość była polska. Wszystkich było 470 osób, jeden barak był, w którym zamieszkiwała ludność ruska.

Warunki były bardzo ciężkie, bo trzeba było wyrabiać normę 70 kubametrów (metrów kwadratowych) śniegu, wyrzucić w lesie z drogi lub walić las i składać go 3 kubametrów. Od normy płacono po 70 kopiejek.

Normę kto wyrobi, to ten dostanie 500 gramów chleba. Ciężko było wyrobić normę, bo tatusia zabrali do więzienia, mamusia była stara, tylko siostra 22 lata, braciszek 12-letni i ja pracowałyśmy przy tak ciężkiej pracy. Ubrania i obuwia żadnego nie można było kupić, bo nie było w sklepach. Parę razy przywieźli materiału perkalowego i sprzedali tylko temu, kto dostał się w kolejce po 2,5 metra dla roboczego. A za chlebem również trzeba było stać w kolejce, za 500 gram dla roboczego a nie roboczego 20 (?) gram na cały dzień. Nie wystarczało nawet kawałka chleba suchego, nazbiera mamusia jagód i grzybów, to z tym kawałkiem chleba zjemy i idziemy do roboty. Kartofli też nie można było jeść, bo wiadro kartofli kosztowało 21 rubli. Wyżywienie było bardzo słabe, bo ciężko było zarobić roboczemu na 500 gram suchego chleba i lichej chochli grochówki, która kosztowała w stołowie 85 kopiejek. Ubrania nie można było kupić, bo nie starczało pieniędzy na chleb.

Naród był kulturalny, bo byli sami osadnicy. Wszyscy żyli w zgodzie i dopomagali jedni drugim, czem tylko mogli. Komendanci i naczelnicy strasznie się mścili nad Polakami. Zamykali po więzieniach i sądzili. Mówili, Polacy nie chcą pracować. Na robotę jak się spóźni parę minut, to zaraz sądzili i pisali proguły. Komendant zawsze robił zebranie Polaków i mówił, że nie myśleć o powrocie do Polski, że Polski nie ma i nie będzie, że Polskę zobaczycie jak mnie na dłoni włosy wyrosną i jak swe ucho zobaczycie, wtenczas wrócicie do Polski. Naczelnik zawsze mówił, że Boga nie ma. Gdyby był Bóg, to wy byście nie przyjechały i czemu On was stąd nie zabierze. Ponieważ Polacy, polskiego ducha, wytrwali jednak, na tracili wiary, zawsze wieczorami zgromadzali się i modlili do Pana Boga za Ojczyznę. Gdy zauważyli, że modlimy się z książeczek, to na drugi dzień przyszło dwóch enkawudzistów, zrobili rewizję i pozabierali święte książki, różańce, krzyżyczki, dokumenty i polskie pieniądze. Największe święta, na przykład jak na Wielkanoc jedna kobieta nie poszła na robotę, bo była chora, miała 39 stopni gorączki, sowieci ją zasądzi na cały rok. Powiedzieli, że ona jest ich wrogiem i przyznaje Boga.

Pomoc lekarska była, ale trzeba było być konającym, wtenczas dopiero uwierzyli i dawali sprawkę na parę dni. Bardzo dużo ludzi umarło w nędzy. Pomocy żadnej z zagranicy nie było, bo był front. Listów również nie można było pisać, bo naczelnik każdy list oglądał i rewidował, mało który list można było wysłać. Więc z tego powodu i dotychczas nic nie wiadomo.

Dnia 12 sierpnia (1941 roku) wydali dla nas książeczki do nabożeństwa i paszporty, a wieczorem odbyło się zebranie, na którym naczelnik odczytał nam amnestię 1941 roku. Polski robotnik wstąpił na scenę i przemówił do naczelnika: pamiętasz kiedyś było mówione, że Polski nie ma i nie będzie, a myśmy nie tracąc wiary tylko czekałyśmy tej chwili, że Polska była, jest i będzie. Dnia 9 października cały nasz uczałek zakupił wagony płacąc po 50 rubli od osoby i wyjechali na południe. Za robotę bardzo dużo miałyśmy zaległych (rubli), odjeżdżając nie otrzymaliśmy za pracę. Naczelnik nie wypłacał, by myślał, że

wtenczas nie wyjedziemy. Otóż nie czekając, ile jeszcze było ubrania, każdy wysprzedał i wyjechał na południe.

Przywieźli nas na południe, porozsyłali po kołchozach. Nas zawieźli do kołchozu Kalenin nr 12, obłast jużnokazachstańska, rejon Turkiestan, sielo Stary Ikan. Mieszkanie było z gliny, łózek nie było, na ziemi spałyśmy. Tam również były warunki bardzo ciężkie, bo nawet nie było chleba tylko lepieszki. Po paru miesiącach usłyszeliśmy organizację wojsk polskich, zaczęto wywozić za granicę dzieci i wojsko. Ucieszyło to nas bardzo, że Polska znów powstaje i można choć na obczyźnie organizować Wojsko Polskie, więc ja zapisałam się do ochronki w Turkiestanie, dwóch braciszków i siostrzyczkę 9-letnią. Z ochronek zapisywali doi szkoły junaczek i wywozili do Wrewska, gdzie organizowało się Wojsko Polskie.

Trudno i ciężko było, żebyśmy wszyscy mogli wyjechać z tej męki, ale trudno się nazywa, tak Pan Bóg chce i tak kieruje naszym losem, musiałam pozostawić mamusię i siostrzyczkę z wielkim bólem serca i żalem, a ja z małą siostrzyczką i z braciszkami musiałam wyjechać w tak daleką i nieznaną drogę. Bo chciałam być w pomocy Ojczyźnie i mojej rodzinie, która w żaden sposób nie mogła wyjechać z Rosji. Myślę, że prędzej będę mogła wybawić mamusię z tej niewoli. Za granicę wyjechałam z Wrewska 10 sierpnia 1942 roku.²⁰

Baziukówna Anna

²⁰ Zachowano oryginalną pisownię relacji.

EWA JACKOWSKA

DEPORTACJA NA SYBIR – PSYCHICZNE ŚLADY CIERPIENIA¹

Wprowadzenie

W poprzednim artykule² zamieszczonym w „Zesłańcu” nr 33/2008 przedstawiłam wybrane fragmenty wyników badań psychologicznych przeprowadzonych w 100-osobowej grupie Sybiraków, urodzonych w latach 1928-1934 deportowanych w głąb ZSRS w latach 1940-1941, pozostających na zesłance do roku 1946. Opisałam w nim bolesne, najcięższe do zintegrowania z nurtem życia psychicznego wspomnienia badanych osób zarejestrowane w pamięci autobiograficznej, związane ze śmiercią najbliższych członków rodziny. Zaznaczyłam, że opisane traumatyczne przeżycia występowały obok wielu innych sytuacji ekstremalnego stresu takich jak: permanentne odczucie głodu stanowiące naturalny element egzystencji w warunkach skrajnej nędzy, przemarznięcia, ciężka wyniszczająca niedożywiony organizm praca fizyczna, represje wobec osób bliskich i badanych (uwiecznienia) rozłączenia z rodziną (pobyt w sierocińcach).

Lata pobytu na zesłance obfitowały również w inne, nie wymienione w artykule dramatyczne przeżycia, np. zagrażające życiu choroby, zabłądzenia w tajdze lub stepie, zawały w kopalni, których wspomnienia są nadal bolesne.

Należy w tym miejscu wyjaśnić dlaczego pomimo upływu wielu lat, przypomnienie przeżytych cierpień jest tak silnie zakorzenione w psychice człowieka. Wyjaśnieniem jest specyficzna cecha pamięci autobiograficznej, fakt, że jest ona mocno sprzężona z emocjami.³ Wydarzenia ważne dla jednostki, naznaczone odczuciami w sferze afektywnej zostają zapisane w stosunkowo żywych, szczegółowych wspomnieniach

¹ Artykuł został opracowany na podstawie książki: E. Jackowska, *Psychiczne następstwa deportacji w głąb ZSRR w czasie drugiej wojny światowej. Przyczyny, moderatorzy, uwarunkowania*, Szczecin 2004, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego.

² E. Jackowska, *Deportacja na Sybir – doświadczenie śmierci*. „Zesłaniec”, 2008, 33, s. 3-16.

³ T. Maruszewski, *Pamięć autobiograficzna*, Gdańsk 2005.

przechowywanych przez długi okres czasu, a często przez całe życie. Na podstawie empirycznych badań psychologicznych udowodniono, że zakres pamięci autobiograficznej człowieka obejmuje też tak zwaną *pamięć fleszową*, określaną inaczej jako *efekt lampy błyskowej*.⁴ Termin ten odnoszony jest do wyrazistych, dokładnych, trwałych, łatwo dostępnych obrazów pamięciowych, stanowiących jakby kolorową fotografię zdarzeń, w których udział był bardzo silnie nasycony emocjami.

Na podstawie szczegółowej analizy zebranego materiału empirycznego ustalono, że 95% badanych Sybiraków, doświadczyło bodźców, które mogły być przechowane w pamięci autobiograficznej *fleszowej*, gdyż ze względu na nasilenie stresu psychospołecznego zaliczane są do bodźców traumatycznych. Jak wspomniałam we wcześniejszym doniesieniu, bodźce traumatyczne powodują różnego rodzaju niekorzystne zmiany w strukturze życia psychicznego człowieka, spośród których należy wymienić takie zaburzenia jak: pełnoobjawowy lub niepełny klinicznie zespół stresu pourazowego (PTSD), zaburzenia afektywne (depresje!), zaburzenia lękowe, a także zaburzenia osobowości.⁵

Celem niniejszego artykułu jest ukazanie odcisniętych w psychice badanych osób śladów, wyżłobionych przez dramatyczne przeżycia doznane w trakcie pięcioletniego okresu przymusowego pobytu w ZSRS, które utrzymały się do momentu badania, stanowiąc w dosłownym sensie, psychiczne dziedzictwo deportacji. Psychiczne następstwa zostaną ukazane w kilku aspektach. Na pierwszym miejscu omówię stan psychosomatyczny badanych bezpośrednio po powrocie do Polski, następnie – dolegliwości psychiczne odczuwane w czasie prowadzenia badań, które zalicza się do objawów zespołu stresu pourazowego (PTSD) lub współwystępują z tym zespołem, dalej – ukazę wpływ zesłania na pełnienie ról rodzinnych, a na końcu przedstawię opinie badanych na temat pozytywnego wpływu zesłania na rozwój ich osobowości.

Psychiczne następstwa traumatycznych wydarzeń wywołanych wojną w świetle literatury

Zanim przystąpię do omówienia wyników badań własnych przedstawię wybrane reprezentatywne badania nad ofiarami represji i wojen, prowadzone po II wojnie światowej, wiele lat po zadziałaniu bodźców traumatycznych, które są w nauce interpretowane jako dowody występowania odległych psychicznych następstw stresu traumatycznego. Z oczywistych względów (wiek oraz związana z tym umieralność osób represjonowanych i żołnierzy II wojny światowej) badania te realizowane były do lat dziewięćdziesiątych ub. stulecia.

⁴ A. Niedźwieńska, *Co jest szczególnego w efekcie lampy błyskowej?* „Czasopismo Psychologiczne”, 2001, 7, s. 155-164.

⁵ J. Heitzman, *Psychiatryczna diagnoza zespołów pourazowych – klinika, orzecznictwo*. „Psychiatria w Praktyce Ogólnolekarskiej”, 2002, 2, s. 21-38.

Harel i Kahana⁶ w latach osiemdziesiątych XX wieku zbadali grupę żołnierzy amerykańskich, którzy w 1941 r. przeżyli atak bombowców japońskich na amerykańską bazę wojskową w Pearl Harbor. Pomimo upływu 40 lat od bombardowania u 65% badanych zarejestrowano pierwszoplanowy objaw zespołu stresu pourazowego w postaci natarczywych, wywołujących dystres wspomnień, 1/3 uczestników ataku ujawniła utrzymywanie się trudności w wyrażaniu uczuć, które przeżyli w trakcie ataku, a 1/4 odczuwała w dalszym ciągu niepokój słysząc hałas silników samolotów. Wysoki wskaźnik objawów postresowych stwierdzono w połowie lat osiemdziesiątych także u uczestników holenderskiego ruchu oporu czynnie działających na terenach okupowanych przez Rzeszę. Co najmniej jeden z objawów zaliczanych do zespołu stresu pourazowego wystąpił w przeszło 50 % badanych, z tym, że u osób aresztowanych, przesłuchiowanych i osadzonych w więzieniach liczba i nasilenie objawów były wyższe w porównaniu z tymi, którym udało się uniknąć aresztowania.⁷

Wyniki licznych badań przeprowadzonych w Polsce w latach 1959-1990, których inicjatorami byli lekarze – ofiary prześladowań nazistowskich: prof. A. Kępiński i dr S. Kłodziński, publikowanych przez przeszło 30 lat m.in. na łamach „Przeglądu Lekarskiego” ujawniły w populacji b. więźniów osadzonych w niemieckich obozach koncentracyjnych, wiele przejawów zaburzeń psychicznych określonych wspólną nazwą zespołu obozu koncentracyjnego (KZ-syndrom) obejmującego różne symptomy: zaburzeń organicznych, nerwic, zespołu depresyjno-apatycznego, astenii i zaburzeń osobowości, których przyczyny tkwiły w traumatycznych doświadczeniach obozowych.⁸ Nie sposób omówić nawet niektórych z tych badań. Istotnym jest, że wskaźnik procentowy badanych, u których stwierdzono objawy zaburzeń psychicznych był bardzo wysoki i wahał się (w zależności od doboru osób badanych, miejsca, czasu badań i zastosowanej procedury badawczej od 40 do 100%).⁹ Ze stosunkowo dużą częstotliwością odnotowywano trwałe zmiany osobowości (91%), z czego w u 45 % badanych miały one charakter patologiczny. Wyróżniono 4 główne typy niekorzystnych zmian w osobowości:

1. „Przygnębionych” (stałe, wyraźne obniżenie nastroju, lęki, kompleks niższości).

⁶ Z Harel, B. Kahana, *The day of Infamy: The Legacy of Pearl Harbor*, [w:] J.P. Wilson (red.), *Trauma, Transformation and Healing*, New York, s. 129-156

⁷ W. Op den Velde, P.L. Falger, J.E. Hovens, J.H. de Groen, L.J. Lasschuit, H. Van Duijn, E.G. Schouten, *Posttraumatic Stress Disorder in Dutch resistance veterans from World War II*, [w:] J. P. Wilson, B. Raphael (red.) *International Handbook of Traumatic Stress Syndromes*. New York 1993, s. 219-230.

⁸ A. Kępiński, *Rytm życia*, rozdział: *K-Z syndrom*, Kraków 1994, s. 106-121.

⁹ A. Szymusik, *Badania byłych więźniów obozów koncentracyjnych w krakowskiej Klinice Psychiatrycznej w latach 1959–1990*. „Przegląd Lekarski”, 1991, 1, s. 22-28.

2. „Nieufnych” (nieufność wobec ludzi, podejrzliwość, nastawienie lękowe, skłonność do konfliktów).
3. „Wybuchowych” (drażliwość, wybuchy złości, ogólne obniżenie kontroli emocjonalnej).
4. „Nieufnych i przygnębionych”, u których występowały objawy wymienione w pierwszym i drugim typie.

Ponadto rejestrowano zmiany postaw światopoglądowych, przewartościowanie celów życiowych i nastawienia do życia – od postawy ogólnego pesymizmu do cynicznego stosunku do życia, nastawienia na używanie dóbr materialnych. Nie stwierdzono zależności między częstością wystąpienia zaburzeń a wykształceniem i zawodem. Stwierdzono natomiast silny związek między wiekiem uwięzienia a obecnością symptomów psychopatologicznych. U wszystkich osób, które znalazły się w obozie przed 20 rokiem życia wystąpiły symptomy zaburzeń psychicznych.¹⁰

Omówione rezultaty badań pozwalają wnioskować, że ciąg traumatycznych zdarzeń występujących w życiu człowieka zostaje zapisany nie tylko w pamięci autobiograficznej, ale u pewnego odsetka osób doświadczonych, wyznacza kierunek rozwoju struktur poznawczych (systemu wartości, obrazu świata, obrazu własnej osoby, itp.), życia emocjonalnego (powodując skłonność do reakcji lękowych, stanów przygnębienia), a także sfery motywacyjnej (przewartościowanie celów życiowych).

W interpretacji różnic indywidualnych w zakresie psychicznych konsekwencji sytuacji traumatycznych duże znaczenie przypisuje się tak zwanym zasobom osobistym, które są regulatorem wpływu bodźców traumatycznych. Istotnym wyznacznikiem zasobów osobistych jest jakość osobowościowych mechanizmów kontroli i integracji zachowania, która jest związana z wiekiem. Wiadomo, że ten sam czynnik traumatyczny wywołuje zupełnie inny efekt oddziałując na osobowość zintegrowaną, dojrzałą, a inny uderzając w psychikę „kruchą”, dopiero się kształtującą. Badani przez autorkę Sybiracy zostali wywiezieni z Polski w wieku dziecięcym i młodzieńczym, a więc w wieku intensywnego rozwoju osobowości. Destrukcyjne oddziaływania psychologiczne sytuacji traumatycznych trafiły więc na podatną glebę, na której mogły się rozwijać.

Dolegliwości psychiczne warunkowane zesłaniem

W stuosobowej populacji badanych zdecydowana większość (94 osoby) potrafiła określić swój stan psychiczny w pierwszych dniach pobytu w Polsce, po latach spędzonych na zesłaniu. Z tej liczby tylko ośmiu Sybiraków oceniło, że czuło się dobrze, cieszyło się z powrotu i nie pamięta, aby nękały ich jakieś przykre stany psychiczne. Najczęstszymi zapamiętanymi objawami dotykającymi sfery psychicznej były:

- poczucie inności, wyobcowania i kompleks różnicy (58 osób),

¹⁰ Ibidem, s. 23.

- nieśmiałość, „dzikość” (45 osób),
- lęk przed głodem (53 osoby),
- smutek, przygnębienie, koszmary senne (36 osób),
- odczuwanie niepokoju (35 osób).

Opinie na ten temat zostały wyrażone np. słowami:

Trudno mi było przeżywać radość, żyć beztrosko. Zawsze odczuwało się inność. Bałam się ciasnych pomieszczeń. Bałam się ze sobą nie poradzę... Bałam się głodu... /30 k/.

Dokładnie odcisnął się też z w pamięci badanych osób obraz ich złego stanu somatycznego (zapamiętało go 77% badanej populacji), który miał niewątpliwy wpływ na samopoczucie psychiczne. Badani wrócili do Polski ze znacznym niedoborem wzrostu i wagi, fizycznymi śladami przebytych, ale nie wyleczonych chorób somatycznych: malarii, zapalenia stawów, choroby głodowej, schorzeń gastrycznych, odmrożeń, owrzodzeń itp. Przytoczę typowe wypowiedzi ilustrujące odpowiedzi na pytania dotyczące omawianego zagadnienia:

Bardzo zły, owrzodzenia, wszawica, rozdęty brzuch, niedobór wagi... /17 k/.
Słaba, wygłodzona, wycieńczona, postarzała. Miałam 18 lat, a wyglądałam na 50 /26 k/.

Mały, wychudzony, z dużym brzuchem i kolanami, zapalenie stawów trwa do dziś, ogólnie mówiąc złym... /2 m/.

Licznějšíe objawy zaburzeń somatycznych i psychicznych wymieniały kobiety w porównaniu z mężczyznami. Różnice te są statystycznie istotne.

Z przeprowadzonych wywiadów zatem wynika, że w 1946 roku, bezpośrednio po powrocie z wywózki, znaczna liczba Sybiraków odczuwała znaki wyniszczenia fizycznego i psychicznego. Poprawa stanu psychicznego badanych była zależna od warunków w jakich przyszło im żyć w Polsce. Należy zaznaczyć, że dla większości – rzeczywistość, z którą musieli się zmierzyć po przyjeździe nie była przyjazna. Przypomnę, że byli okaleczeni śmiercią i chorobami osób bliskich. Nie mieli domów, do których mogliby wrócić. Ich rodziny były biedniejsze od sąsiadów, którzy wojnę przetrwali w Polsce. Wszyscy badani mieli opóźnienia szkolne. Powrócili ze szczególnymi deficytami szkolnymi. Język, którego używali był często zlepkiem polskiego i rosyjskiego. Akcent zdradzał, że częściej posługiwali się językiem rosyjskim niż polskim. Mieli ogromne braki w znajomości gramatyki i literatury języka ojczystego. Wyróżniali się sposobem mówienia, ubiorem, małymi wymaganiami w zakresie potrzeb bytowych. O swoim losie zesłańców nie mogli opowiadać w szkole. Groziło to sankcjami, łącznie z zawieszeniem w prawach ucznia, a także narażeniem na represje ze strony Urzędu Bezpieczeństwa, dorosłych członków rodziny. Wszystko to sprawiało, że odczuwali swoją inność, „gorszość” i często z powodu biedy, odrzucenia ze strony rówieśni-

ków, nauczycieli czy sąsiadów pogłębiali lęki i kompleksy. Ci, którzy kończyli szkoły średnie mieli utrudniony dostęp do zdobycia wyższego wykształcenia, bądź to z przyczyn politycznych, bądź z racji złych warunków bytowych. Znamienne jest, że badani, którzy mieli wykształcenie wyższe (16 osób) w 11 przypadkach uzyskali je w trybie zaocznym lub wieczorowym, i aż 53 Sybiraków uznało, że deportacja miała negatywny wpływ na poziom ich wykształcenia, a przez to na rodzaj wykonywanej pracy i przebieg kariery zawodowej.

W miarę upływających lat samopoczucie psychiczne ulegało poprawie. Badani twierdzili, że uwolnili się od kompleksów, nabrali pewności siebie, wzmocnili się psychicznie, a nawet w niektórych wypowiedziach wyrażali pogląd, że doświadczenia bardzo trudnego dzieciństwa uczyniły ich silniejszymi w porównaniu z rówieśnikami. Do tego wątku jeszcze powrócę.

Nie zmienia to faktu, że według opinii osób badanych wiele dolegliwości psychicznych przyczynowo związanych z deportacją, przetrwało przez kilkadziesiąt lat i zostało zarejestrowanych w protokołach wywiadów.

Wyniki badań wykazały, że populacja badanych Sybiraków obserwuje u siebie różnorodne objawy zaliczane do symptomatologii PTSD. Najbardziej powszechnymi są: objawy intruzji (przykre, natrętne obrazy pamięciowe, koszmarne sny oraz przypomnienia odczuć), przejawy nadpobudliwości, drażliwości, zaburzenia snu. Ponadto badani zauważali u siebie specyficzne cechy przeżywania emocjonalnego: jawnego lęku, stany smutku, poczucie pustki i krzywdy.

Więcej niż połowa badanych (66 osób) co najmniej kilka razy w roku odczuwała napór mimowolnych, przykrych wspomnień. Treść nawracających wspomnień dotyczyła różnych dramatycznych wydarzeń np. śmierci matek, ojców, rodzeństwa, babć i dziadków, ciężkich chorób zagrożających życiu członków rodziny. Utrwały się przeróżne sceny z życia w czasie deportacji: odczuwanie głodu i próby zdobywania pożywienia, doznawane prześladowania, pobyt w domach dziecka itp. Przytoczone wypowiedzi opisują treść obrazów, które stale przechowywane są w pamięci osób badanych.

Widzę swoją mamusię, jak była chuda i drobniutka. Stała między dwoma żołnierzami NKWD, którzy przyszli po nią. Nikt nie wiedział gdzie. Było to 1943 jesienią... /6 m/.

Śmierć i grzebanie ludzi w śniegu w czasie transportu na Sybir, śmierć siostry i jej choroba, ciągły głód przez 4 lata /24 m/.

Aresztowanie ojca, oddzielenie dzieci od mamy, gehenna pracy /25 m/.

Był straszny głód, chodziłyśmy zbierać jedzenie nawet po śmietniku... obie-rzyny z ziemniaków. To trzeba było gotować, nakręcić na maszynie i to się piekło. Chodziłyśmy kłoski zbierać... /58 k/.

Chodzę boso po śniegu... /41 k/.

Głód, dom dziecka, bicie brata /11 k/.

Umieranie przy malarii... /60 k/.

Obraz małej siostry chorej na „angielkę” /39 k/.

Widzę jak nas gonią odsypywać śnieg... wiatr dmucha w oczy. Widzę tę zupę ze zmarzniętej kapusty. Widzę resztki chleba w ręce /13 k/.

W badaniach osób deportowanych objawy intruzji pod postacią częstych (co najmniej jeden raz w roku) przykrych snów dotyczących wydarzeń z czasów zesłania zanotowano u 33 osób, a więc zdecydowanie rzadziej niż natrętne obrazy pamięciowe.

W snach odtwarzane były najbardziej dramatyczne przeżycia z okresu zesłania: rozstania z osobami bliskimi, pobyt w domu dziecka, zimne baraki i ziemianki, zdobywanie pożywienia i opału, samotne wędrówki. Np. jeden z badanych, który samotnie, jako siedmioletni chłopiec szedł bez butów nocą przez góry, owijając sobie stopy szmatami, które miały stanowić ochronę przed napotykanymi zmijami i innymi wężami, do dziś ma koszmary senne. We śnie widzi zmije, które go atakują. Mężczyzna ten nie znosi widoku tych zwierząt, nawet gdy ogląda w TV program przyrodniczy lub inny film zaraz „przerzuca” kanał na inny.

W protokole badań znalazła się też wypowiedź:

Do dziś pamiętam wieczny, jednostajny stukot kół. Ten dźwięk słyszę w swoich snach – koszmarach... /53 k/.

Do „przykrych snów” zaliczono też marzenia senne, których treści symboliczne nawiązywały do minionych przeżyć. I tak np. jedna z badanych skarżyła się na często powtarzający się sen o samolocie, który rozbija się o ziemię, a wokół pojawia się dużo krwi. Pierwszy raz ten obraz przyśnił się jej kiedy leżała nieprzytomna w szpitalu (chora na tyfus), a w tym samym czasie z powodu tyfusu umierał jej ojciec, którego organizm zniszczony pobytem w enkawudowskim więzieniu nie zdołał zwalczyć ciężkiej choroby.

Badani, którzy potwierdzali występowanie u siebie odczuć stanowiących odbicie uczuć odczuwanych na zesłaniu (31 osób) zazwyczaj wymieniali: lęk, osamotnienie, poniżenie, poczucie beznadziejności, poczucie krzywdy, złość, odczucie głodu i zimna.

Przypomnienia obrazów życia w warunkach deportacji i związanych z nimi odczuć dla 15 badanych było stałym elementem ich codziennego życia psychicznego. Wyrażają to między innymi wypowiedzi:

Te wspomnienia towarzyszą mi cały czas, gdy słyszę szczekanie psa, gdy jestem w lesie na grzybach, gdy widzę jakiś pogrzeb, jem chleb... cały czas te wspomnienia są ze mną /6 m/.

Jestem tam duszą i ciałem... /51 k/.

Dla niektórych badanych bodźcem wywołującym skojarzenia był chleb. Przypomnienia i odczucia z czasów wywózki pojawiały się przy krojeniu chleba, jego zakupie, widoku wyrzuconej do odpadów kromki. U innych przykre wspomnienia i odczucia pojawiały się w momentach

przemarznięcia, osamotnienia, choroby, podróży (szczególnie na dworcach kolejowych), w różnych przykrych sytuacjach. Pojawiały się też „zniecka”, pozornie bez związku z warunkami zewnętrznymi.

W wywiadach ustalono, że powszechnym objawem, który w opinii wielu badanych został im wszczepiony przez zesłanie był lęk. Problematyka lęku obejmuje bardzo szeroki krąg zagadnień, które pominięto w niniejszym opracowaniu. Należy jednak zaznaczyć, że istotą lęku w znaczeniu klinicznym jest przeżywanie poczucia zagrożenia w powiązaniu z napięciem i reakcjami wegetatywnymi.¹¹ Objawy jawnego lęku, w tym lęku przed głodem, wymieniane były 38 razy. Częstotliwość występowania objawów lękowych była statystycznie istotnie większa w podgrupie kobiet w porównaniu z podgrupą mężczyzn ($p < 0,01$). Szczególnymi sytuacjami wyzwalającymi lęk, którego źródła zostały w przekonaniu osób badanych uformowane przez tragiczne przeżycia na zsyłce, były: choroby członków rodziny, ogłoszenie stanu wojennego i cały okres jego trwania, konflikty międzynarodowe, trudności aprowizacyjne, przekraczanie granicy Polski (szczególnie z b. ZSRR). Do postaw kształtowanych przez lęk należy zaliczyć też postawę nieufności, dystansu wobec ludzi, którą łącznie obserwowało u siebie 26 osób, a także niską samoocenę (13 osób). Dwa krótkie stwierdzenia wybrane z wywiadów adekwatnie obrazują przeżycia lękowe:

Od tej pory przeżywam liczne lęki, boję się żeby mnie stąd nie zabrano i wywieziono. Boję się, że Niemcy mogą na nas napaść /41 k/.

Nie wierzę w radość, ciągle się boję.... Bardzo jestem nerwowo, płochy... /23 m/.

Z innych symptomów należy wymienić: zaburzenia snu, nadpobudliwość, zaburzenia wegetatywne (wymieniane łącznie przez 35 osób), stany przygnębienia (15 osób).

Dokonując syntezy uzyskanego materiału badawczego, posługując się wyraźnie oznaczonymi wskaźnikami empirycznymi, wyodrębniono trzy kategorie badanych osób ze względu na nasilenie obserwowanych przez te osoby objawów psychicznych, które w ich przekonaniu stanowiły trwałe ślady po latach deportacji: pierwsza – bez objawów dolegliwości psychicznych lub z objawami śladowymi, druga – z objawami umiarkowanymi, oraz trzecia – z nasilonymi objawami dolegliwości psychicznych, utrudniającymi codzienne funkcjonowanie.

Dla lepszego zilustrowania tematu poniżej zamieszczono przykładowe wypowiedzi osób badanych, które stanowiły podstawę kategoryzacji.

Do pierwszej kategorii zaliczono m.in. badaną /1 k/, która w odpowiedzi na pytania dotyczące psychicznych następstw zesłania odpowiada: „Do dziś jestem zaradna”. Przy dalszej penetracji dodaje:

Miewam kłopoty z pamięcią, które dotyczą spraw bieżących... Nie są uwarunkowane pobytem na zesłaniu, ale wiekiem.

¹¹ R.M. Mayer, *Psychopatologia*, Gdańsk 2005.

Do tej kategorii zaliczono 35 badanych – (19 kobiet i 16 mężczyzn).

Kategoria druga: odpowiedzi badanego /34 m/: „Jestem zaradny.” W kolejnym pytaniu odpowiedź: „Tak, odczuwam nienawiść do ludzi z NKWD ...” I dalej:

Uczynił (pobyt na zesłaniu – przyp. E.J.) mnie bardziej zamkniętym... Na pewno jest jakieś skrzywienie psychiczne, jak słyszę towarzyszy, to dostaję wysypki. Czuję tę nienawiść... Mam negatywny stosunek do „czerwonego”.

Inna z osób badanych /55 k/ – również zaliczona do drugiej kategorii, podaje pojedyncze objawy lękowe i opisuje lęk przed głodem słowami:

Mam taki idiotyczny zwyczaj teraz, że gdy kroję chleb, to wszystkie okruszki, co do jednego zbieram palcami i zjadam. Wiem, że teraz to jest śmieszne, ale jest to silniejsze ode mnie.

W tej kategorii umieszczono również 35 osób (25 kobiet i 10 mężczyzn).

W trzeciej kategorii osób wypowiedzi dotyczyły szerszego zakresu objawów. Na przykład badany /3 m/ sformułował swoje odczucia w sposób następujący :

Lęk o dzień dzisiejszy... Lęk o przyszłość, strach przed głodem – robię zapasy... Czuję się gorszy od innych ludzi.

Twierdził też, że objawy nasilają się w stanach choroby somatycznej

Jak tylko czuję się chory, słaby – ulegam depresji.

Wypowiedź innego Sybiraka /2 m/:

Nieufność, zaradność, ostrożność w kontaktach z ludźmi, do dziś... nieokreślony lęk, który często się pojawia.

W innym fragmencie wywiadu precyzuje:

Stres i nerwowość – nie musi być żadnej specjalnej nerwowej sytuacji, to jest we mnie i często się pojawia. Ciągły strach o swe życie na zesłaniu, straszny głód – to jest przyczyna tego wewnętrznego stresu.

I jeszcze jedna wypowiedź:

Uważam, że mam wypaczony charakter. Jestem nieśmiała, z kompleksami. Wszystkich przepraszam, że żyję... /37 k/.

W kategorii osób z nasilonymi objawami znalazło się 30 badanych (24 kobiety i 6 mężczyzn).

Reasumując przedstawione wyniki można stwierdzić, że najczęściej wymienianymi przez badanych dolegliwościami psychicznymi były objawy intruzji (natrętne przykre wspomnienia, koszmarne sny i pamięć uczuć przeżywanych na zesłaniu), stanowiące jeden z objawów zespołu stresu pourazowego. Dla 15% wspomnienia z okresu deportacji były stałym elementem aktualnego życia psychicznego. Ogółem 65% badanych

odczuwa dolegliwości psychiczne, które wiążą z przebyta zsyłką. Ich nasilenie i rodzaje były zróżnicowane. Najbardziej dotkliwie były objawy lękowe, łącznie z takimi odczuciami jak nieufność i obniżona samoocena. Szczególnym przejawem lęku był lęk przed głodem. Badani zauważyli też u siebie objawy nadpobudliwości, zaburzenia wegetatywne, stany przygnębienia. U 30 % badanych nasilenie objawów poststresowych było znaczne i przypuszczalnie w sposób istotny obniżyło jakość ich życia. Dolegliwości psychiczne w większym nasileniu wystąpiły u kobiet w porównaniu z mężczyznami i różnice w tym zakresie są statystycznie istotne. Przedstawione wyniki badań są zbieżne z rezultatami badawczymi uzyskanymi w badaniach nad ofiarami wojen, a szczególnie syndromem KZ, o czym wspominałam w pierwszej części artykułu.

Wpływ zesłania na pełnienie ról rodzinnych

Należy bardzo mocno podkreślić, że wymieniane przez Sybiraków dolegliwości psychiczne nie tylko w sposób bezpośredni obniżały ich dobrostan psychiczny, ale też odbijały się na jakości pełnionych ról rodzinnych i innych ról społecznych. W pracy na podstawie której opracowuję niniejszy artykuł analizowano także wpływ doświadczeń z okresu deportacji na życie rodzinne. Najbardziej interesujące wyniki zostaną przedstawione.

Większość z 58 osób, którzy udzielili odpowiedzi na pytania w wywiadzie dotyczące oceny ich małżeństwa stwierdziła, że zesłanie miało pozytywny wpływ na pełnienie roli współmałżonka (55,2%). Pozytywny wpływ zesłania upatrywali w uformowaniu się w ich osobowości cech ułatwiających przystosowanie do wymagań życia rodzinnego, takich jak: wyrozumiałość, dbałość o potrzeby rodziny, itp. Na przykład wypowiedź:

Byłem bardzo wyrozumiały dbający, bo kto nic nie przeszedł jest niedobry /4 m/.

W omawianym kontekście zastanawiający jest fakt, że 18 % badanych przeprowadziło rozwód (15 kobiet i 3 mężczyzn). Przyczyny tego zjawiska są bardzo złożone i ich omówienie przekracza ramy niniejszego artykułu. Zwrócę jednak uwagę na wypowiedź jednej z badanych kobiet, która ukazuje głębokie korzenie problemu niepowodzeń małżeńskich tkwiące w braku prawidłowego wzorca męskiego, spowodowanego nieobecnością ojca, którego zamordowało NKWD:

W małości byłem wychowywana przez mamę, gdyż ojca aresztowano w listopadzie 39 roku. Nie było w rodzinie mężczyzny. Z relacji mamy wynikało, że wszystkie nieszczęścia to przez enkawudzystów mężczyzn, więc miałam uraz do wszystkich mężczyzn /16 k/.

Trudno też nie zasygnalizować, że w badanej populacji w związku ze wspólnym bytowaniem w latach wywózki utrwaliła się niezwykle silna więź z rodziną macierzystą, szczególnie z matkami i badanym osobom

po osiągnięciu dorosłości było trudno rozpocząć samodzielne życie w rodzinie nuklearnej. Wypowiedzi wskazujące na ten problem zostały zarejestrowane w wywiadach 69 % kobiet i 44 % mężczyzn (uwzględniono tylko osoby, których matki żyły w momencie osiągnięcia przez badanych dorosłości). Wyrażają go m.in. następujące wypowiedzi:

Chciałam zawsze mieszkać jak najdłużej z rodzicami, nawet w jednym pokoju, ale razem z nimi /2 k/.

Pobyty na zesłaniu tak bardzo, tak kurczowo związały mnie z matką, że całe życie dorosłe byłam jej podporządkowana. Ciągłe miałam poczucie obowiązku i wdzięczności, że na Sybirze o mnie dbała /14 k/.

44, 8% osób potrafiło zwerbalizować negatywny wpływ zesłania na relacje małżeńskie (z tego połowa – wpływ negatywny i pozytywny). Wyjaśniano go obecnością niekorzystnych dla dobrych relacji właściwości psychicznych: nadpobudliwości, nieufności, surowości. Na przykład:

Ciężkie przeżycia uczyniły mnie twardą, podejrzliwą, nieufną, nadpobudliwą, niecierpliwą. To wszystko złożyło się, że chyba byłam trudna do współżycia... Tak to dzisiaj oceniam /44 k/.

Pobyty odbił na mnie piętno, jestem człowiekiem nerwowym, czasami niecierpliwym /6 m/.

Kolejnym obszarem, w którym ujawnił się wpływ zesłania, był sposób pełnienia roli rodzicielskiej. Cechą charakterystyczną dla stylu wychowawczego badanych była troska o poziom wykształcenia, który uzyskają dzieci. Sybiracy, jak wspomniano wyżej, odczuwali dyskomfort w związku z brakiem możliwości kształcenia się w latach pobytu na deportacji i w oddziaływaniu wychowawczym kładli nacisk na stymulowanie u dzieci motywacji do nauki szkolnej oraz podjęcia edukacji na poziomie studiów wyższych. Z ogólnej liczby 218 dzieci osób badanych, aż 88 (40,5%) legitymowało się wyższym wykształceniem. Przypomnę, że dokumentację zbierano w latach 1999 i 2000, w których nie obserwowano tak masowej jak obecnie tendencji do podejmowania studiów wyższych.

Więcej niż 50% kobiet i mężczyzn uważa, że pobyt na zesłaniu wpłynął na sposób wychowania dzieci, na ich postawy wychowawcze i wartości przekazywane dzieciom. Zarejestrowane wypowiedzi wskazały na dużą różnorodność tego wpływu. Stosunkowo często badani podawali, że pod wpływem zesłania kształtowali u dzieci te cechy i te postawy, które im ułatwiły przetrwanie: szacunek dla chleba, umiejętność doceniania tego, co się posiada, dzielność, szacunek dla wartości życia rodzinnego, umiejętność współdziałania i okazywania pomocy innym. W odpowiedzi na pytania o wpływ doświadczeń z okresu deportacji na sposób wychowania dzieci padały odpowiedzi:

Szanować chleb, dbać o siebie i bać się głodu /17 k/.

Tak widzę związek. Widziałem jak poniewierano ludźmi, dlatego zakazałem tego swoim dzieciom ... Poznałem znaczenie więzi rodzinnej, stąd moja troska o to samo w domu... /26 m/.

Trudności trzeba pokonywać, nie załamywać się, że życie jest piękne /29 k/.
Tam ludzie nam bardzo pomagali i ja też uczyłam dzieci, aby pomagały innym /25 k/.

Część badanych uważała, że była zbyt wymagająca wobec dzieci, niecierpliwa, nerwowa. Zbyt często porównywali warunki bytowe, w których wzrastali z warunkami, w których żyły ich dzieci, co generowało konflikty. Te opinie ilustrują wypowiedzi:

Postawa wymagająca wobec dzieci... to skutek wymagań jakie mnie stawiało NKWD /13 m/.

Byłem czasami zbyt surowy i purytański, krytykujący ich postawy... Mówiłem: ja w twoim wieku ... /33 m/.

Inni wprost przeciwnie, uważali, że okazywali dzieciom zwiększoną serdeczność i dbałość o zaspokojenie potrzeb, a nawet nadopiekuńczość.

Moje przeżycia miały wpływ na to, że bywałem miękki /16 m/.

Starałam się zapewnić więcej serdeczności, aniżeli sama w dzieciństwie doznałam /7 k/.

Jak widać kierunek wpływu zesłania na postawy wychowawcze był dosyć rozproszony. Podobną prawidłowość zauważono w badaniach, których celem było rozpoznanie postaw rodziców więzionych w czasie II wojny światowej w obozach koncentracyjnych.¹²

Pozytywny aspekt zesłania

Do tej pory skupiano się głównie na ukazaniu negatywnych dla życia psychicznego skutków deportacji. Nie sposób jednak nie zauważyć, że osoby deportowane potrafiły odnaleźć również pozytywne aspekty pobytu na zesłaniu wskazując na cechy pozytywne, które ukształtowało w nich doświadczenie wywózki. Najczęściej wymieniano: „liczenie na samego siebie” łącznie z „samodzielnością” (71 osób) i „zaradność” (65 osób). Zauważone były też inne jeszcze cechy: wytrwałość, pracowitość, gospodarność, oszczędność, odporność fizyczna i psychiczna, aktywność, poczucie odpowiedzialności, wrażliwość na krzywdę społeczną, docenienie wartości rodziny itp. Kilka fragmentów wypowiedzi na ten temat zostało przedstawionych poniżej:

Silna wola, wytrwałość, duża odporność psychiczna, nie załamuję się szybko /12 m/.

Zdobyłam hart ducha, co bardzo wpłynęło na bieg późniejszych wydarzeń /52 k/.

Lepiej rozumiem ludzi, ich cierpienia, większa wrażliwość /53 k/.

Przeżycia na Syberii wpłynęły na mnie raczej pozytywnie. Umieję porównać biedę, nędzę z dobrobytem /70 k/.

Mobilizacja do nauki /34 m/.

¹² G. Banach, M. Dominik, *Psychiatryczne następstwa obozów hitlerowskich w drugim pokoleniu byłych więźniów*, „Przegląd Lekarski”, 1985, 1, s. 29-34.

Sybir nauczył mnie samodzielności, przystosowania się do warunków życiowych /29 k/.

Refleksja jednej z badanych Sybiraczek została odtworzona w całości:

Wręcz przeciwnie, stwierdzam, że wszystkie przeżycia dotyczące zesłania w późniejszym życiu nauczyły mnie aktywności. Przeszłość zahartowała moją przyszłość. Pobyt na Syberii nauczył mnie samodzielności, wytrwałości, chęci życia, czerpania z życia co najlepsze. 6 lat zmagalam się z głodem i zimmem. Widziałam umierających ludzi pozbawionych nadziei, a poza tym kiedy moja mama poszła do więzienia, mimo, że nie byłam najstarsza, spadła na mnie odpowiedzialność za braci. O nich też musiałam się troszczyć. Te wydarzenia nauczyły mnie po prostu być silną i aktywną właśnie przez resztę życia /1 k/.

Przytoczone wypowiedzi sugerują pozytywną reinterpretację traumatycznego doświadczenia. Warto odnotować, że w stuosobowej grupie badanych – 10 osób podało w wywiadach wyłącznie pozytywne psychiczne następstwa deportacji. Uzyskane rezultaty w pełni potwierdzają powszechnie przyjęty w psychologii pogląd, że „nie ma dwóch osób, które na to samo wydarzenie reagowałyby identycznie”.¹³

W świetle analizowanych wyników wskazujących na istotne różnice indywidualne w odczuwaniu psychicznych następstw deportacji nasuwa się szereg pytań na temat czynników, które warunkują odporność psychiczną człowieka, a także tych, które są zaliczane do zewnętrznych źródeł podtrzymania, ułatwiających ludziom przetrwanie w najtrudniejszych sytuacjach stresowych. W referowanych badaniach również ten temat był podjęty i w kolejnym artykule zostanie omówiony.

Podsumowanie

1. Wyniki badań wykazały, że 65% osób deportowanych do ZSRS w latach II wojny światowej pomimo upływu dziesiątków lat od momentu wywózki obserwowało u siebie objawy postresowe. U 30% badanych Sybiraków intensywność dolegliwości psychicznych była znaczna i w sposób istotny obniżała jakość życia. Należy podkreślić, że opis dolegliwości psychicznych został dokonany na podstawie wypowiedzi samych Sybiraków, musi więc być traktowany z należytą w takich przypadkach ostrożnością.
2. Wpływ deportacji na pełnienie ról rodzinnych okazał się złożony. Ponad połowa osób, których wyniki badań analizowano, oceniła, że deportacja miała korzystny wpływ na ich małżeństwo. 44 % badanych stwierdziło, że w związku z deportacją wykształciły się u nich właściwości psychiczne utrudniające pełnienie roli współmałżonka. W badanej populacji wystąpił wysoki wskaźnik rozwodów (18%), co sugeruje, u stosunkowo licznych badanych, poważne trudności w przystosowaniu do roli żony lub męża. Większość badanych dostrze-

¹³ J. Herman, *Przemoc. Uraz psychiczny i powrót do równowagi*. Gdańsk 1999, s. 69.

gała związek między postawami wychowawczymi wobec dzieci a deportacją. Nie stwierdzono przy tym, aby pobyt na deportacji uformował jakiś jeden typowy rodzaj oddziaływań rodzicielskich, wręcz przeciwnie, badani prezentowali bardzo zróżnicowane wzorce postaw wychowawczych.

3. W opinii znacznego procenta badanych niezwykle ciężkie warunki bytowania sprzyjały uformowaniu się również pozytywnych cech osobowości. Najczęściej wymieniano: zaradność życiową, wytrwałość, odporność psychiczną.
4. Zebrany materiał empiryczny pozwolił ustosunkować się do wytyczonych celów badawczych. Można jednak zauważyć, że wnioski wypływające z przedstawionych rezultatów badawczych nie są wolne od pewnych uproszczeń i uogólnień. Poruszana problematyka jest niezwykle złożona i omówienie wszystkich ważnych jej aspektów przekracza ramy niniejszego opracowania.

MICHAŁ PĘDRACKI

WPLYW SYLWETEK ZESŁAŃCÓW NA STEREOTYPY OBRAZU POLAKA WŚRÓD WSPÓŁCZESNYCH JAKUTÓW I EWENKÓW

Niniejszy tekst powstał na marginesie badań, jakie prowadziłem w Jakucji w latach 2005 i 2006. Badania te dotyczyły zupełnie innej problematyki bowiem związane były przede wszystkim z analizą dokonań Wacława Sieroszewskiego w interpretacji szamanizmu. Tym samym postawiona w tytule kwestia siłą rzeczy przedstawiona zostanie jedynie w zarysie. Bardziej kompleksowe opracowanie tego zagadnienia wymagało by przeprowadzenia oddzielnych badań.

Od pierwszych dni mojego pobytu w Jakucji moją uwagę zwrócił bardzo specyficzny i niezwykle serdeczny stosunek jej rdzennych mieszkańców do Polaków. Wpływ na postrzeganie Polaków przez Jakutów i Ewenków miały niewątpliwie kilkusetletnie kontakty z polskimi zesłańcami. Myślę, że śmiało można powiedzieć, że Polacy, którzy byli zsyłani do Jakucji stanowili w znacznej mierze duchową i intelektualną elitę polskiego społeczeństwa. Byli to ludzie o bardzo silnych charakterach, niezwykłym hartu ducha, zazwyczaj również dobrze wykształceni i czytani. Odnosili się przy tym z naturalną sympatią do przedstawicieli rdzennych etnosów Syberii, którzy podzielali ich głęboką niechęć do Rosji Carskiej, a później często także do Rosji Sowieckiej.

Klasycznym przykładem osobowości zesłańca wydaje się być postać Wacława Sieroszewskiego, którym aktualnie się zajmuję. Etnolog-samouk, pisarz, żołnierz i awanturnik, którego życiorys mógłby z powodzeniem stać się kanwą powieści przygodowej czy filmowego scenariusza. Osadzony w Warszawskiej Cytadeli za działalność antycarską bierze udział w buncie więźniów, następnie w czasie drogi na miejsce zesłania we wschodniej Syberii, zostaje jednym z przywódców buntu w Krasnojarsku, zaś po przybyciu do Wierchojańska podejmuje od razu próby ucieczek poprzez Ocean Lodowaty do Ameryki. Mimo, że obie ucieczki się nie udały, o samym wyczynie dopłynięcia przez Sieroszewskiego łodzią do wybrzeży Oceanu Lodowatego mówi się w Górach Wierchojańskich do dziś z niekłamanym podziwem. Ze względu na swoje wyczyny, Sieroszewski zostaje zesłany do uroczyska Jąza – 100 km na

północ od Andylachu, „sto wiorst od rzeki, sto wiorst od traktu pocztowego i trzysta wiorst od miasta”.¹ Pobyt we wschodniej Syberii spędza na badaniach etnograficznych, twórczości literackiej i ciężkiej pracy fizycznej, aby zapewnić utrzymanie sobie i swej córce z małżeństwa z Jakutką Ariną Czelba-Kysa.

Po powrocie do kraju, na który pozwolenie uzyskał dzięki wstawiennictwu Towarzystwa Geograficznego, doceniającego jego ogromny wkład do etnologii, od razu wdaje się w działalność polityczną. Ponownie popada w konflikt z władzą i raz jeszcze trafia do cytadeli. Od ponownego zesłania na Syberię ratuje go udział z zorganizowanej przez Towarzystwo Geograficzne etnograficznej ekspedycji na Hokkaido. Z powodu zbliżającej się wojny rosyjsko-japońskiej Sieroszewski zmuszony jest opuścić Japonię. W drodze powrotnej odwiedza Koreę, Chiny i Ceylon. Po przybyciu do Polski ponownie angażuje się w działalność polityczną i trzeci raz trafia do cytadeli tym razem jednak na krótko. W 1914 r. niemłody już Sieroszewski natychmiast wstępuje do wojska i bierze czynny udział w wojnie.

Wacław Sieroszewski jawi się, więc jako człowiek o niezwykłym harcie ducha, szerokich horyzontach intelektualnych, dużej wrażliwości artystycznej, konsekwentnie wierny swoim ideałom, przy tym pełen sympatii i zrozumienia dla jakuckiej kultury, mający wielu jakuckich przyjaciół oraz jakucką rodzinę. Pamięć o nim jest powszechna i żywa w Jakucji. Ilustrować to mogą następujące przykłady.

Pewnego dnia stałem przed domem w Batagaju czekając na samochód, który miał mnie zawieźć do Wierchojańska. Czekałem dość długo, ponieważ Jakuci podchodzą z ogromnym dystansem do używania zegarków, dystans ten jest na tyle konsekwentny, że nawet czas odlotu samolotu określany bywa wyrażeniem „w okolicach obiadu”. Są oni z reguły także ludźmi przyjaźnie nastawionymi do bliźnich, chętnie nawiązującymi nowe znajomości. Nie było więc nic dziwnego w tym, że jakiś przypadkowy nie posiadający zegarka przechodzień rozpoczął ze mną pogawędkę. Gdy dowiedział się, że zajmuję się Sieroszewskim, stwierdził, że Sieroszewski przebywał w wierchojańskim ułusie tylko przez pierwsze trzy lata swojego zesłania i jak się okazało był całkiem dobrze zorientowany w jego biografii.

Dobra znajomość biografii Sieroszewskiego była typowa dla wszystkich Jakutów z wierchojańskiego ułusu. Wiedzą na jego temat nie dysponowali natomiast bardzo nieliczni mieszkający tam Rosjanie. Kiedy w sklepie spożywczym w tymże samym Batagaju rosyjska ekspedientka zapytała towarzyszącej mi Jakutki co ja tu robię a w odpowiedzi usłyszała, że jestem naukowcem i zajmuję się Sieroszewskim, zadała kolejne pytanie: „Sieroszewski? A co to za roślina?”

¹ W. Sieroszewski, *Dwanaście lat w kraju Jakutów*, Kraków 1961, t.1, s.7.

W nieco mniejszym stopniu biografia Sieroszewskiego znana jest w zachodniej Jakucji. W wilujskim ułusie jeden z moich jakuckich rozmówców znał nazwisko Sieroszewskiego i jego dzieło *Dwanaście lat w kraju Jakutów* ale nie wiedział nic na temat jego biografii. Miał też zastrzeżenia, co do samej treści książki twierdząc, że opis kultury jakuckiej w niej zamieszczony jest uproszczony i tendencyjny. Stanowisko to wydaje się być jednak zupełnie wyjątkowe wśród Jakutów. W tym samym wilujskim ułusie słyszałem bowiem również opinie, że nikt nie zrobił dla Jakutów i ich kultury tak wiele jak Sieroszewski i Piekarski. Za niezwykle pozytywną postać uważała Sieroszewskiego także moja znajoma szamanka z centralnej Jakucji. Pewne zastrzeżenia miała zaś, co do postaci Troszczańskiego. Swoją sympatię do Sieroszewskiego wyraziła między innymi poprzez propozycję umożliwienia mi rozmowy z nim.

Wydaje się, że ludzi podobnego do Sieroszewskiego pokroju trafiało do Jakucji wielu. Dzięki nim Polak dla dzisiejszych Jakutów i Ewenków jest synonimem człowieka niemal szaleńczo odważnego, dobrze wykształconego, niezwykle zaradnego, umiającego poradzić sobie w każdej sytuacji, obdarzonego przy tym awanturniczą żyłką. Posiadanie wśród przodków Polaków, co nierzadko się zdarza, uznawane jest za powód do dumy. Mieszane rodziny polsko-jakuckie są aprobowane, traktuje się je bardzo przychylnie.

Warto tu może również zauważyć, że Polacy oraz polsko-jakuccy Metysi uważani są za bardzo przystojnych mężczyzn. Określenie kogoś mianem „polski hrabia” jest zwykle wyrazem uznania dla jego męskiej urody. Określenie to sugeruje również, że domniemywa się, że uroda ta jest wynikiem posiadania jakiegoś polskiego przodka chociażby w odległej przeszłości. Na temat urody Polek Jakuci mają pojęcie znacznie bardziej mgliste. Mawiają zwykle, że podobno Polki są ładnymi kobietami jednakże sposób mówienia o tym podkreśla, że jest to informacja z drugiej ręki. Polak postrzegany jest także jako przyjaciel Jakutów.

Do niedawna proboszczem jednej z dwóch, bodajże, parafii rzymsko-katolickich w Jakucji był Polak. Po jakimś czasie zastąpił go Słowak. Moi jakuccy znajomi mówili, że dopóki księdzem był ich przyjaciel Polak, dopóty chodzili czasem do kościoła z ciekawości i z sympatii do niego a teraz nie chodzą, bo nie mają po co. Zahaczamy tu o kolejne ważne zagadnienie. W świadomości Jakutów Polak to katolik, ale równanie to jest dla nich odwracalne: katolik to Polak. Nie można być jednocześnie Jakutem i katolikiem. Jeżeli jakiś Jakut jest katolikiem, to prawie na pewno utożsamia się on w jakiś sposób z polskością, ponieważ ktoś z jego przodków był Polakiem. Fakt pielęgnowania w sobie przez pokolenia polskich korzeni jest także symptomatyczny.

Wielokrotnie słyszałem, że katolicyzm jest tak mocno związany z polską kulturą, że żeby stać się katolikiem trzeba stać się Polakiem. Tym samym poszukujący dzisiaj bardzo intensywnie własnej tożsamości kul-

turowej Jakuci odnoszą się raczej niechętnie i nieufnie do możliwości zostania katolikiem. Mogą za to chętnie przyjść do „swojego przyjaciela Polaka”, żeby przyjrzeć się zewnętrznym formom przeżywanej przez niego duchowości. Duchowości Słowaka zaś przyglądają się mniej ochoczo. Chociaż zauważają np., że Słowacy mają bardzo miły, bo podobny do polskiego akcent kiedy mówią po rosyjsku.

Wysoko ceniona jest przez Jakutów odwaga i waleczność Polaków. Kiedyś jeden z moich jakuckich przyjaciół darzący Rosjan szczerą niechęcią rozpoczął swój zwyczajny monolog, w którym ubolewał nad podbojem Syberii przez nich. W pewnym momencie rozpoczął snuć dywagacje nad przyczynami tego faktu, aby ostatecznie dojść do bardzo interesującej konkluzji. Mianowicie Rosjanie przez kilkaset lat usiłowali podbić Polskę bezskutecznie, ponieważ napotykali tu zacięty opór. Żeby odregagować narastającą frustrację skierowali swoją ekspansję na Wschód. Używając obrazowego porównania do wyważania drzwi przyjaciel mój stwierdził, że aby włamać się do czyjegoś domu trzeba najpierw sforsować drzwi. A żeby sforsować drzwi trzeba wziąć duży rozbieg. Rosjanie chcąc włamać się na Syberię wzięli duży rozbieg, ale okazało się, że drzwi nie ma, bo Syberia jest bardzo słabo zaludniona, więc zatrzymali się dopiero na Kamczatce.

Kwestia waleczności Polaków wróciła także podczas rozmowy w innym miejscu i z innym człowiekiem. Było to podczas moich wędrówek po Górach Wierchojańskich. Siedziałem późno w nocy przy ognisku i rozmawiałem z ewenkijskim przewodnikiem. Gdyby nie fakt, że było bardzo zimno dość trudno byłoby stwierdzić, że pora doby, którą aktualnie przeżywamy jest nocą. Słońce za kołem podbiegunowym wszak w lecie nie zachodzi. Ze względu na dość przejmujące zimno oraz pragnąc się zrewanżować za poczęstunek nalewką sporządzoną z mocno ukrwionych rogów młodego renifera, którą niedawno zostałem uraczony, zaproponowałem mojemu ewenkijskiemu przyjacielowi kilka łyków polskiej wódki. Propozycja została ochoczo przyjęta. Akurat miałem w plecaku małą 200 mililitrową butelkę wódki Sobieski. Kiedy ją wyciągnąłem mój towarzysz obejrzał butelkę, przyjrzał się etykietce a następnie przeczytał widniejący na niej napis, odruchowo przekręcając litery łacińskie, tak jak by była to cyrylica: „Soo-vie-tski”. Odczytana nazwa bardzo go zdziwiła, no bo miała być polska wódka a nie sowiecka. Kiedy poprawiłem jego błąd mówiąc, że nazwę należy czytać Sobieski a nie Sovietski i nim zdążyłem powiedzieć cokolwiek innego, stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Tysiąc kilometrów na północ od koła podbiegunowego, w miejscu gdzie jedynym sensownym sposobem mierzenia odległości są dni marszu lub godziny spędzone w łodzi, Ewenk urodzony i mieszkający trzy dni drogi łodzią od Beten Kes rozpoczął opowieść o męstwie Polaków pod Wiedniem, znaczeniu tego zwycięstwa dla Europy i o pięknie husarskiej zbroi.

Nim poszliśmy spać okazało się, że w plecaku przewodnika znajduje się jeszcze duża butelka jakuckiej wódki, którą to już wypił niemal

w całości sam. Spowodowało to jego przejściową niedyspozycję o poranku. Poza mną i przewodnikiem wszyscy członkowie naszej ekspedycji byli Jakutami. W pierwszej chwili całą winą za niedyspozycję przewodnika obarczono mnie, gdyż jak to stwierdzono, powinienem wziąć pod uwagę fakt, że nie piję z Polakiem, który może wypić dowolnie dużo i jest trzeźwy tylko z Ewenkiem a oni mają słabe głowy. Tym samym dowiedziałem się o kolejnej cesze stereotypowo przypisywanej Polakom, a mianowicie o niezwykle mocnej głowie.

Ostatecznie sytuacja wróciła do normy. Przewodnik doszedł do siebie a winę za jego niedyspozycję zrzucano na ducha góry, który jak stwierdzono, spił go, bo nie życzył sobie, żebyśmy wchodzili na szczyt pozostający pod jego opieką. Następnie uznano, że słuszność tej koncepcji została potwierdzona gwałtownym pogorszeniem się pogody, ulewą i wichurą. W górach dowiedziałem się również o wytrzymałości Polaków na trudy i niewygodę

Na jednym z etapów naszej wyprawy dołączyła do nas grupka jakuckiej młodzieży szkolnej z Batagaju. Chodząc po górach uczniowie mieli zdobywać wiedzę o przyrodzie swojego kraju. Na jednym z postojów Jakut w dość zaawansowanym wieku, aby podtrzymać na duchu zmęczonych uczestników ekspedycji wygłosił przemowę, w której wychwalał ich siłę i wytrzymałość. Mówił, że znoszą wielogodzinne górskie marsze obciążeni sprzętem i żywnością, śpią na kamieniach, niewiele jedzą i rzadko piją, jednak znoszą to tak dobrze, bo są ludźmi Północy. Mówił, że żaden Europejczyk by nie wytrzymał tak ciężkich warunków z jednym wyjątkiem. Z wyjątkiem Polaka.

Być może również pewną tradycją jest, że Polak ma lub może mieć problemy z władzą. Zdarzyło mi się raz, że ma skutek jakichś nieporozumień i czyjegoś, być może, roztargnienia zostałem pozbawiony paszportu. Z jakichś niezbyt jasnych przyczyn mój paszport poleciał samolotem do Jakucka a ja zostałem w Górach Wierchojańskich. Sytuacja była dość uciążliwa jako, że nie mogłem ani pobrać pieniędzy w banku mieszczącym się w pasiołku w którym aktualnie przebywałem, ani dopełnić obowiązku rejestracji swojego pobytu w lokalnym komisariacie policji, ani też wy dostać się z Gór Wierchojańskich.

Trwało to wszystko około miesiąca. Potem paszport się znalazł, też w nieco tajemniczych okolicznościach. W czasie tego miesiąca konieczne było zorganizowanie sobie jakiegoś *locum* oraz zapewnienie możliwości utrzymania, w tych nowych i niespodziewanych okolicznościach. Stało się to możliwe dzięki nawiązaniu przyjaźni z pewnym dość barwnym człowiekiem, który w lecie utrzymywał się ze śpiewania piosenek w różnego rodzaju nocnych klubach, zaś w zimie korzystając z możliwości przemieszczania się na wielkie odległości po zamarzniętych rzekach zajmował się przemytem, dającym mu spore dochody. Obeznany z tutejszymi warunkami stał mi się bardzo pomocny, nie oczekując na jakkolwiek rewanżu z mojej strony. Wiedział bowiem, że pieniędzy nie mam.

W czasie jednej takiej pracowitej dla niego nocy, podczas której mu towarzyszyłem, ktoś zapytał mnie skąd jestem i co robię na tym końcu świata. W czasie rozmowy wyjaśniło się, że jestem Polakiem oraz, że jestem zmuszony tu przebywać bo nie mam paszportu. Na co mój rozmówca spojrzawszy mi głęboko w oczy i ścisząc głos powiedział, że jeżeli mam jakieś kłopoty to chętnie pomoże mi ukryć się w górach gdzie na pewno nikt mnie nie znajdzie.

Oczywiście z propozycji nie skorzystałem. Niebawem jednak okazało się, że jego sposób widzenia mojej osoby jest podzielany również przez miejscową milicję i ostatecznie trafiłem na komisariat, gdzie poddano mnie kilkugodzinnemu przesłuchaniu podczas którego pytano mnie między innymi o to, jakie mniejszości etniczne występują w Iraku oraz czy ludzie żółtej rasy zamieszkują Europę, a jak tak, to którą jej część. To ostatnie pytanie omal nie wpędziło mnie w kolejne kłopoty gdyż odpowiedziałem na nie twierdząco a jako obszar Europy zamieszkiwany przez ludność rasy żółtej wskazałem Laponię. Na co przesłuchujący mnie nacelnik milicji odrzekł z triumfalną miną, że Japonia nie leży w Europie. Koniec końców udało się wyjaśnić wszelkie nieporozumienia i po ukaraniu mnie dla formalności 1000 rublowym mandatem zostałem wypuszczony.

Reasumując na podstawie moich doświadczeń wydaje mi się, że współcześni Jakuci i Ewenkowie uważają Polaków za ludzi szlachetnych, odważnych, dobrze wykształconych obdarzonych ogromnym hartem ducha, niezwykle silnym charakterem oraz niepokornych wobec władzy. Na taki właśnie obraz Polaka decydujący wpływ miały niewątpliwie osobowości zesłańców, ludzi obdarzonych właśnie takimi cechami.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem publikujemy relację XIX-wiecznego zesłańca Jana Witorta oraz wspomnienia Honoraty Jaśkiewicz, przebywającej na zesłaniu w Kazachstanie w latach 1940-1946. (red.)

*

Jan Witort – *Na weselu u Kazachów*

Działacz niepodległościowy, zesłańca syberyjski, etnograf, ur. w 1853 r. na terenie guberni kowieńskiej, zm. w 1903 r. tamże, prawdopodobnie w miejscowości Poniewież. Absolwent gimnazjum w Wilnie, student Akademii Medyko-Chirurgicznej, potem Instytutu Technicznego w Petersburgu. Aresztowany za przynależność do kółka socjalistycznego, zesłany został w 1875 r. do Archangielska a następnie wyznaczono mu jako miejsce pobytu miasto Onegę, leżące przy ujściu rzeki o tej samej nazwie do Zatoki Oneńskiej Morza Białego. Stąd wyruszał na wycieczki do bliższych i dalszych miejscowości, powodowany zainteresowaniami ludoznawczymi. W okolicach Kandalakszy bywał wśród mieszkających tam Saamów - bardzo często nazywanych Lapończykami. Odwiedził także Półwysep Kola i Wyspy Sołowieckie, leżące na Morzu Białym. Poznał życie mnichów w Klasztorze Sołowieckim, stanowiącym niezmiernie ważny punkt prawosławia, nie tylko Pomorza (czyli wybrzeży Morza Białego), ale całej ówczesnej Rosji.

Po zwolnieniu z zesłania przybył J. Witort do Krakowa (1879), gdzie został rychło aresztowany za kontakty z galicyjskimi socjalistami i wydalony z zaboru austriack-

kiego. Po przybyciu do Warszawy nie zaprzestaje działalności niepodległościowej. Zatrzymany przez „ochranę” więziony był dziewięć miesięcy w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej i skazany został ponownie na zesłanie (1880). Początkowo przebywał w Nikolsku (Wologda), później został przeniesiony do Tomsku i Semipałatyńska. Podobnie jak podczas pierwsze zsyłki, ludoznawcze zainteresowania Witorta spowodowały, że poczynił on interesujące obserwacje o życiu Kazachów. Na temat ten opublikował artykuł *Ze stepów Azji Środkowej* w lwowskim czasopiśmie „Lud” 1899 r., t. 5, który w ocenie współczesnego etnologa Zbigniewa Jasiewicza z Poznania „jest pozycją wyjątkową w polskim piśmiennictwie środkowo-azjatyckim. Po raz pierwszy zabrał głos obserwator czytany w literaturze etnograficznej i posługujący się przyjmowanymi wówczas założeniami teoretycznymi, przedstawiający systematyczny wykład wybranego zagadnienia. Zainteresowany prawem zwyczajowym dostarcza bogatych danych dotyczących rodziny, stosunków własnościowych i etyki u Kazachów”.

Zwolniony z zesłania wrócił J. Witort (1886) do europejskiej części carstwa, mieszkał w Poniewieżu, w guberni kowieńskiej. Na niwie naukowej współpracował z czasopismami „Lud”, „Wisła”, „Głos”. Napisał między innymi: *Kilka słów o świekroście, Godła rodowe chłopów Archangielskich, Przyczynek do historii przesądów (Rozstrzelanie cholery na Syberii w 1892 r.)* wszystko w czasopiśmie „Lud” 1896, t. 2. Poza tym opublikował *Zarys prawa zwyczajowego ludu litewskiego* (1898), *Zarys prawa pierwotnego* (1899). Jego zasługi dla etnografii polskiej nie zostały dotychczas w pełni przedstawione. Materiały biograficzne dotyczące J. Witorta znajdują się w Archiwum Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu.¹



Ludziom z zachodu, którzy przywykli widzieć lasy i pola, wsie i miasta, trudno wyobrazić sobie stepy; każde wspomnienie o nich wywołuje obraz olbrzymiej płaszczyny pokrytej bądź piaskiem, jak Sahara, bądź jednostajną, bujną roślinnością, jak amerykańskie prerie; zawsze jednak znamioną cechą stepów jest nużąca jednostajność, wzbudzająca tęsknotę lub pewną ospałość, wieczne powtarzanie się tych samych obrazków, tych samych wrażeń.² Takie wrażenia wynosi zwykle podróżnik przy pierwszym obeznaniu się ze stepem, lecz one rychło nikną, skoro oko oswoi się z niezwykłym widokiem, skoro baczniej rozejrzy się w otoczeniu. Nie widać tu ani pól falujących zbożem, ani owej prawie czarnej zieloności lasów iglastych, a jednak gra barw jest niemniej żywą i niemniej urozmaiconą. Obok szarego piasku, stanowiącego tło obrazów stepowych, ciągną się nad ruczajami długie smugi trawy, jak ruń zielonej, a usianej kwieciami irysu; gdzie indziej widać srebrzyste duże plamy – to piołun,

¹ J. Witort, *Autobiografia*. Opracowali A. Kuczyński i Z. Wójcik, „Lud”, 1997, t. 84, s. 209-252; A. Kuczyński, Z. Wójcik, *Materiały do bibliografii podmiotowej i przedmiotowej Jana Michała Witorta*, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, 1998, t. 2, s. 153-181; W. Baranowski, *Polskie relacje o rosyjskiej kulturze ludowej (1831-1920)*, „Acta Universitatis Lodzianensis” – Folia Ethnologica”, 1985, t. 3, s. 174-178; V. Milius, *Mokslo Draugijos ir Lietuviu Etnografija (XIX a. antroji puse-XXa. Primoji puse)*, Vilnius 1993, s. 98-117.

² Praca powyższa ma wprawdzie pośredni związek z polskim ludoznawstwem, jednak ze względu na to, że jest ona ważnym przyczynkiem do etnologii, która wchodzi w zakres programu „Ludu”, nie mniej, że opiera się na autopsji autora, gruntownego znawcy stosunków syberyjskich, została pomieszczona w „Ludzie” (red.). Przypisem tym redakcja „Ludu” opatrzyła artykuł J. Witorta podkreślając jego dokumentacyjną i naukową wartość.

którego zapach roznosi wiatr po całym stepie, tam dalej, jak śnieg na słońcu, błyszczą sołneczaki, a jeszcze dalej na skraju horyzontu występują skały, przednia straż Gór Ałtajskich. Nim skwar południowy minie, zdaje się, że wszystko wymarło, schowało się pod kurhanami rozsianymi wśród stepu. Lecz niech zbliży się wieczór, niech promienie słońca padną ukośnie, a jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się krajobraz. Cudowna gra światła przemienia skały w fantastyczne zamczyska o niezliczonych basztach i wieżach, a głosy zwierząt składają się na przedziwny koncert stepowy. Podnosi się ożywczy wietrzyk... Toteż mieszkańcy miast stepowych nie mogą nachwalić się stepu, tęsknią za nim, gotowi nawet koczować, byle tylko żyć w stepie, oddychać jego świeżym powietrzem, pieścić się tymi obszarami niezmiernymi, jakby stworzonymi dla życia koczowniczego. Kto był w stepach, kto oddychał ich powietrzem, patrzył na te bezmiary, ten zrozumie niezawodnie to dziwne uczucie, które nie pozwala pozostawać długo na jednym miejscu i ciągnie ustawicznie w dal... w dal...

Wiadomo zresztą, że od wieków stepy Azji Środkowej budziły podobne uczucia... Od jak dawna ród ludzki pamięta, mieszkający w stepach ludy koczownicze; jedne ustępowały, inne zajmowały ich miejsce. Niektóre wylewały się poza obręb stepów nosły na zachód i na wschód śmierć i zniszczenie, a potem wracały do stepu i zupełnie znikły; inne znowu zdobywały nową ojczyznę i zapomniały o swej kolebce; inne zaś znikły doszczętnie i już nikt nie potrafi wskazać tych miejscowości, w których niegdyś one koczowały.

Dziś głównym plemieniem koczującym w stepach Azji środkowej są Kirgizi. Od „dachu świata”, Pamiru, aż do wielkiej drogi syberyjskiej, od Orenburga aż do północno-zachodnich granic Mongolii koczują oni, a na północy tej ogromnej przestrzeni stanowią przeważną część ludności. Jakim jest pochodzenie Kirgizów, dotąd nie wiadomo; jedni utrzymują, że są oni osobnym plemieniem fińsko-mongolskiego szczepu; wedle innych zaś stanowią zlepek rozmaitych plemion, które kiedyś w stepach koczowały. Sami Kirgizi niewiele o swoim pochodzeniu wiedzą; jedni twierdzą, że pochodzą w prostej linii od psa rudego i 40 dziewcząt (*krk – 40 kyz*), lub że są potomkami 18 starożytnych bohaterów, których czczą jako protoplastów 18 głównych rodów kirgiskich.

Pewnym jest, że Kirgizi należą do szczepu fińsko-mongolskiego oraz że kolebką ich jest lewy brzeg Syr-Darii, skąd stopniowo rozlali się po całym obszarze dziś przez nich zajęтым. Północno-wschodnia część stepów kirgiskich, dzisiejszy Kraj Siemipałatyński, był zamieszkały przez Dżungarów i Kałmuków. Pierwsi w walce z Kirgizami bądź wyginęli, bądź złączyli się z nimi; drudzy zaś posunęli się dalej na wschód, w Góry Ałtajskie lub w granice Chin ku pobratymczym Mongołom. W kraju zaś rozgospodarowali się Kirgizi wraz ze swymi stadami baranów, wielbłądów i koni, prowadząc dalej swe odwieczne życie koczownicze, tak jednostajne, tak zależne od warunków klimatycznych.

Lato, to period rozkoszy dla Kirgizów: upałów nie obawiają się oni, a gdyby nawet skwary dokuczały zanadto, to jurta, lekki, obszerny a wysoki namiot z grubego wołoku, dostarczy zawsze schronienia przed promieniami słonecznymi. Brak wody rzadko daje się odczuwać: Kirgiz zna doskonale swój step, zna wszystkie źródła i studnie i prawie zawsze tak umie się urządzać, że ma wody dosyć.

Na bogatych pastwiskach osłabione i wychudłe stada rychło przychodzą do pełni sił; klacze i owce dają dużo mleka, a więc i Kirgiz jest syty i strawa

jego, składająca się przeważnie z mleka zsiadłego (*ajranu*), sera (*kurt*) i *kumysu*, jest zawsze świeżą i zdrową. Lato sprzyja rozjazdom, pozwala odwiedzać znajomych i krewnych, często koczujących o kilkaset wiorst, a towarzyski Kirgiz nigdy nie omieszka skorzystać z tej sposobności; toteż lato można nazwać karnawalem stepowym; latem też odbywają się rozmaite zabawy, wyścigi konne, walki atletów, gody małżeńskie, wybory, sądy itd.

Lecz gdy nastanie zima, gdy spadną śniegi, a zwłaszcza, gdy powstaną straszne *burany* (*buran* – zamieć śnieżna), trwające po kilka i kilkanaście dni, wówczas nastaje „ciężka pora roku”. Niedawno rzeński i ruchliwy koczownik zakopuje się w *kystawie*, lichej lepiance z gliny i chrustu, bez dachu i okien; strawa jego jest nędzna i sprowadza się do resztek sera i małych porcji mrożonej koniny lub baraniny; stosunki ze światem zewnętrznym przerywają się na kilka miesięcy lub są tak trudne, że pomimo nudy i tęsknoty towarzyski Kirgiz nie odważa się opuścić aułu... z obawy wilków i *buranów*.

Jeszcze gorszym jest położenie stad... Dla wielkiej ilości bydła nie sposób zrobić latem dostatecznego zapasu siana. Nieliczne stogi zachowują się na koniec zimy lub początek wiosny. Stada same szukają sobie pożywienia, rozkopując śnieg i żywiąc się zeschniętą trawą zeszlóroczą. Dopóki nie spadnie śnieg głęboki, nim wąwozy i jary nie zostaną zasypane, stada trzymają się nieźle, lecz gdy nastaną *burany*, a zwłaszcza po odwilży straszny północno-wschodni wiatr pokryje cały step grubą warstwą zlodowaciałego śniegu, wówczas następuje straszliwa klęska, nazywana *dżut*. W ciągu kilku dni giną z głodu ogromne stada, a ich właściciel z żonami, dziećmi i domownikami, bezsilny wobec nieszczęścia, patrzy na upadek swego dostatku, na mienie topniejące, jak śnieg wiosenny i bezwładnie wyczekuje nowego gościa – śmierci głodowej. Jednej ciężkiej zimy, jednej gołoledzi wystarcza, by tysiące zamożnych Kirgizów doszło do kija żebraczego, by zaczęła grasować olbrzymia śmiertelność, by ludzie umierali wprost z głodu, jak to się działo w czasie 1882-1883 r., kiedy z powodu *dżutu* padło blisko 3/4 ogółu stad kirgiskich. W samej rzeczy dobrobyt Kirgiza, niemal całe jego życie, pozostaje w ścisłej zależności od stad: barany, wielbłądy i konie zaopatrują Kirgizów we wszystko, co im potrzebne jest do życia: odzież, obuwie, sprzęty domowe a poniekąd i samo mieszkanie wyrabiają oni z wełny, sierści i skór bydłowych; nawet opału *kij* dostarczają im zwierzęta (*kij* – to ubity i wysuszony pomiot barani, który zastępuje w stepach bezleśnych nasze drwa).

Nieliczne i mało rozwinięte rzemiosła kirgiskie przerabiają niemal wyłącznie produkty zwierzęce. Ze skór szyją się duże i małe wory, zastępujące nasze naczynia, z rogu robią łyżki, strzemiona i inne przedmioty drobne, a płasko porzniete i rzeźbione kości służą do inkrustacji małych mebli, zastosowanych do życia koczowniczego. Żelazo było wprawdzie znane już od dawna w stepach, ale do niedawna ceniło się bardzo wysoko; otrzymywano je drogą wymiany z Turkiestanu. Koczownicy otrzymywali je bądź w postaci wyrobów gotowych (zbroje, szyszaki, szable, noże, kotły itp.), bądź też przerabiali na miejscu na ostrza pik i straszne *ajbolty* (mała siekierka osadzona na długiej, gibkiej trzcinie). Z Turkiestanu otrzymywali też Kirgizi tkaniny bawełniane, jedwabne, lżejsze i ozdobniejsze niżli wyroby z grubej wełny owiec stepowych i sukna wielbłądzie. Przy bliższym zetknięciu się z narodem, pod którego władzą dziś zostają, wyroby turkiestańskie powoli zostały wyrugowane przez rosyjskie; wówczas też Kirgizi po raz pierwszy poznali produkt życia osiadłego, a mianowicie

chleb. Chleb, dla nas tak potrzebny, nawet dziś u Kirgizów jest bardzo mało używany, a do niedawna stanowił artykuł zbytku, znany bardzo nielicznym rodzinom, koczującym w pobliżu stałych osad rolniczych. Obecnie spożycie zboża w stepach wzrasta z każdym rokiem i jeśli nadal tak będzie wzrastało, to wkrótce ziarno i mąka zastąpią Kirgizom mleko i mięso. Ten wzrost spożycia zboża pozostaje w bezpośrednim związku ze zmianą warunków ekonomicznych i ogólnym upadkiem dobrobytu koczowników – z jednej strony, z drugiej zaś wytwarza nowe zwyczaje i potrzeby, tudzież przygotowuje powoli podstawę dla zmian w ustroju społecznym Kirgizów, zbliża chwilę, gdy będą oni musieli porzucić obecny tryb życia i stale osiąść na roli.

Zetknięcie się z wyższymi formami kultury i cywilizacji nie pozostaje bez śladu; w dziedzinę starych obyczajów i zwyczajów kirgiskich oraz poglądów wdzierają się powoli nowe zasady ziarna wyższego, ale obcego uspołecznienia, które – być może szybko – usuną uprzednie formy życiowe, nieraz zachowujące ślady zamierchłej przeszłości. A śladów owej przeszłości jest jeszcze dużo, nawet pełnych życia. Tak w życiu społecznym Kirgizów zachowało się dużo pozostałości ustroju rodowego; niektóre z nich są tak żywotne, odgrywają tak znaczną rolę, iż niewątpliwie – rzecz by można – są pamiątkami przeszłości niedalekiej.

Tu zaznaczę, że w odległych miejscowościach bardzo często można spotkać wspólnoty rodzinne złożone z kilku lub kilkunastu *agnatów*, żonaty i dzietnych, a rządzone przez najstarszego spośród nich; zdarza się niekiedy, że na czele takiej wspólnoty rodzinnej stoi osoba z wyboru jej członków, a nawet, acz bardzo rzadko, kobieta wdowa. Człowiek obcy, osiadając w stepie, udaje się pod opiekę jakiego bądź wpływowego Kirgiza, który go zalicza do swego rodu i uważa za krewniaka; ta okoliczność nadaje mu wszelkie prawa istotnego członka rodu.

W sferze stosunków majątkowych szczątki organizacji rodowej zachowały się w szczodrej pomocy biednym krewnym (zwyczaj dawania na lato koni i owiec bez wynagrodzenia), w prawie służącym każdemu Kirgizowi brać w razie potrzeby np. konia, by ścigać złodziei, w nieograniczonej gościnności, wspólnej wypłacie *kunów* (grzywien) i *kałymu* (zapłaty za żonę); w razie nieszczęścia lub niebezpieczeństwa pomoc wzajemna dla członków rodu jest obowiązkiem. W prawie karnym spotykamy wyraźne ślady zemsty rodowej i krwawiny. Do dnia dzisiejszego zachował się jeszcze zwyczaj *tamyrstwa*, tj. zbratania się dwóch rodzin lub osób, które ustanawia jak najściślejsze związki braterskie. W ogóle i dziś nawet żyją wspomnienia o wspólnym pochodzeniu, o wspólnych okrzykach bojowych oraz sprawach i interesach. Dziś nawet każdy Kirgiz wie doskonale do jakiego rodu należy; niektórzy z nich potrafią nawet wyliczyć wszystkie rody kirgiskie w stepach, wskazać ich protoplastów i genealogię pierwotną.

Do pozostałości czasów dawno minionych należy lewirat, chociaż dziś tło jego jest ekonomiczne. Wszakże ustrój rodowy należy już do przeszłości, natomiast panuje niepodzielnie patriarchy. Patrząc na rodzinę kirgiską zda się, że widzisz owych patriarchów biblijnych Abrahama i Jakuba, mających po kilka żon i rządzących samodzielnie losem domowników. Rodzina kirgiska składa się z głowy, jego żony lub żon, dzieci, niekiedy krewnych i domowników; mienie stanowi jej część nierozdzielalną. Głową rodziny jest zwykle ojciec; posiada on prawa niemal nieograniczone. Żona jest jego własnością, która po jego śmierci dostaje się w spadku bratu; dopóki jednak mąż żyje, mocen jest robić ze

swoją żonę, co mu się podoba, nie oglądając się ani na przyszłość, ani na prawa swych bliskich *agnatów*. A prawa męża są bardzo obszerne; rozciągają się one na osobę żony i na jej majątek. Mąż ma prawo wymagać, by żona żyła z nim razem, dzieliła jego losy, prowadziła gospodarstwo itd., słowem była jego służką pokorną; w razie najmniejszego wykroczenia może on karać żonę dowolnie, byle tylko nie znęcając się i nie kalecząc jej ciężko. Oryginalnie zwyczaje kirgiskie określają pojęcie znęcania się: mąż może chłostać żonę, ile się podoba i jak się podoba, byle tylko w jurcie (w namiocie), ale uderzenie nagiej kobiety poza jurta – to znęcanie się; znęcaniem się będzie też przypiekanie żelazem rozpalonym ciała żony itd. Oderwanie albo urznięcie ucha, wywichnięcie nogi lub ręki – to kalestwa lekkie, które nie są powodem do skarg... wedle prawa zwyczajowego. Karnej represji podlega mąż tylko za zabójstwo żony i ciężkie poranienie lub okaleczenie; pozywać go do sądu mogą ojciec żony lub w ogóle jej krewni. Wypadki podobne zdarzają się jednak bardzo rzadko; usuwa je możliwość i łatwość rozwodu, który zależy wyłącznie od woli męża: dość mu trzy razy powiedzieć żonie: „idź precz!” (*sin talak*) a już rozwód gotów! Rozwiedziona powraca do swojej rodziny i może wyjść za mąż. Jeżeli mąż nie zgadza się na rozwód z żoną, a obchodzi się z nią źle, to jej krewni robią mu pewne przedstawienia i skłaniają do zmiany postępowania, co nieraz odnosi skutek pożądaný; wszakże nie mają te uwagi żadnej sankcji zwyczajowej. Jeżeli Kirgiz ma kilka żon (maksimum 4), to postępowanie jego nie ulega zmianom zasadniczym, bo każda prowadzi gospodarstwo oddzielne; tylko żona pierwsza – *bijbacze* – cieszy się większym szacunkiem. Nawiasem mówiąc, wielożeństwo wśród Kirgizów chyli się do upadku; liczba żon, dawniej nieograniczona, została dziś sprowadzoną do 4, co nie ma jednak znaczenia poważnego, z powodu łatwości rozwodów. Nierównie większe znaczenie mają czynniki ekonomiczne, zwłaszcza *kałym*, bez którego wypłaty nie można dostać żony; toteż wielożeństwo jest dziś dostępnym tylko Kirgizom bogatym. Zresztą i publiczna opinia kirgiska zaczyna je potępiać... Dodam jeszcze, że mąż ma prawo sprzedać lub wydzierżawić żonę, przelewając na dzierżawcę wszystkie swe prawa; zdarza się to już bardzo rzadko i jak się zdaje tylko za zgodą żony.

Mienie żony (*dżasan*) zlewa się z mieniem rodziny męzowskiej, ona zaś traci doń wszelkie prawa; wyjątek stanowi tylko szczególny strój głowy, *sankele*, ozdobiony perłami, koralami, złotem i drogimi kamieniami, którego wartość niekiedy parę tysięcy rubli wynosi. Strój ten stanowi bezwarunkową własność żony i w razie bezpotomnego jej zejścia ze świata zwraca się rodzinie. Resztą mienia żoniego mąż rozporządza zupełnie dowolnie; nawet gdy żonie zagraża głód, wówczas tylko krewni mogą robić swoje uwagi i prosić męża o oszczędność.

Wszakże w czasach ostatnich żony zaczynają nabywać niejakich praw do majątku męzowskiego. Tak np. wdowa bezdzietna, jeżeli nie ma kogo poślubić spośród krewnych męzowskich, wraca do rodziny i otrzymuje 1/6 część majątku męża. Zdarza się, że krewni pozwalają wdowie zabrać najmłodsze dziecko, jeśli ono nieodłączone, oraz 1/8 część mienia. Nareszcie przy rozwodzie zwyczaj dziś każe dać żonie wielbłąda, konia, pościel i część mienia.

Władza głowy rodziny nad jej młodszymi członkami jest daleko większą niż władza męża nad żoną. Do niedawna ojciec posiadał prawo życia i śmierci w swych rękach; dopóki nie zniesiono niewolnictwa w stepach mógł ich sprzedawać dowolnie. „Syn przed ojcem, jak niewolnik przed panem” (*atały ul, kożały kuł*) – mówi przysłowie kirgiskie, charakteryzując stosunek syna do ojca. Jak niewolnik

względem pana ma tylko obowiązki, nie zaś prawa, tak i syn w stosunku do ojca; winien on tylko ślepo spełniać rozkazy ojca, uważać go niemal za wcielenie bóstwa; jego los zależy całkiem od woli ojca; słowem ojciec jest panem wszechwładnym. Jeżeli dziś nie może zabić syna lub sprzedać go w niewolę, to ma prawo trzy razy wynająć go osobom postronnym, pobierając jego zasługi. W granicach, zakreślonych prawem karnym, zwyczaj pozwala ojcu nie tylko bić syna, nawet dorosłego, chłostać go, więzić, głodzić, zakuwać w kajdany, wypędzać z aulu i wydziedziczać, ale nawet najmniejsza skarga ojca na syna znajduje zupełne uwzględnienie w sądach ludowych (*bijów*), które, nie roztrząsając sprawy, skazują syna na kary najsurowsze. Skargi syna na ojca nigdy nie są uwzględniane przez sądy *bijów*. Do niedawna za obelgę czynną ojca spotykała syna kara następną: rozebranego do naga oprowadzano z powrozem na szyi po aulach i bito nahajami, wymieniając winę. Dziś kary tej zastosować nie można, ale wedle zdania *bijów* jest ona zupełnie słuszną i sprawiedliwą, przeto sądy, nie mogąc jej stosować, uchylają się od rozstrzygnięcia spraw o czynne obelgi rodziców, przekazując je krewnym pokrzywdzonego. Dodam wreszcie, że prawo rodziców co do życia dzieci niezupełnie jeszcze zatarło się; dotąd występuje ono w formie zabójstwa słabych dzieci, by za pomocą denuncjacji fałszywej zwalić odpowiedzialność za ich śmierć na ród wrogi, co praktykuje się często. Wreszcie ojciec zaręcza syna, zwykle niemowlęciem jeszcze, a w wyborze przyszłej synowej kieruje się wyłącznie pobudkami materialnymi. Zdarza się, że krewni starają się drogą namowy skłonić ojca, by dał synowi coś ze swego mienia i rozstał się z nim; w jednym tylko wypadku, tj. gdy ojciec ożenił się powtórnie i żyje z macochą, syn ma prawo żądać wydziału części mienia ojcowskiego. Sądy ludowe zwykle nie odmawiają w tych razach swej pomocy.

Wcale inne jest położenie córki; do rodziny należy ona tylko czasowo, do zameścia. Już od urodzenia córki ojciec marzy o otrzymaniu za nią zapłaty (*kałymu*), poszukuje dla niej męża i często zawiera umowę o jej sprzedaż, gdy spoczywa ona jeszcze w kolebce; często pobiera nawet częściami za nią *kałym*. Córka dla rodziców staje się więc jakby obcą; zadaniem ich jest wychować ją, nauczyć gospodarstwa kobiecego i wreszcie oddać ją wraz z wyprawą przyszłemu mężowi. Ojciec oznacza tylko wysokość *kałymu* i wyprawy; całe wychowanie zaś należy wyłącznie do matki, która za postępowanie córki jest odpowiedzialną przed mężem. Matka obchodzi się w ogóle z córką bardzo łagodnie i delikatnie; młoda Kirgizka nie zna, co to chłosta, która tak często spotyka jej rówieśniczki chrześcijańskie; w razach ostatecznych matka poprzestaje na szturchańcu lub wytarganiu za uszy czy włosy. Prawo zwyczajowe kirgiskie zaleca wielką łagodność w postępowaniu z dziewczętami: „ojciec bije syna, by go poprawić, matka córkę – by zepsuć” (*ake urgan ul ungar czysze urgan kys unbas*) mówi przysłowie. W ogóle położenie dziewczyny w rodzinie jest wcale znośne; nawet przekroczenia zwyczajowe nie pociągają dziś zbyt przykrych skutków.

Prawa majątkowe ojca rodziny względem dzieci są różne. Ojciec obowiązany utrzymywać córkę do zameścia; po zameściu zaś córka obowiązana dać mu pewne podarki oraz utrzymywać matkę, jeżeli ta nie ma synów i środków do życia. Syn zawsze jest obowiązany utrzymywać rodziców; ojciec zawsze ma nieograniczone prawo do jego majątku; każdą rzecz syna może wziąć na własny użytek, byle nie oddawać osobie trzeciej. Nie ma on żadnego prawa do synowej; jedną tylko chwilę w czasie ceremonii ślubnej widzi jej twarz, a potem nie powi-

nien jej nawet znać; toteż zwykle świekier nie zna swojej synowej pomimo tego, iż całe lata mieszkają razem w jednym aule. Pożycie miłosne świekra z synową (świekrowstwo, *snochaczestwo*), tak rozpowszechnione na Syberii, Kirgizom jest zupełnie nieznanym. Do rodziny niekiedy należą i zięciowie; zdarza się, że Kirgiz nie mający czym zapłacić *kałymu*, przyłącza swoje stada do stad Kirgiza, którego córkę ma zaślubić; zaślubia ją nareszcie i wchodzi w pewien zależny od teścia stosunek. Zwyczaj ten nazywa się *kuszk-jow*, spotyka się rzadko i nie cieszy się sympatią Kirgizów: „lepiej być psem nie przywiązany, niżli zięciem zależnym od teścia” (*kałudagy kijsnden kargysy džok tazy artyk*) głosi przysłowie.

Ze względu na warunki życia koczowniczego Kirgizi wielce dbają o zachowanie stosunków przyjaznych z innymi rodzinami; sama istota położenia zmusza ich do tego. Rozumie się, że w rodzinie patriarchalnej wszystko zależy od jej głowy, przeto Kirgiz zawsze stara się zawiązać dobre stosunki tylko z głową innej rodziny; rzeczywiście nigdy nie omieszka korzystać z najmniejszej okoliczności w tym celu. Niekiedy pomiędzy głowami rodzin wywiązuje się prawdziwa konkurencja i dyplomaci stepowi zużywają dużo przebiegłości i chytrych oprócz cennych podarków, by zawiązać stosunki przyjazne z Kirgizem wpływowym a możliwym. Zwyczajowo wyrobiły się pewne formy stałe tych stosunków, zwane z kirgiska *tamyrstwem*. Związek taki zobowiązuje do podarków wzajemnych i winien trwać całe życie bez przerwy: „woda precedzona nie ustaje się, a kość z kością nie rozłącza się” (*su suselmejde, snek uselmejde*) mówi przysłowie. Ta forma *tamyrstwa* zowie się *snek tamyrstwo*. Najwyższą jednak formą jest *doz tamyrstwo* tj. przyjaźń wieczysta, którą ustanawiają dwaj mężczyźni uściskając się obnażonymi piersiami (*kuszak taskan*) lub pociągając za duży palec (*barmak uż taskan*). Ta forma przyjaźni przechodzi z pokolenia w pokolenie i kończy się zwykle związkiem małżeńskim pomiędzy potomkami pierwszych *tamyrów*. Wkłada ona na obie strony obowiązki tak wielkie i święte, że je chyba można przyrównać do obowiązków braci rodzonych... wedle pojęć Kirgizów. *Doz tamyrstwo* może być zawarte nawet z nie Kirgizem, nawet z kobietą, byle nie Kirgizką. Najniższa forma *tamyrstwa ans tamyr* daje tylko prawo do podarków wzajemnych, bez żadnych innych obowiązków i ograniczenia co do czasu.

Współczesne małżeństwo Kirgizów jest instytucją złożoną z różnych pozostałości szczątkowych i nawarstwień historycznych, które nie zwały się dotąd zupełnie. Pomijając takie zabytki zamierzchłej przeszłości jak obrzęd porwania oblubienicy, należy podkreślić trzy główne składniki małżeństwa: ludowe prawo zwyczajowe, wpływ prawodawstwa mahometańskiego i koranu oraz oddziaływanie kultury i cywilizacji rosyjskiej, a zwłaszcza prawodawstwa cywilnego. Wpływy rosyjskie wyrażają się głównie w zastosowaniu do życia codziennego nowych poglądów na kobietę, na prawo dowolnego rozporządzania jej osobą itd. Wpływy te datują się od niedawna, ale potęga ich wzrasta coraz bardziej.

Wedle starego prawa zwyczajowego, pochodzącego, jak głosi podanie, z czasów chana Tanke, wiek zawarcia małżeństwa określał się dla mężczyzn na lat 15, dla kobiet zaś – 16; wymaganie większej dojrzałości fizycznej od kobiet tłumaczy się warunkami życia koczowników, w którym cały ciężar robót domowych i gospodarczych spada wyłącznie na kobietę. Z czasem atoli ograniczenia wieku osób wstępujących w związki małżeńskie straciły wszelkie znaczenie; dziś żadnych ograniczeń nie ma. Małżeństwa wczesne spotykają się dość często; tłumaczą się one chęcią prędszego otrzymania *kałymu*, spokrewnienia się z rodem wpływowym, posiadania robotnicy bezpłatnej u biednych itd.

Stare i nowe prawa zwyczajowe różnią się z sobą co do zakazów małżeństwa pomiędzy krewnymi i powinowatymi; pierwsze bezwarunkowo zakazywały związki małżeńskie (!) do 7 pokolenia, drugie zakazują je tylko pomiędzy krewnymi w liniach wstępnym i zstępnej oraz w liniach bocznych do trzeciego stopnia; nie wolno też poślubić macochy, pasierbicy, synowej i teściowej; małżeństwo z siostrą i córką jej brata jest zakazane, jeżeli żona żyje. Małżeństwo pomiędzy stryjecznym lub ciotecznym rodzeństwem jest dozwolone.

Małżeństwo zawierają Kirgizi prawie zawsze na mocy wzajemnej umowy pomiędzy głowami dwóch rodzin lub naczelników rodu; na zgodę oblubieńca i oblubienicy nie zwracają najmniejszej uwagi; zresztą bywa często, że obie strony znajdują się w dzieciństwie. Tylko w ostatnich czasach w powiecie siemipalałyńskim zaczyna rozpowszechniać się zwyczaj, na mocy którego oblubienica starsza o lat 6 od oblubieńca, nie może być zmuszona do poślubienia go. Wypadki zerwania umowy przedślubnej zdarzają się bardzo rzadko, bo narażają zrywającego na ciężkie straty materialne.

Koniecznym warunkiem wesela kirgiskiego jest swatanie, które ciągnie się niekiedy przeszło 10 lat a jest połączone z masą oryginalnych zwyczajów. Składa się ono z mnóstwa aktów poszczególnych, rzecz można stopniowo zwiększających odpowiedzialność materialną za zerwanie umowy. Pierwszym aktem swatania jest umowa wzajemna pomiędzy ojcami oblubieńca i oblubienicy; umowa ta określa szczegółowo wysokość *kalymu* oraz sposób i termin wypłaty. Ojciec chłopca winien złożyć ojcu dziewczyny podarek, zwany *kargaban*. Zerwanie umowy pociąga skutki następne: ojciec oblubienicy zwraca podarek i płaci karę, ojciec oblubieńca traci *kargaban*. Rozumie się, że umowa ta zawiera się publicznie, przy licznych świadkach, jak zwykle u Kirgizów.

Drugim aktem są oświadczenia formalne, które łączą się zwykle z jak największym przepychem; robią się one przez swatów – *kudelarów*. Ilość swatów zależy od zamożności oblubieńca; niekiedy dochodzi ona do 20 osób. Swaty, jadąc do aulu oblubienicy, zatrzymują się w najbliższym aule u krewnych oblubieńca i wówczas zawiadamiają o swoim przybyciu. Ojciec dziewczyny natychmiast zawiadamia swoich krewnych i przyjaciół, zaprasza ich do siebie, buduje jurty dla swatów i naznacza dzień ich przyjęcia. W oznaczonym terminie przyjeżdżają swaty i w obecności zebranych gości – świadków – proszą o rękę córki gospodarza. Oświadczenia przyjmują się i natychmiast uświęcają się zarznięciem białego barana i odmówieniem modlitwy. Potem następują uczty i zabawy trwające czasami dni kilka. Uczty składają się przeważnie z gotowanej baraniny, koniny, kumysu, herbaty itd., zabawy zaś – z wyścigów konnych (*bajgi*), walki siłaczów, śpiewów chórów męskich i żeńskich oraz muzyki. W czasie tej uroczystości, zwanej *toj kuda tinser*, przedmiotem powszechnych żartów i drwin są swaci; młode mężatki i dziewczęta prowadzą ich do studni, oblewają wodą, zaprzęgają do wozów, zmuszają wozić siebie itd. Chwila rozpląty – to uczta ostatnia, na której podają potrawę symboliczną *baur kajriuk*.³ Sporządza

³ *Baur* – wątroba w przenośni oznacza też braci rodzonych i stryjecznych, przeto jedząc ją wspólnie swaty stają się niby braćmi; tłuszcz i ser – główne produkty pasterstwa – wskazują jakby zamianę wzajemną stad; barwa biała – to oznaka radości. Ale ta potrawa posiada też znaczenie prawne: w sądach ludowych – *bijów* – służy ona za dowód stanowczy swatostwa; jeśli świadkowie stwierdzą, że ją jedli, fakt uważa się za zupełnie udowodniony.

się ona z wątroby i tłuszczu białego barana, zarzniętego na początku uroczystości oraz *kurtu* (gatunek sera). Potrawą tą swaty częstują gospodarzy i ich krewnych, podając ją na dłoni oraz starając się obmazać nią twarz częstowanej osoby; wówczas powstaje popłoch niemały, śmiech, krzyki... Pod koniec uczyty ostatniej, ojciec oblubienicy rozdaje swatom podarki, zwane *kyit*; ich wartość u bogatych jest bardzo znaczna. Trzeba zauważyć, że wartość podarków, które otrzymuje każdy swat, zależy od jego zamożności i pochodzenia; wyjątek stanowi tylko ojciec oblubieńca, który otrzymuje podarek najcenniejszy, chociażby nie należał do osób bardzo szanowanych. Jeśli on jest nieobecny, to podarek przysyłają mu przez swatów.

Trzecim aktem swatania jest wypłata *kałymu*. *Kałym* jest to zapłata, którą oblubieniec przy pomocy swego rodu składa ojcu oblubienicy, wysokość jej zależy od rozmaitych okoliczności obu rodzin, swatów, pochodzenia itd. w ogóle wysokość *kałymu* ze strony maksymalnej wzrasta, minimalnej zaś – zmniejsza się. Dawniej *kałym* dzielił się na trzy stopnie: *domalakkrk* – *dżety* (47 trzechletnich klaczy), *otuz dżety* (37 klaczy) oraz *dżygirma dżety* (27 klaczy). Do najwyższego *kałymu* dodawano dwie dopłaty: *bas-dżaksy* i *ajak-dżaksy*; dopłaty te wzrastając ustawicznie doszły już do wartości 5 i 4 wielbłądów. Dziś ojciec oblubieńca, płacąc najwyższy *kałym*, daje nie 47 klaczy trzechletnich lecz 32 koni dorosłych i 9 wielbłądów; ponieważ wartość jednego wielbłąda równa się wartości 5 koni, przeto najwyższy *kałym* wynosi 77 koni i nazywa się *dżaksyły-krk-dżety*. Często jednak przekracza tę granicę i wynosi np. u bogatych 100 wielbłądów czyli 500 koni. Najniższym *kałymem* dziś jest *on-dżety* czyli 17 koni, ale często zdarza się, że u biednych spada do 2 koni. Wartość *kałymu* to chluba Kirgizów, przeto obie strony starają się go określić jak najwyżej. Odrabianie *kałymu* nie zdarza się wcale; trafia się jednak, że oblubieniec ubogi przyłącza swe stado do stad bogatego Kirgiza.

Po formalnych oświadczeniach ojciec oblubienicy ze swymi swatami stosownie do warunków umowy jedzie do aułu oblubieńca po *kałym*. W czasie tych odwiedzin zachowują się te wszystkie ceremonie i obrzędy, które odbywają się przy nawiedzaniu aułu oblubienicy przez swatów oblubieńca; różnicę stanowi to, że w czasie uczyty nie podaje się *kujriuk baur*; oprócz tego swaty oblubienicy otrzymują podarki tańsze, mniej warte niż swaty oblubieńca. *Kałym* wypłacają publicznie w końcu uroczystości... stosownie do umowy bądź w całości bądź częściowo, w każdym razie uroczystości owe nie powtarzają się, gdy swaty przyjeżdżają po częściowe wypłaty *kałymu*. Składają się nań nie tylko rodzice oblubieńca, ale i jego ród tudzież swaty; udział ostatnich tym jest większy, im cenniejsze są podarki otrzymane od ojca oblubienicy.

Znaczenie swatostwa u Kirgizów jest bardzo wielkie; raz zawarta umowa musi być koniecznie dotrzymana, to uważa się za święte. Wedle prawa zwyczajowego dwa tylko powody unieważniają ją: nieuleczalna choroba lub kalectwo oblubieńca czy oblubienicy, ukryte przed drugą stroną oraz oszustwo oblubieńca, np. jeżeli będąc biednym wydał siebie za bogatego.

Do tych dwóch powodów w czasach ostatnich dołączono trzeci: można zerwać umowę, jeżeli oblubienica jest o sześć lat starszą od oblubieńca. Zdarza się to wówczas, gdy dziewczyna po śmierci pierwszego oblubieńca ma poślubić jego brata młodszego, albowiem nawet śmierć nie prowadzi do zerwania umowy. Jeżeli oblubieniec zmarł, to oblubienica musi poślubić jego brata niezona-

go lub najbliższego krewniaka w liniach bocznych: *aga ulse-dżenga muras*; *at ulse-sauri muras*, tj. jeśli umrze brat, to bratowa – dziedzictwo, jeśli zdechnie koń, to skóra – dziedzictwo – mówi przysłowie kirgiskie.

W razie śmierci oblubienicy jej miejsce zastępuje siostra młodsza lub krewniaczka. Jeżeli siostry zmarłej są małe, a oblubieniec ma braci w wieku odpowiednim, to jedna z nich poślubia jednego z braci oblubieńca. *Kałym* zwraca się tylko wówczas, jeżeli nie ma kogo dać za żonę w zamian zmarłej. Na wolę osób mających wstąpić w związki małżeńskie nie zwraca się najmniejszej uwagi. Jeżeli dziewczyna nie chciała poślubić mężczyzny, który ją kupił, to bez najmniejszej ceremonii zmuszano ją gwałtem. Dziś stan rzeczy nieco się zmienił, mimo to jednak matka w razach podobnych nie szczędzi wcale swej córce chłosty... Zresztą przymus fizyczny powoli ustępuje miejsca systemowi kar pieniężnych i wynagradzania cywilnego. Jedynym wyjściem jest ucieczka, ciężkie przestępstwo wedle prawa zwyczajowego. W ogólności tylko ojciec może rozpocząć sprawę o porwaniu córki; sprawy podobne zawsze wywołują walkę rodową wraz z nieskończonymi najazdami, grabieżami, procesami itd.

Kałym już wypłacono bądź w całości, bądź w większej części, ale obrzęd weselny następuje nie zaraz: rodzicom narzeczonej daje się znaczny przeciąg czasu na sporządzenie córce wyprawy – *dżasan*. W tym czasie oblubieniec może odwiedzać oblubienicę; te odwiedziny niby są potajemne, chociaż w rzeczywistości odbywają się jawnie. Pierwsze z nich – *urun kielu* – ma największe znaczenie i oryginalną stronę obrzędową. Jadąc pierwszy raz do oblubienicy, oblubieniec zabiera cały orszak, który składa się z Kirgiza leciwego a szanowanego – *otagosy* oraz najrzęczniejszych jeźdźców. Cała ta gromada zatrzymuje się w aule najbliższym i zawiadamia rodziców oblubienicy o swoim przybyciu, wyczekując zaproszenia. W aule oblubienicy budują jurty dlań, ale w znacznej odległości od innych; swachny zaś konno spieszą zaprosić oblubieńca; ta która pierwsza zawiadomi go otrzymuje znaczny podarek zwany *czaup-kielidy*. Po czym wszyscy jadą do aulu i zatrzymują się przy jurcie, wystawionej dla oblubieńca a otoczonej przez kobiety, które wyczekują podarków – *czatyr-najgozy*.

Oblubieniec wszedłszy do jurty natychmiast posyła matce, babce i siostrą oblubienicy podarki zwane *ilu*. Składają się one z wielbłądów, jambów, materii jedwabnych itp. Najdroższy podarek otrzymuje matka, potem babka itd. W ogóle wartość podarków maleje z oddaleniem stopnia pokrewieństwa. Oprócz *ilu* oblubieniec posyła jeszcze trzy rodzaje podarków: *kade*, *ujge-krer* oraz *dżartys*: pierwsze żonom braci i stryjów oblubienicy, drugie – samej oblubienicy, a trzecie – jej innym krewnym. Podarki te odgrywają rolę tak poważną, że wedle kirgiskiego przysłowia małżeństwo może być zawartym raczej bez *kałymu*, niż bez nich; oprócz tych podarków istnieje masa innych, acz bardzo drobnych. W orszaku oblubieńca zawsze jest jedna osoba – *kjen-dżygit*, która zawiaduje ich rozdawaniem; tylko *dżartys* matka oblubienicy rozdaje wedle własnego uznania.

Po przyjęciu podarków rozpoczyna się uczta – *toj*, która trwa cały dzień; oblubienica ucieka od rodziców i kryje się w najbliższym aule u krewnych. Wieczorem w owym aule urządza się ucztę z udziałem swach, jej przyjaciółek i przybyłych orszaku, ale bez oblubieńca. W tym czasie matka panny posyła gospodyni aulu, w którym przebywa jej córka, podarek zwany *kыр-kazar*; przynosi go oblubieniec w tym celu, by ją uwolniono. Rzeczywiście przed świtem gospodyni aulu stara się oddać oblubienicę swachnom, ale przyjaciółki nie wydają.

Rozpoczyna się walka zwana *tartys* (tj. przeciągać się). Nareszcie przyjaciółki otrzymują podarek – *alym* i wydają oblubienicę, która w ich towarzystwie wraca do jurty rodzicielskiej. Jedna spośród nich zawiadamia o tym oblubienca, podprowadza go do jurty, w której znajduje się oblubienica i przez kratki drewniane (na nich rozciąga się wołok namiotu) łączy ich dłonie,⁴ za co dostaje podarek. Oblubieniec natychmiast wraca do swojej jurty; w aule zabawa zaś trwa aż do dnia. Następny dzień upływa spokojnie; oblubieniec nie opuszcza ani krok namiotu, dokąd swachny przynoszą mu strawę i traktamenty.

Wieczorem w jurcie rodziców oblubienicy, z której się gospodarz wydał, swachny ścielą pościel dla oblubienca i w wielkiej tajemnicy przyprowadzają go, za co znowu dostają od niego podarek *tiusen-salar* (tj. posłać pościel). Oblubienca, gdy wchodzi do jurty, matka oblubienicy obsypuje *urinkiem* (suszone morele i brzoskwinie), *kiszmyszem* (winogrona suszone), orzechami i piernikami, które obecni zbierają; tu zwykle powstaje hałas wielki, śmiech itd.; zwyczaj ten zowie się *czaszu* (sypać). Potem wprowadzają oblubienicę; wszyscy opuszczają jurte i młodzi pozostają sam na sam aż do powrotu rodziców, którzy udają, że nic nie wiedzą. W ten sposób formalnie zachowuje się tajemniczość *urun-kielu*. Uprzednio oblubienica wchodząc do jurty, w której ją oczekiwał oblubieniec, wylewała na żarzące się węgle filiżankę masła roztopionego; obecni kłaniali się nisko a potem przeskakiwali przez płomień, powtarzając: *ot-ana, maj-ana, dżaryłga*, tj. matki nasze ogień i masło, błogosławcie! Zatem odbywała się bardzo złożona ceremonia układania do snu oblubienicy i oblubienca; dziś ona została zaniechana stanowczo, ale pozostał ślad słaby, tj. obowiązek złożenia podarku swachnom, zwanego *kysz-kuszakta*.⁵

Takie wizyty oblubienca trwają kilka dni, przerywane ucztami, wyścigami itd. Przed objazdem ojciec oblubienicy daje orszakowi zięcia podarki – *kyit*, do worków zaś, w których oblubieniec przywiózł podarki, wkładają dary zwane *kapkasalat* (położyć do worka), albo też zwracają niekiedy część wypłaconego *kałymu*. Oblubieniec może odwiedzać aul oblubienicy choć kilka razy... – aż do wesela, które następuje niekiedy bardzo nieprędko, przy każdych odwiedzinach wyżej wspomniane ceremonie i obrzędy przestrzegane są pilnie.

Jeśli zmarł oblubieniec to rodzice oblubienicy przywożą ją do aulu zmarłego i pozostawiają tam na rok, by w żałobie oplakiwała swoją stratę; potem poślubia ona brata zmarłego lub jego krewniaka. Jej rodzice składają rodzicom zmarłego podarki pocieszające – *aza*. Jeżeli zmarła oblubienica to oblubieniec poślubia jej siostrę lub krewniaczkę, dopłacając do *kałymu* z 47 koni 4-5 wielbłądów lub do *kałymu* z 27 koni – wielbłąda i konia; gdy zmarła nie miała ani siostry, ani krewniaczki, którą można by było poślubić, zwraca się połowę wypłaconego *kałymu*.

Okres czasu od zawarcia umowy przedślubnej naznacza się na przygotowanie wyprawy – *dżasan*. W teorii Kirgizka nie ma najmniejszego prawa do *kałymu*, ale faktycznie jej część otrzymuje ona w formie wyprawy; bogaci dają zwykle znacznie więcej niżli otrzymali za córkę, biedni – mniej. Wyprawa składa się wyłącznie z rzeczy użytecznych: odzienia, dywanów, statków gospodarskich itp.; do tego zawsze dodaje się wierzchowca i wielbłąda. Wedle starego

⁴ Zwyczaj ten nazywa się *kalus-tatar*, tj. uściśnięcie ręki.

⁵ Tj. objęcie dziewicy.

zwyczaju każdą rzecz dawano w dziewięciu sztukach; dziś ten zwyczaj prawie został zaniechany. Tu warto nadmienić, że zwyczaj określa pewną normę wyprawy, Kirgizi nazywają ją naborem. Z tych rzeczy użytkowych ważne znaczenie posiadają tylko *dżelek* i *sankiele*. *Dżelek* – to narzutka z materii czerwonej, którą nosi nowo zaślubiona w ciągu roku, *sankiele* – to wysoki stożek ścięty w wołłoku, z obu stron oklejony suknem czerwonym lub aksamitem a bogato haftowany złotem i srebrem, ozdobiony koralami, perłami i drogimi kamieniami, do którego przypięte są na zewnątrz pióra strusie oraz sznury monet złotych i pereł, sięgające aż za kolana. Jest to strój nader kosztowny a niezgrabny i brzydki; dziś powoli zaprzestają go używać... nawet bogaci. *Sankiele* stanowi wyłączną własność kobiety.

Termin wesela wyznacza ojciec oblubienicy, które odbywa się w każdej porze roku. Wprawdzie duchowieństwo mahometańskie zakazuje odprawiać wesela w miesiącu *Safar-ajt*, który uchodzi za nieszczęśliwy oraz w czasie postu *urazy*, ale na to zwracają mało uwagi. Wesele odbywa się w aule oblubienicy, dokąd przyjeżdżają oblubieniec z orszakami, który składa się z jednego Kirgiza leciwego a szanowanego – *otangasy* i towarzyszy pana młodego – *kien-dżygitow*. Podarki, które on przywozi teraz różnią się od uprzednio przywożonych nie tylko nazwą, ale i wartością. Oprócz podarków zwanych *dżartys* i *kade*, oblubieniec winien złożyć matce oblubienicy *sind-aky*, tj. dar za wykarwienie jej piersią; winien też przywieźć wołłok na pokrycie jurty nowo zaślubionych – *otan*, oraz przypędzić bydło, niezbędne dla uczty – *toj mał*. Dary owe troskliwie oceniają się.

Potem następuje budowa jurty dla nowo zaślubionych; jej części drewniane daje ojciec oblubienicy a pokrycie zewnętrzne sporządza się z wołłoków przywiezionych przez oblubieńca. Kobiecie, która pokryła jurte dają barana – *otan-dżabar*. Gdy już jurta jest gotowa wówczas szanowane krewne oblubienicy zapraszają do niej oblubieńca, który dotąd mieszkał w jurcie wystawionej dlań przez rodziców oblubienicy. Zaraz też swachny przyprowadzają doń oblubienicę, za co otrzymują podarek – *džen-getaj*. Mówiąc nawiasem kobiety, które zapraszają do jurty oblubieńca oraz przyprowadzają doń oblubienicę, winny posiadać bardzo liczne potomstwo. Gdy ta wejdzie do jurty oblubieniec winien położyć ją na pościel w obecności swach – *kyr kutierek*, ale może on wykupić się od tego obowiązku składając im dary nieznaczne. Zwyczaj ten daje nazwę pierwszej nocy, spędzonej razem przez młodych za pozwoleniem teścia; noc ta nazywa się *otanga-salar*, tj. położenie jej na wznak. Swachny otrzymawszy dary opuszczają młodych, którzy pozostają sami jedni.

Nazajutrz *otagasy* udaje się do ojca oblubienicy i prosi go o wyznaczenie dnia uwolnienia córki do aulu jej męża przyszłego. W wigilię dnia tego rzną bydło, przypędzone przez oblubieńca oraz odbywają wyścigi z nagrodami, które wyznacza ojciec oblubienicy.

Gdy mężczyźni udadzą się na wyścigi, wówczas kobiety uzbrajają się w *su-july* (maczugi), *ajbałty* i wszelką broń, która się znajdzie i wyczekują ich ukończenia. Młodzież wracająca z wyścigów otacza konno jurte państwa młodych – *ataul* i stara się zerwać z niej *tiundiuki*, tj. wołłoki pokrywające. Kobiety wybiegają z jurty, bronią ją, biją napastników, a jeżeli złowią jednego z nich, to wciągają do wewnątrz jako jeńca; często nie obchodzi się i bez kalectwa. Gdy wszyscy się zmęczą, gdy kobiety stracą nadzieję obronienia jurty, wówczas zaczynają błagać napastni-

ków i starają się przeciągnąć ich na stronę darami. Teraz rozpoczyna się śpiew, kobiety i część młodzieży, zostająca w jurcie, zaczyna pieśń monotonna, smutną, której każda zwrotka kończy się słowami: *džaar-džar!* Słowa i melodia improwizują się, ale treść pozostaje zawsze jednakową: wychwala ona oblubienca i oblubienicę oraz pociesza ostatnią z powodu bliskiej chwili opuszczenia aułu rodzicielskiego.

W tym czasie oblubienica siedzi sama jedna w jurcie i słucha śpiewu, dopóki jej się nie sprzykrzy; by ten zamilkł musi złożyć podarki śpiewakom i śpiewaczkom. Wieczorem zapraszają oblubienca. Zjawia się on ze swymi śpiewakami; mężczyźni i kobieta siadają parami i znów zaczyna się śpiew chóralny. Chór męski wychwala kobiety, kobiety zaś mężczyzn; każdy chór po kolei śpiewa po strofie, improwizowanej na poczekaniu. Powoli pochwały ustępują miejsca naganom; o świcie już oba chóry wymyślają wzajemnie. Chór, który okaże się zdolniejszym w wymyślaniu składa stronie przeciwnej podarki drobne. Zwyczaj ten nazywa się *kulmende*, tj. moja wina. Tak upływa cała noc, w czasie której oblubieniec i oblubienica nie śpią wcale. Po ukończeniu śpiewów młodzież zbiera się w jurcie pp. młodych, je baraninę, pije kumys, a kręgi baranie oddaje oblubieńcowi, który przywiązawszy do nich chustkę, rzuca do otworu jurty; jeżeli chybi, to chustka należy do kobiet. Nazajutrz swachy zbierają się od samego rana w jurcie pp. młodych, ubierają oblubienicę w najlepszą odzież, sadzają na wierzchowca, którego prowadzą za uzdę do jurty jej rodziców; tam żegna się ona z nimi po raz pierwszy.

Po jej wyjściu ojciec pokazuje wyprawę zięciowi i swatom; potem rachują, opakowują i zaraz nią juczają wielbłądy. Wówczas oblubienica po raz drugi żegna rodziców, płacząc; ojciec – wedle zwyczaju – pyta ją, czy nie pozostawiła w aule rodzicielskim jakiejś bądź rzeczy ulubionej. Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, to rzecz tę zawsze oddaje się córce.

Teraz dopiero następuje chwila spełnienia aktu religijnego. Państwo młodzi, oddzieleni osobnymi zasłonami, stoją w jurcie rodziców oblubienicy przed nimi i świadkami (po 2 z każdej strony). Zasłona oblubienca podnosi się na chwilę i spuszcza się znowu; wnet to samo robi się z zasłoną oblubienicy. Duchowny mahometański albo osoba zastępująca go odmawia modlitwę i pyta młodych, czy pragną oni wstąpić w związki małżeńskie? Odpowiedź nie jest konieczną, bo milczenie uznaje się za znak zgody; jeśli daje się ona jednak, to winna być wyrażona w czasie przeszłym np. „pragnęłam”. Dawniej w czasie ślubu stawiano naczynie metalowe pełne wody, do którego obecni rzucali srebro, perły i korale, a potem pili ją; naczynie wraz z kosztownościami przechodziło na własność duchownego. Dziś ten zwyczaj prawie został zaniechany.

Po ukończeniu ślubu ojciec zwraca się do swej córki i mówi: *bałam džeman hołma atanga nalet kielteresin*, tj. żyj tak, żeby mię nie przeklinano. Zięciowi zaś powiada: *bałam chorłama kyzynde, atagynde kielteresin*, tj. nie znieważaj żony, tym zgubisz moją sławę. Są to formułki religijne.

Zaraz po ślubie panna młoda udaje się do swojej jurty i tam nakłada strój kobiety zameżnej: *džanluk* – biały ubiór na głowę, *ekczin* – przepaskę na czoło, *sankiele* oraz *dželek* – lekką narzutkę; potem konno w towarzystwie matki jedzie do aułu męzowskiego, przeprowadzana czas niejakiś przez przyjaciółki. Po jej wyjeździe pan młody udaje się do jurty teścia, żegna się z nim a potem dopędza żonę, z którą razem wraca do domu.

Na spotkanie orszaku weselnego wyjeżdżają konno krewniaczki pana młodego, zatrzymują wielbłądy panny młodej oraz nie puszczają ich do aulu, dopóki nie otrzymają wykupu zwanego *tine marunduk* (tj. powód wielbłądzi). Państwa młodych spotykają chóry śpiewaków i śpiewaczek, w ich towarzystwie udają się oni do jurty ojca pana młodego. Przy wejściu panna młoda kłania się im nisko i wówczas jeden ze śpiewaków laseczką podejmuje zasłonę, zakrywając jej twarz, którą ona natychmiast opuszcza. Ojciec pana młodego daje swej synowej podarek – *kuriumdyk*; cały ten obrzęd zowie się *kietyl kuriumdyk*. Upřednio panna młoda padała przed świekrem na kolana, lecz dziś zwyczaj ten pod wpływem mahometaństwa znikł doszczętnie. Po ukończeniu oględzin panny młodej rozpoczyna się uczta trwająca aż po północy; po jej ukończeniu matka panny młodej wraca do swego aulu i wówczas ojciec pana młodego składa jej podarki – *kyit* dla niej osobiście, swata i jego krewnych.

Przechodzę do skreślenia słów parę o zwyczajach, dziś na pół zapomnianych a pozostających w ścisłym związku z obrzędami weselnymi. Zwyczaj *dżenge*, o którym niżej, zachował się dotąd, acz w formie zmienionej. Dawniej wyrażał się on tak w pierwszą noc poślubną, którą młodzi spędzali razem, na pościel ich kładziono kawałek białej materii jedwabnej – *nekle dżemtyk*. Naza-jutrz, gdy młodzi opuścili jurtę wchodziły swachny, zabierały kawałek materii białej i oddawały matce panny młodej, która obdarzała ich !/; tymczasem ogłaszano w całym aule, że panna młoda okazała się cnotliwą. Jeżeli zaś stradała swój wianek w czasie *urum kielu*, to pan młody winien był powiedzieć o tym swachom, które powtarzały jego słowa matce i aulowi całemu. Wówczas przyjaciółki panny młodej napadały na pana młodego, który musiał wykupić się, składając pewne podarki.

Jeżeli panna młoda nie zachowała czystości dziewiczej, to narzeczony mówił o tym swachom, które zawiadamiły jej matkę o tym nieszczęściu, córce zaś w jej imieniu oświadczały, że swym postępowaniem sprawiła matce dużo przykrości oraz „zrobiła twarz czarną”. Zatem swachy wyszukiwały winowajcę i sprawa kończyła się w sądzie *bijów*, który skazywał winnego na odszkodowanie dla męża. Oprócz tego ojciec panny młodej bił swoją żonę za brak dozoru nad córką. Jeżeli okazało się, że sami rodzice byli winni, np. jeżeli sprzedali swoją córkę na kilka dni, to pan młody mógł zażądać jej siostry młodszej lub zwrotu *kałymu*. Zwyczaje zachowane w tych wypadkach zwały się *katym czekty*, tj. babą za męża wyszłą. Dziś zwykle, gdy pan młody znajdzie pannę młodą pozbawioną wianka, ma prawo zażądać zwrotu *kałymu*, ale jej winę musi udowodnić zeznaniami świadków. Praktykuje się to tylko wśród bogatych, biedni zaś są zadowoleni, gdy im uda się uzyskać odszkodowanie.

Trzeba podkreślić, że w okresie swatostwa rodzice obu stron nie mają pomiędzy sobą żadnych stosunków bezpośrednich: oblubieniec nie towarzyszy swatom, potem zaś wprawdzie zwiedza aul oblubienicy, ale te odwiedziny są uważane za potajemne, o których teść nie powinien wiedzieć. Zięć po raz pierwszy spotyka teścia w chwili odjazdu, przy pożegnaniu, gdy już panna młoda wyjechała do aulu mężowskiego. Państwo młodzi dopiero po upływie trzech lat mogą zwiedzić aul rodziców żony. Wprawdzie Kirgizi patrzą pobłażliwie, gdy córka odwiedza matkę, ale spotkanie się zięcia z teściową przed tym terminem uważa się za czyn surowo potępiany. Względem świekra wymogi te są znacznie surowsze: w ogóle nie powinien on ani znać ani widzieć swej synowej.

Dzieci spłodzone przez oblubieńców w okresie swatostwa uznaje się za nieprawne, chociaż należą do rodu i rodziny swego ojca oraz korzystają ze wszystkich praw dzieci legalnych. To samo stosuje się do dzieci zrodzonych ze związków miłosnych wdowy z bratem jej męża nieboszczyka tudzież służącej z jej panem. Podobne stosunki miłosne etyka kirgiska uznaje za dozwolone, natomiast inne potępia surowo. Dzieci, zrodzone z nich, należą do rodu matki, który atoli zawsze pogardza nimi. Uprzednio dziewczęta brzemiennie karano śmiercią razem z ich kochankami, dziś zaś – ostatni płacą grzywny sowite, a pierwsze – tracą swe warkoczki i są uznawane niemal za nierządnicę. W tym tkwi powód do spędzenia płodu, tak szeroko rozpowszechniony wśród dziewcząt kirgiskich, a tłumaczącego się lekkością ich obyczajów; są nawet w stepach specjalistki osobne. Ani prawo karne zwyczajowe, ani etyka kirgiska nie potępiają tego zwyczaju.⁶

*

Honorata Jaśkiewicz – *Była mroźna zima*

W roku 1988 dwumiesięcznik naukowo-literacki „Literatura Ludowa” oraz Polskie Towarzystwo Ludoznawcze ogłosiły konkurs na wspomnienia Polaków z pobytu na Syberii, w Kazachstanie i w innych rejonach Związku Radzieckiego, w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Napłynęło wówczas wiele prac, które dały początek pocytniej serii „Biblioteka Zesłańca”, założonej i redagowanej przez prof. Antoniego Kuczyńskiego, wyróżnionej na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia prestiżową nagrodą Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Publikowany tu tekst wspomnień nadesłany został na ten konkurs i pierwotnie wydrukowany był w „Literaturze Ludowej” (1991, nr 1-6). Jego autorka po powrocie z zesłania i odnalezieniu się z ojcem osiadła w małym gospodarstwie rolnym pod Głogowem. Pracowała początkowo jako wychowawczyni w przedszkolu, później jako sekretarka w sądzie i kurator sądowy w Głogowie.

*

Urodziłam się 13. IX. 1930 r. w Brzezynie, woj. Stanisławów, i tam do dziesiątego roku życia upłynęło moje dzieciństwo. Rodzice – Kazimierz i Katarzyna Stefanowie – zajmowali się gospodarstwem rolnym. Mama w posagu otrzymała 3 ha lasu, kupionego z parcelacji. Ojciec także posiadał 1 ha ziemi. Część lasu wykarczowali, uzyskując w ten sposób ziemię uprawną. Rodzice pobudowali dom i posadzili drzewka owocowe, mieliśmy także zabudowania gospodarcze. Dom, jak na owe czasy, był nowoczesny: kryty blachą, z dużymi oknami i drewnianą podłogą.

W czasie budowy domu ojciec podjął dodatkową pracę. Latem zatrudniony był w mieście Stanisławowie, a zimą pracował przy zwózce drewna. Mama wtedy zajmowała się domem i uprawą ziemi. Rodzice pracowali ciężko. Zapożyczyli się, a budowa domu ciągle pochłaniała ogromną sumę pieniędzy. W czasie żniw pracowali nawet nocą, mając nadzieję na lepsze jutro.

Byłyśmy dwie: siostra Karolina i ja. W Brzezynie nie było szkoły, a my powinnyśmy rozpocząć naukę. Wtedy mój ojciec, a także inni rodzice podjęli stara-

⁶ Podstawa relacji: J. Witort, *Ze stepów Azji Środkowej*, „Lud”, 1899, t. 5, s. 2-20.

nia o otwarcie szkoły. Izbę na zajęcia lekcyjne w swoim domu przeznaczyła moja ciotka. Mieszkanie dla nauczyciela zaś przygotowali moi rodzice w naszym domu. Zorganizowano przedstawienie, z którego dochód przeznaczono na zakup sprzętów szkolnych. Odkryło się ono w stodole, a aktorami byli nasi rodzice i młodzież. Uczestniczyli w nim wszyscy mieszkańcy wsi, a uzyskany dochód był duży. Dzięki licznym staraniom mieszkańców Brzeziny przyjechał inspektor szkolny, który po zapoznaniu się z zaistniałą sytuacją wydał zezwolenie na otwarcie szkoły. 1 września 1936 r. czteroklasowa szkoła w Brzezynie rozpoczęła swoją działalność, w lecie natomiast na jej terenie organizowano półkolonie letnie dla dzieci. Dzieciństwo nasze było spokojne, pełne radości i miłości rodziców, a także poczucia bezpieczeństwa.

Rok 1939. Ojciec otrzymał kartę mobilizacyjną. Odjechał na front. Zapanaowała pustka i smutek. Bombardowanie: samoloty niemieckie przelatywały nisko nad domami, niosąc grozę i strach. Uciekałyśmy wtedy do lasu. Mama zostawiła światło, wypuściła bydło i spuściła z łańcucha psa. Nie spałam, kiedy weszła i powiedziała, że musimy iść, zachowywałyśmy się cicho i spokojnie idąc przez kartoflisko do lasu. Mama się śpieszyła, zaczęłam o łęty ziemniaczane i przewróciłam się, ale kiedy wstałam, mama z siostrą były już w lesie, wróciła jednak po mnie. W lesie schowała nas w stosie gałęzi, nakazując spokój, powiedziała, że niebawem wróci. Schowane pod gałęziami słyszałyśmy odgłosy przelatujących pocisków i widziałyśmy jaśniejące łuny pożarów. Dochodziły do nas ludzkie krzyki. To paliły się domostwa w sąsiedniej wsi. Tego spustoszenia dokonali Ukraińcy, wyrывая ze snu mieszkańców próbujących uciec., tych, którym to się nie udało, czekał okrutny los, łapano ich i zadawano w przerażający sposób śmierć: kobietom odrzynano piersi, niemowlęta wbijano na pale, wydłubywano oczy. Taki sam los mógł spotkać nas. Za co? Zaczęło świtać, ucichła strzelanina. Mama wróciła i wyciągnęła nas spod gałęzi zupełnie przerażone i zeszywniałe z zimna. Rano wkroczyli Rosjanie. Za kilka dni z wojny wrócił ojciec. W domu zapanowała radość. Rodzice, mimo że byliśmy w niewoli, pracowali, aby móc żyć i przetrwać. Ja z siostrą zaczęłyśmy znowu chodzić do szkoły.

Był już luty 1940 roku. Zima wyjątkowo mroźna. Śnieg zasypał drogi, do szkoły ojciec dowoził nas saniami i po lekcjach przyjeżdżał po nas. W domu w piecach paliło się przez cały dzień. 10 lutego – jak zwykle udałyśmy się na spacer. Obudził nas krzyk i stukanie do drzwi. „Odkrywaj, odkrywaj, bystrej!” Potem łomotanie i ten sam krzyk „odkrywaj!, odkrywaj!” Obudzili domowników. Ojciec zaświeceł lampę, a potem otworzył drzwi. Weszło dwóch żołnierzy sowieckich uzbrojonych w długie karabiny, krzycząc do ojca „ruki wierch”! Podeszli również do matki. Kazali stanąć jej obok ojca. Potem dokonali rewizji. Szukali wszędzie, w pościeli, szafach, nawet w pudełku z niemi. Trwało to długo. W czasie rewizji rodzice stali w bieliźnie i nie wolno im się było poruszać. Następnie odczytano rozkaz przesiedlenia i kazali nam się zbierać. Rodzice protestowali, wtedy grozili karabinami. Nie zgodzili się na opuszczenie pomieszczenia, w którym byliśmy. Nie pozwolili zabrać żadnego dobytku, oprócz paru rzeczy osobistych. Nie pozwolili również przygotować śniadania ani zabrać żywności na drogę. Potem popychając nas karabinami, kazali wychodzić. Wyszliśmy z domu wśród ciemnej, mroźnej nocy. Poganiali nas uzbrojeni żołnierze. Na dworze stały już sanie zaprzężone w parę koni. Był wiatr, zawiąło śniegiem, szczypało w policzki i znowu zaczął padać śnieg. Wepchnięto nas do san. Ojciec okrył nam nogi

sianem i woźnica ruszył. Zaskrzybiał śnieg; pies zaszczekał a potem wył. Wyjeżdżaliśmy z domu, a za nami eskorta.

Na głównej drodze, prowadzącej do stacji kolejowej, stał już rząd sań z wysiedleńcami. Dołączyliśmy do nich. Czekaliśmy do rana, marznąc na otwartym polu. Na stacji kolejowej załadowano nas w wagony towarowe. Było bardzo ciasno, wstawiono żelazny, okrągły piecyk i zaryglowano od zewnątrz drzwi. Tak staliśmy do wieczora. Nie mieliśmy żywności ani wody, tego nie pozwolono nam zabrać. Obsługa transportu nie dała nam jeść, a do wagonów nie wolno było zbliżać się ludziom z zewnątrz. Któryś z współtowarzyszy wyjął chleb, połamał i podzielił. Dzieci z pragnienia lizały szron ze ścian wagonu. Wieczorem transport ruszył. Nikt nikogo nie żegnał, nikt głośno nie płakał. Płacz i krzyk protestu pozostały w nas. Straciliśmy wiele, ale została godność osobista.

Pociąg nabierał rozpędu. Pędził i pędził z nieznaną, stukając kołami. Było ciemno, czasem tylko może światełko wydobywało się z rozpalonego piecyka. Mieliśmy piętrowe prycze. Siedzieliśmy jedni obok drugich w ciemności, bo nawet małe okienka, które były w wagonie, zabito deskami. Ułożyliśmy się do snu na swoich tobołkach. Zasnęłam, kiedy nagle pociąg gwałtownie zaczął szarpać, manewrować. Z palącego się piecyka wypadła rura. Iskry rozsypały się po pryczy i powstał pożar szybko się rozprzestrzeniający, słychać było przeraźliwe krzyki i płacz dzieci. Nie było czym gasić, nie było wody, zaistniało nawet zagrożenie życia. W tej samej chwili ktoś własnym ciałem rzucił się na płomień, dołączyli inni, zaczęto gasić pożar kocami i własną odzieżą. Po jego ugaszeniu pozostał czad długo jeszcze utrzymujący się w powietrzu. Nie spaliśmy tej nocy z udręczenia i pełni obawy, że sytuacja taka mogłaby się powtórzyć. Przykrą dla nas sprawą było załatwianie potrzeb biologicznych. Na środku wagonu wycięto otwór w podłodze, niczym nie osłonięty, służący wszystkim potrzebującym. Trzeciego dnia naszej podróży z wielkim hukiem rozryglowano drzwi wagonu. Żołnierze przynieśli chleb, zupę w wiadrach i „kapiatok”. I tak było codziennie aż do końca drogi. Posiłek dawano nam raz dziennie. W trakcie podróży trwającej miesiąc przeładowano nas do innych towarowych wagonów.

1 III 1940 r. transport dotarł do stacji docelowej. Dano nam kufajki, walonki, watowane spodnie i czapki uszatki. Dalszą drogę przebyliśmy ciężarówkami przykrytymi plandeką. Jechaliśmy cały dzień przez zaśnieżony step. Temperatura powietrza była bardzo niska, wiał wiatr tworząc zaspy. Nie mogliśmy znieść tak strasznej zimna, ludzie płakali. Moja ciotka Maria miała trzymiesięczne dziecko, które karmiła piersią, a pieluszki suszyła własnym ciałem. Nie przetrwało tej podróży, zmarło na jej rękach. Rozpacz matki, trzymającej nieżywe dziecko, które nie mogło się obronić przed śmiercią, a ona też nie mogła mu pomóc, zamknęła się w sobie. Rodzicom została jedynie boleść, smutek i bezsilność wobec bezkarności.

Pod wieczór dotarliśmy do ludzkich osiedli. Były to lepianki, jak się później okazało, zamieszkałe przez Kazachów. Lepianki niskie, ledwie widoczne, przycupnięte na gołym, zamarzniętym stepie, zawiane śniegiem i skute mrozem. Dojechaliśmy na miejsce. Był już późny wieczór. Skostniałych z zimna pasażerów wysadzono z ciężarówki. W drewnianym baraku znalazł się dla nas kąt w ogromnej izbie, w której umieszczono dziesięć rodzin. Takich izb było więcej. Pierwsze noce spędziliśmy na podłodze, potem dano nam drewniane prycze. Pomieszczenie było niedogrzone, ubikacja i woda na dworze. I tak się

zaczęło nasze nowe życie w Dżetygarze w woj. Kustanaj, mieście przemysłowym, bogatym w kopalnie rud metali, złota i hutę. Początkowo żyliśmy z zapomogi. Przeznaczono dla nas sklep spożywczy, w którym można było kupić różne artykuły żywnościowe, ale pieniędzy wystarczało zaledwie na chleb i mleko. Rosjanie prosili nas, aby zrobić im zakupy. Dawali za tę fatygę pieniądze. Nie rozumieliśmy, dlaczego sami tego nie czynią. Sprawa się wyjaśniła, gdy po kilku dniach sklep zamknięto, a nam dano kartki żywnościowe.

Ojca skierowano do ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kopalni. Każdego dnia po pracy należało uczestniczyć w mitingu, wysłuchując odczyty na tematy polityczne. Polacy uchylali się od tego obowiązku – uciekali. Dlatego później czekano na wychodzących koło windy, których siłą zapędzano na salę. W kopalni ojciec pracował krótko. Był wątłego zdrowia, a praca ponad jego siły, dlatego zachorował. Przebywał w szpitalu trzy miesiące. Mama w tym czasie urodziła dziecko – siostrę Emilkę i też nie mogła pracować. Głodowaliśmy.

Jedenastoletnia siostra Karolina, zmuszona trudną sytuacją rodzinną, podjęła pracę u rosyjskich nauczycieli jako opiekunka trzymiesięcznego i dwuletniego dziecka. Na mnie spadł obowiązek robienia zakupów. Po chleb kartkowy chodziło się za miasto aż do osiedli kazachskich, bo dla Polaków wydzielono tam sklep. Szło się przez całe miasto albo na skróty przez rzekę, przez którą wiodła tylko wąska kładka bez poręczy. Zawsze się bałam, że wpadnę do wody. Czasem dzieci bawiące się nad rzeką pomagały mi przechodzić. Zimą rzeka zamrznięta, było niebezpiecznie, bo w czasie wichury wiatr porywał nawet ludzi, zamarzały oczy, a było to daleko od domów i nikt nie usłyszałby wołania o pomoc. Zdarzyło się raz, że burza zastała mnie na rzece. Położyłam się na rzece twarzą w dół i odczekałam aż minie. Przysypał mnie śnieg. Po burzy wyczołgałam się z zasy. Przed sklepem czekało się w kolejce godzinami zanim przywieziono chleb. Często wypychano mnie z kolejki, bo byłam mała i słaba. Mleko kupowało się w ten sam sposób, ale w innym sklepie usytuowanym w centrum miasta. I tak prawie cały dzień spędzałam w kolejkach. Zmęczona wracałam do domu. Poza chlebem i mlekiem nie było w sprzedaży innych artykułów spożywczych. Zdarzało się czasem, przeważnie raz w miesiącu, że sprzedawano na kartki po kilogramie mąki albo cukierki i herbatę. Były stołówki w mieście, gdzie sprzedawano zupę po jednej porcji na osobę.

Ojca po powrocie ze szpitala zatrudniono jako cieślę. Polacy nie mieli możliwości wyboru pracy. Musieli pracować tam, dokąd zostali skierowani, czyli głównie do kopalni. Zmianę pracy mógł zlecić tylko lekarz, który skierował ojca na budowę. Budowali szkołę. Zmieniono nam mieszkanie. By to kąt w baraku w dużej izbie z dala od miasta, zamieszkiwany przez wiele rodzin. Mieszkaliśmy tam krótko. Życie w takim skupisku, jeszcze większym jak poprzednio, było bardziej uciążliwe. Ludzie chodzili do pracy na różne zmiany. W nocy palili światło, małe dzieci budziły się i płakały. Wszyscy byliśmy udęczeni, a w dodatku głodni z powodu niskiego wynagrodzenia za pracę i braku dodatkowego źródła dochodu. Jeżeli któryś ze współlokatorów zdobył pożywienie, chował je i zjadał w ukryciu.

Znaleziono dla naszej rodziny pustą lepiankę za miastem. Rodzice zdecydowali, że się tam przeprowadzą. I zamieszkaliśmy w tej lepiance, chociaż wszędzie było daleko, ale za to panowały dookoła spokój i cisza. Mała Emilka mogła już spać i bezpiecznie się bawić. Początkowo nie mieliśmy żadnych me-

bli, ale ojciec przyniósł deski z budowy i zrobił stół i prycze. Wymurował gliniany piec z paleniskiem, mieszkaliśmy tam we czworo, bo siostra Karolina wciąż pracowała poza domem jako opiekunka do dzieci. W lepiance najczęściej zostawałam ja z siostrą Emilką. Moja mama chodziła po zakupy, zajmowało to jej dużo czasu, droga była daleka, a pokonywała ją pieszo. Ojciec pracował i całe dnie był w domu nieobecny.

Lato zbliżało się ku końcowi. Któregoś dnia zaczął padać deszcz. Trwało to przez trzy dni, wreszcie deszczowa woda zaczęła podmywać lepiankę. Mama wyszła po zakupy do miasta i nie wróciła do domu. Powódź zerwała most na rzece, uniemożliwiając jej powrót. Zostaliśmy rozdzieleni. Rodzice na jednej stronie rzeki, a ja jako dziesięcioletnia opiekunka niemowlęcia, po drugiej. Całą noc przesiedziałam z dzieckiem w pościeli zziębnięta i wystraszona. Rano nakarmiłam małą i znów wtuliłam się w posłanie. Ściany lepianki nasiąkły wodą i kawałki gliny zaczęły opadać, większe, coraz większe. Przerażona chwyciłam dziecko i schowałam się z nim pod stół. I stało się! Ogromny kawał rozmokłej gliny spadł na posłanie, opuszczone przed chwilą przez nas, a potem na stół. Zamarłam w bezruchu. Nie wiedziałam, co mam robić, tuliłam tylko dziecko do siebie i pozostałam pod stołem. Po chwili przestała spadać glina. Koło południa deszcz przestał padać, wróciła mama z ojcem. Na rzece zbudowano prowizoryczny most dla pieszych i dzięki temu mogli wrócić. Rodzice wrócili do domu a domu już nie było.

Pomógł nam kierownik budowy – Rosjanin – również zesłaniec. Przeznaczył dla nas stróżówkę na mieszkanie. Zatrudnił mamę jako nocnego stróża. Pomieszczenie to służyło nam za mieszkanie i za miejsce, gdzie robotnicy budowy spożywali posiłki, a zimą w czasie niskich temperatur za schronienie. Była to jedna izba. Robotnicy, przeważnie Kazachowie, żuli tytoń, plując, gdzie popadło: na podłogę, po ścianach, a nawet w nas. W sąsiedztwie budowy mieścił się urząd NKWD. Oficer z tego urzędu nakłaniał ojca na przyjęcie obywatelstwa rosyjskiego, postępował podobnie w stosunku do innych Polaków. Wszyscy odmówili. Wówczas zaczęły się szykany i aresztowania. Prześladowani uciekali w stęp, ukrywali się w ten sposób, aby uniknąć aresztowania. Ojciec został aresztowany.

Polacy solidaryzowali się ze sobą, zbierali się na rozmowy, mimo, że było to surowo zabronione. Nie tracili nadziei ani ducha polskości. Marzyli o powrocie do kraju, suszyli chleb na drogę i wierzyli, że odzyskają wolność i wrócą do rodzinnych stron. Czasami wieczorami utrudzeni rodzice siadali na ławce, wspominali swój dom, rodzinę, marzyli o powrocie i czekali, kiedy nadejdzie ten dzień. Wtedy i ja, po cichu, marzyłam o tym samym. Widziałam nasz dom osłonięty starym dębem, pod nim stolik, gdzie latem jedliśmy posiłki. W niedzielę przychodziły ciotki, siostry mamy, oraz babunia i tam odpoczywały. Kochałam je bardzo. Kochałam moją babunię, która z każdego odpustu przynosiła piernikowe serca, kolorowe cukierki, a czasem zabawki. Kochałam je za to, że były. Pamiętałam wieczory, zachodzące słońce. Lubiłam opadającą rosę, kopki siana, a także świeży zapach łąk i lasów, mieszający się z zapachem ogródkowej maciejki i nasturcji. Wzdłuż drogi wyjazdowej rząd strojnych białych brzoź, a przed nimi potok z szumiącą wodą były ulubionym miejscem zabaw szczególnie wiosną, kiedy rozkwitały pierwsze kwiaty. Biegłyśmy zrywać

pierwiosnki, zawilce i niebieski barwinek. Brodziłyśmy po wodzie, a potok हुआ i niósł wezbrane wody. Często wieczorami siadywałyśmy z mamą na gan-ku, czekając na powrót ojca, a kiedy słońce schowało się za horyzontem i las pociemniał, leśne echo podawały dęby bukom, buki klonom, aż gubiło się w olszynie nad potokiem. Mieszkaliśmy pod lasem, lubiłam ten las i znałam jego tajemnice. To wszystko nam zabrano, wydarto w brutalny sposób, ograbiono z dzieciństwa, radości życia, uczyniono z nas nędzarzy, morząc głodem. Dlaczego? Tutaj dookoła rozciągał się jak morze bezkresny, goły step z lepiankami, zamieszkały przez naród Kazachów, gdzie mrozy i śniegi utrudniały życie. Dzieci, podobnie jak dorośli, musiały walczyć o przetrwanie.

Nadszedł rok 1941 i wybuchła wojna. Wojska niemieckie uderzyły na ZSRR. W tej sytuacji rząd ZSRR zawarł z rządem polskim w Anglii układ wzajemnej pomocy wojennej podpisany 30 VII 1941 r. w Moskwie. Przywrócono stosunki dyplomatyczne, zaczęto organizować wojsko polskie. Rząd sowiecki zobowiązał się udzielić amnestii Polakom znajdującym się w ZSRR, pozbawionym dotychczas wolności. Ojciec zgłosił się do armii polskiej jako ochotnik. Po otrzymaniu zezwolenia na wyjazd opuściliśmy Dżetygarę 1 IX 1941 roku. Dołączyliśmy do transportu Polaków mającego dotrzeć do Armii gen. Władysława Andersa, a następnie do Anglii. W podróży przebywaliśmy około miesiąca, z dużymi postojami nawet po kilka dni (pobyty na bocznicach). Ludzie wychodzili z wagonów, aby zdobyć pożywienie i wodę. Często zostawali, bo pociąg w tym czasie odjeżdżał. W ten sposób rozłączono wiele rodzin.

Dojechaliśmy do miasta Buzułuk, gdzie część wagonów odczepiono, a reszta pojechała w dalszą drogę. Nas odstawiono na bocznicę, obiecując dostarczyć za kilka dni lokomotywę. Czekaliśmy bezskutecznie. Z peronu kazano nam się wynosić. Nie poszliśmy, bo nie mieliśmy dokąd. Wieczorem podtopiono nas wodą. Nad ranem nasze tobołki pływały. Noce były chłodne. Nie dosyć tego, że ludzie byli głodni, zziębnięci, wyczerpani fizycznie i psychicznie (było nas kilka tysięcy), to jednak zgnębiono nas do reszty tą zimną wodą. O wschodzie słońca opuściliśmy peron, znajdując wzgórek poza miastem, gdzie w słońcu suszyliśmy nasze rzeczy. Byliśmy u kresu sił, obdarci, głodni i zawszawieni. Kilku mężczyzn, między nimi mój ojciec, odszukali polską placówkę w Buzułuku i zwrócili się o pomoc, którą otrzymaliśmy. Przez kilka dni dawano nam jeść, a potem podstawiono wagony, znów jechaliśmy w nieznane. Szerzyły się choroby. Ludzie umierali w wagonach. Ciała ich wyrzucano na wózki kolejowe. Zapamiętałam szczególnie smutny moment. Wyrzucono umarłą kobietę. Ręce jej opadły wzdłuż wózka, a wiatr porывał siwe, długie włosy. Została tam na stacji kolejowej bez pożegnania bliskich, bez jednej czyjejs łzy na ostatnią drogę.

Po dwóch czy trzech tygodniach dojechaliśmy do jakiejś stacji i kazano nam wysiadać. Podstawiono drabiniaste wozy zaprzężone w woły, którymi przemierzaliśmy rozległy step. Nie było żadnych zabudowań, drzew ani wody. Koła grzęzły i skrzypiały na piaszczystej drodze. Tak przejechaliśmy pół dnia, po południu zaczął padać deszcz i padał do wieczora. Byliśmy chorzy, brakowało nam sił, aby iść, więc leżeliśmy na wozie, moknąc. Przemokliśmy zupełnie, nasze rzeczy także. Pod wieczór dojechaliśmy do osiedli. Umieszczono nas w szkole, dano posiłek i wysuszono odzież. Tam spędziliśmy noc. Następnego dnia udaliśmy się w dalszą drogę tymi samymi wozami. Na miejsce dojechali-

śmy następnego dnia. Był to kołchoz. Dookoła pola uprawne z resztką nie zebranej kukurydzy, drzewa owocowe dotąd niespotykane, pola bawełny, dużo kanałów napełnionych wodą, słońce, ciepło i resztki ziemi. Przyszedł jakiś mężczyzna Kazach czy Uzbek żujący tabakę i wskazał nam mieszkanie. Była to kurna chata, nie mająca okien, lecz dwoje szerokich drzwi na wylot i otwór w suficie. Na środku izby palenisko, ściany czarne, odymione. Przyszły kobiety, przyniosły placki (podpłomyki) i suszone owoce. Mama była chora, ale następnego dnia wszyscy poszliśmy do pracy przy zbiorze bawełny.

Zaczęliśmy doprowadzać do porządku nasz nowy dom. Ojciec wybielił ściany, zrobił okno, zamurował dziurę w suficie i postawił gliniany piec. Żywność otrzymaliśmy za kilka dni, odpoczęliśmy wreszcie od tułaczek, podróży w wagonach, doprowadziliśmy do porządku resztki naszej garderoby. Po upływie trzech czy czterech tygodni znowu kazano nam się zbierać, bo teraz pojedziemy do Polski. Zaczęła się kolejna podróż i kolejna tułaczka pociągiem. Na początku grudnia wysadzono nas na jakiejś stacji kolejowej i tam na peronie przesiadaliśmy dwie doby. Było bardzo dużo ludzi, niektórzy zawszawieni błakali się bez celu i jakiegokolwiek nadziei, doprowadzeni do rozpaczki.

Byliśmy chorzy. Wysoka gorączka, ogólne wyczerpanie i niedożywienie. Przyjechały po nas znów podobne wozy i tak jak poprzednio zawiozły nas zamiast do Polski – do innego kołchozu kazachskiego. Tam umieszczono naszą rodzinę w jednej izbie wraz z pięcioma samotnymi mężczyznami – Polakami. Nie byli nam przychylni. Choroba nasza rozwijała się. Cały czas utrzymywała się wysoka gorączka, po kilku dniach nastąpił obrzęk ciała, pojawiły się podskórne pęcherze, które pękały, pozostawiając rany. Ciało moje, jak i moich siostr, pokryte było jedną wielką raną.

13 grudnia 1941 r. umarła moja mama. Pochowano ją bez trumny, owinięto kawałkiem płótna i ułożono w wykopanym grobie. Spoczęła na pagórku u podnóża rzeki. Odeszła na zawsze. Zabrała z sobą cierpienia, upokorzenia, trudy i małe radości, jak również marzenia, które nie mogły się już spełnić. Została nas. Miała zaledwie 35 lat, umarła z wycieńczenia i głodu. Na mogile nie umieszczono krzyża ani tabliczki z imieniem – nawet nie było z czego zrobić. Została bezimienna w dalekim Kazachstanie. Nikt nie pielęgnuje jej grobu, nikt nie zapala świecy, tylko wiatr kołysze nadbrzeżne szuwary i tylko pamięć o Jej męce pozostała w nas. Długo jeszcze chorowałyśmy, prawie przez całą zimę, bez pomocy lekarskiej i żadnych leków.

Na wiosnę, nie pamiętam w jakich okolicznościach, ojciec odnalazł nasze ciotki Marię i Zofię – kuzynki mamy, wywiezione razem z nami. Ciotka Maria, której dziecko zmarło w drodze do Dżetygary, została też wdową. Straciła jeszcze dwoje dzieci. Został z nią tylko syn Edward. Ciotkę Zofię wywieziono bez męża z dwojgiem małych dzieci – Eugeniuszem i Walerianem. Kobiety te ciężko pracując, aby zapewnić utrzymanie swoim dzieciom, borykały się z niełatwym życiem. Postanowiono, że zamieszkamy razem. Przeprowadziliśmy się do nich, do innego kołchozu. Zamieszkaliśmy w lepiance. Dobudowano jeszcze jedną prycę z gliny dla nas.

Ojciec i dwunastoletnia siostra Karolina pracowali przy uprawie bawełny, a ja zajmowałam się młodszą Emilką. Ogromną motywacją rozpulchniali nawodnione uprzednio pole. Praca była ciężka, zwłaszcza dla dzieci. Jesienią ja także pracowałam przy zbiorze bawełny. Za pracę otrzymywaliśmy mleko i

pszenicę. Ziarno kręciło się w żarnach, z mąki piekliśmy placki albo robiliśmy kluski. Poza pszenicą, jęczmieniem i bawełną kołchozy nie uprawiały innych roślin, toteż nie mieliśmy warzyw ani ziemniaków. Wynagrodzenie za pracę było tak niskie, że nie zabezpieczało wyżywienia rodzinie. Głodowaliśmy. Ciotki także pracowały w kołchozie, a ich sytuacja była podobna.

Upalne dni były męczące. W czasie lata nie spadła kropla deszczu. Temperatura w południe wahała się od 40 do 60 stopni. Węży pełzały i wygrzewały się w piasku. Trzeba było uważać, aby nie nadepnąć na usypany kopczyk i na węża, gdy chodziło się bosy. Można było spotkać je na każdym kroku, nawet wpełzały do izby. Skorpiony także były naszą udręką, były wszędzie, a ukąszenie przez nich groziło śmiercią. Zaczęliśmy chorować na malarię. Atak zaczynał się wysoką gorączką i trwał około godziny albo więcej. Ataki powtarzały się niemal codziennie. Dawano nam chininę z amerykańskich i angielskich darów, którą rozdzielaly polskie placówki. Stamtąd otrzymywaliśmy także żywność i odzież. Po leki, paczki żywnościowe i odzież Karolina chodziła do Czajanu, miasta powiatowego, oddalonego od miejsca zamieszkania o około 25 km. Pokonywała drogę pieszo w obydwie strony. Wychodziła w nocy i nocą wracała z ciężkim plecakiem. Czasem towarzyszyła jej ciotka. Do Czajanu droga wiodła przez step, potem przez góry skaliste i trzeba było jeszcze przejść przez rzekę. Było niebezpiecznie. W górach spotykało się wędrujące karawany i różnych zbirów, którzy kradli i gwałcili, poza tym panująca spiekota i brak wody utrudniały wędrowkę. Trzeba było dokonywać wyboru: iść czy nie.

Ojciec zachorował i przestał pracować. Miał sparaliżowane nogi. W domu było małe dziecko – trzyletnia Emilka. Karolina i ja musiałyśmy stać się dorosłymi i odpowiedzialnymi za los najbliższych. Siostra – drobna, niskiego wzrostu, każda wykonywana przez nią praca była ponad jej siły. Najgorzej znosiła wędrowkę do Czajanu i dźwiganie plecaka z żywnością. Kiedy wracała nocą zmęczona z opuchniętymi nogami, długo nie mogła odzyskać sił. Ja zajmowałam się dzieckiem i byłam przy ojcu. Ojciec leżał w domu około pół roku bez pomocy lekarskiej (brak lekarza). Z pomocą przyszedł mu miejscowy Kazach, codziennie w południe przyjeżdżał na osle i zawoził ojca nad rzekę, gdzie gorącym piaskiem robił masaże. Rozcierał chore miejsca, które wygrzewały promienie słoneczne. Po długich zabiegach ojciec poczuł się lepiej i zaczął chodzić. Głodowaliśmy w czasie choroby ojca, bo siostra też nie pracowała. Zaczęła chorować na żołądek, wtedy ja, zmuszona sytuacją, chodziłam nocą ścinać niedojrzałe jeszcze kłosa pszenicy lub jęczmienia. Chodziłam z innymi dziećmi, bo razem było raźniej. Ścięte kłosa zanosiliśmy w góry, a kiedy wyschły, kruszyło się je i czyste ziarno przynosiliśmy do domu.

Któregoś wieczoru wracaliśmy zadowoleni z ziarnem, ciesząc się, że będą placki z prażonej, roztartej pszenicy. Przeszliśmy kawał drogi i nagle, na odległej skale pojawiły się wilki. Noc była jasna, widać było wyraźnie ich sylwetki i świecące ślepią. Wyły. Zaczęliśmy uciekać. Potem ktoś z dzieci powiedział, że wilki boją się ognia i krzyku. Więc zaczęliśmy krzyczeć. Krzyczeliśmy głośno i przeraźliwie. Przerazenie i strach dodawały nam siły do ucieczki. Do domu wróciliśmy późną nocą.

Z chłopcami chodziłam na step zbierać żółwie jaja. Szukało się w piasku, w usypanych kopczykach, bo tak właśnie żółwie składają jaja do wylęgu. Zbieraliśmy też żółwie i oprawialiśmy je żywcem. Rozbijało się spoiny z boku, a

potem wycinało mięso. Na stepie zbieraliśmy grzyby, różne cebulki roślin i korzenie. Z pasących się w stadzie owiec skubaliśmy wełnę, którą przędliśmy, a Karolina robiła sweterki (ręcznych robótek nauczyła się w szkole w Brzezynie). Po zachodzie słońca chłopcy szli na step, gdzie były ruiny dawnych osiedli ludzkich i z wyschniętych studzien wybierali młode gołębie. Wyćwiczyliśmy się w zdobywaniu pożywienia. Nie było dla nas niejadalnych produktów. Każdą trawę, bulwę, zielony korzeń przetwarzaliśmy na pokarm, nawet jeżeli było to gorzkie i nie bardzo nadawało się do jedzenia – moczyliśmy w wodzie.

Jesienią po zbiorach szło się na ścierniska zbierać kłosa. Późną jesienią bywały porośnięte, ale i te zbieraliśmy. Kiedy nadeszła zima i już nic nie można było zdobyć na stepie polskie dzieci chodziły po prośbie. Szły od jurty do jurty, proszą chleba. Napadały ich psy, ogromne psy, których było po kilka przy każdej jurcie. Kazachska miejscowa ludność nieraz zapraszała nas na uroczystości weselne, bowiem był taki zwyczaj, że wszyscy mieszkańcy kołchozu uczestniczyli w gościnie. Na wesele zabijali barana, gotowali go w całości, mięso dzielili według hierarchii rodowej, np. głowie rodu mięso z głowy barana. Do tego robili rwane ogromne kluski i rosół. Wkładali mięso i kluski na duże drewniane miski i spożywali je rękoma wszyscy z jednej miski. Rosół wypijali z miseczek. Mężczyźni i kobiety siedzieli osobno, toteż posiłek podawano oddzielnie.

Panna młoda z zasłoniętą twarzą była w innym pomieszczeniu. Dopiero po ślubie mogła ją odsłonić i wejść do gości. Pannę młodą przebierano w inną sukienkę do ręki podawano motykę i sznur, symbole pracy, by później motykę używała przy uprawie bawełny, a sznurem wiązała wiązki suchego opału i na plecach przynosiła do domu. Przed posiłkiem przynoszono dzban wody, która służyła wszystkim siedzącym dookoła w kucki do mycia (polewania) rąk. Następnie wódz przemówił do zebranych i każdemu z gości podawał stosowny kawałek mięsa. W ten sposób rozpoczynała się gościna weselna. Były też przygotowane napoje. Napój z prosa, napój z kobyłego mleka. Produkty wcześniej poddawano fermentacji.

Kazachowie byli ludźmi o niskiej kulturze. Niektórzy tylko, zwłaszcza młodzi, umieli czytać. Istniało wielożeństwo. Dziewczynę można było kupić za pewną liczbę owiec czy zboże, bo zboże było zamiennikiem pieniądza. Pieniądz nie miał racji bytu. Młodą dziewczynę mógł kupić każdy mężczyzna niezależnie od jego wieku, byleby dobrze zapłacił ojcu. Kobieta nie mogła protestować, nie miała do tego prawa. Prawo obyczajowe ustanawiali sami Kazachowie. Z Kazachami mogliśmy się porozumiewać, bo dzieci uczą się szybko języka. Moją trzyletnią siostrę Emilkę chciała kupić rodzina Kazachów dla swojego trzyletniego syna. Chcieli kupić, bo była blondynką, miała niebieskie oczy i jasną skórę. Chcieli mieć taką rasę w swoim rodzie.

Rok 1944. Ojciec został powołany do służby wojskowej w Armii Polskiej, utworzonej na terenie ZSRR. W Czajanie mieściła się delegatura Związku Patriotów Polskich, do której zwrócił się ojciec z prośbą o opiekę nad nami. Pożegnaliśmy nasze ciotki i kuzynów, udając się z ojcem do Czajanu, do punktu zbiorczego. Wyszliśmy z domu nocą i pod wieczór byliśmy na miejscu. Tam po przyjęciu nas ojciec odjechał. Stałyśmy jeszcze długo pod ścianą murowanego baraku, bardzo smutne i opuszczone. W punkcie tym było jeszcze dużo innych polskich dzieci. Nazajutrz rano zaprzężono woły do wozu, załadowano nasze

rzeczy, jeśli jeszcze ktoś je miał i ruszyliśmy w drogę. Małe dzieci jechały na wozie, a starsze szły za wozem. Wyszliśmy za miasto i jak okiem sięgnąć widać było jedną równinę – gorący, bezkresny step. Musieliśmy wejść w to piekło i przemierzyć tę równinę małymi, bosymi stopami. Musieliśmy, nie było wyboru. Nikt nas nie osłaniał, nikt nie zachęcał do drogi. Dzieci same wspomagały się nawzajem. Starsze dzieci były szczególnie opiekuńcze. Szliśmy, a słońce było coraz wyżej i wyżej i coraz bardziej paliło nasze twarze i stopy. Szliśmy piaszczystą, gorącą drogą, a za nami tuman kurzu unosił się w powietrzu. Szliśmy i zdawało się, że droga ta nie ma końca. Szliśmy tak przez cały dzień, z małymi przerwami na odpoczynek. Pod wieczór doszliśmy do oazy. Dolina pełna zieleni, rosnącej kukurydzy, zielonych drzew owocowych i wody. Dużo wody. Byliśmy zmęczeni, spieczeni słońcem i głodni, a przede wszystkim spragnieni. Piliśmy wodę bez opamiętania, a pragnienia wciąż nie można było ugasić. Piliśmy jeszcze i jeszcze. Potem starsze dzieci nazbierały suchej trawy i obornika. Chłopcy krzesiwem wznieśli iskrę i rozpalili ognisko. Postawiliśmy sagan i Karolina gotowała nam zupę. Po kolacji poszliśmy spać. Noc spędziliśmy na dworze, spaliliśmy na trawie na różnych łachmanach. Spaliśmy snem kamieniem.

Dzień następny rozpoczął się podobnie. Upał i wędrówka za skrzypiącym wozem. W tamtym klimacie zawsze panują wysokie temperatury. Step tylko wiosną jest zielony. Rozkwitają kwiaty a przede wszystkim przepiękne różnokolorowe tulipany, okrągłe kaktusy i wtedy tylko padają deszcze. Potem w kwietniu i maju nadchodzi susza. Słońce spala step do czerwoności i nieraz powstają samoistne pożary. Szliśmy znów w upale i ten sam żar był pod stopami i ten sam kurz w gardle, kurz przed nami i za nami. Dzieci zaczęły zostawać daleko za wozem. Opiekuni sadzały najbardziej zmęczone dzieci na wóz. Było nas około 30 osób. W czasie podróży otrzymywaliśmy jakieś posiłki w małych porcjach, przygotowywane przez opiekunki. Były z nami dwie panie i woźnica Kazach, który znał drogę i prowadził nas przez step. Drugiego dnia wędrówki napotkaliśmy rzekę, przez którą trzeba było przejść. Dzieci bały się szumiącej, nieznannej wody. Rzeka była szeroka. Część dzieci przeszła, a część została na drugim brzegu. Nikt ze starszych im nie pomógł. Wówczas Karolina i starsi chłopcy przenieśli je na rękach. Zrobili to samorzutnie bez nakazu. Wcześniej nie znaleźliśmy się, ale w podróży w tych ciężkich warunkach więzy przyjaźni szybko powstały.

Słońce już zachodziło, kiedy doszliśmy do Sajramu, miasta z murowanymi domami, meczetami, ulicami i sklepami. Zieleń, sady owocowe i pola uprawne. Byliśmy na miejscu. Po sprawdzeniu obecności okazało się, że dwoje dzieci brakuje. Nie było mojej siostry Karoliny i dziewczynki Zosi z naszego kołchozu. Jak się później okazało, Zosia nie mogła iść i została, a Karolina dotrzymywała jej towarzystwa. Nikt tego nie zauważył. Późnym wieczorem same dotarły do miasta. Odnalazły nas w domu dziecka.

Duża, drewniana brama, zamykana później każdorazowo na kłódkę, tym razem otwarta szeroko pozwoliła nam wejść. Na dziedzińcu zabudowania tworzące czworobok. Były to pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze. Na środku podwórza stał maszt z podniesioną czerwoną flagą i tam później dwa razy dziennie, rano i wieczorem, odbywał się apel, na zakończenie którego śpiewaliśmy „Sojus nieruszymy republik swobodnych...” Przyjęły nas polskie wycho-

wawczynnie, podzieliły na grupy wiekowe. Mnie zaliczono do grupy średniej, Karolinę do starszej a Emilkę do maluchów. I w ten sposób zostałyśmy rozdzielone. Najbardziej przeżyła to Emilka. Nie chciała jeść, bawić się, płakała i przestała mówić.

Był już wrzesień. Zapisano nas do polskiej szkoły, mieszczącej się w Domu Dziecka nr 1 w Sajramie. Nasz dom był drugim domem w tym mieście. Otrzymaliśmy bardzo mało odzieży, nie wystarczyło to dla wszystkich dzieci, a było nas około 200 osób. Bieliznę i sweterki dziewczynki robiły na drutach z przędzonej również przez nie bawełny. Robótek nauczyliśmy się szybko jedna od drugiej. Zrobiona przez nas odzież nie była pierwszej jakości, jednak można było ją nosić. Nadeszła zima i chociaż nie było śniegu, padały deszcze i obniżyła się temperatura powietrza. Przydzielono nam wówczas zimową odzież po 3 lub 4 płaszcze na grupę. Było znacznie więcej dzieci, czyli praktycznie prawie cała grupa w dalszym ciągu nie miała odzieży. Podobny sposób załatwiono nas z butami. Dzieci chodziły na dwie zmiany do szkoły, wymieniając odzież. Niektóre w ogóle nie chodziły do szkoły. Zostawały w domu dziecka i owijały nogi szmatami. Lekcje odrabiała z nami wychowawczynie w świetlicy. Całe życie koncentrowało się w świetlicy, gdyż była ogrzewana. Spaliśmy w zimnych sypialniach. Zsuwało się kilka łóżek razem i w ten sposób było więcej koców do przykrycia.

Wieczorem, już w łóżku, rozmawialiśmy o naszych sprawach, o rodzicach i skąd pochodzimy. Koleżanka Halinka Szatiło, jasnowłosa, drobna dziewczynka, opowiedziała mi swoją tragedię. Jej ojciec wyszedł na step w poszukiwaniu pożywienia i nie wrócił. Wówczas matka poszła szukać go i też nie wróciła. Potem znaleziono ich ciała na stepie. Umarli z głodu i wycieńczenia, nie mieli siły, aby wrócić. Ona została sama z młodszym bratem. Przed snem modliłyśmy się razem, całą grupą, chociaż było to zabronione.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia. Niczym nie podkreślono tego dnia, wszystko odbywało się jak co dzień. W czasie kolacji Karolina zaśpiewała kolędę „Bóg się rodzi...” Na sali zapanowała cisza. Była to grupa starszych dzieci i wszyscy wiedzieli, że nie mogą jawne wyznawać swoich uczuć religijnych. Nie pozwolono jej dokończyć kolacji. Kierowniczka Polka, zabrała Karolinę do kancelarii i w sposób serdeczny wytłumaczyła, że nie możemy obchodzić świąt i śpiewać kolęd.

Zimę przeżyliśmy w trudnych warunkach bytowych, prawie o głodzie. Wprawdzie dostawaliśmy posiłki trzy razy dziennie, tzn. od 100 do 200 g chleba, zupę z buraków albo trochę kaszy, wszystko to było bez tłuszczu, nie zaprawione niczym poza solą. Od stołu wstawaliśmy zawsze głodni. Byłam bardzo chuda, wystawały mi kości i źle wyglądałam. Wychowawczynie zadecydowała, że pójde do pracy w kuchni. Przez trzy miesiące byłam kelnerką. Na wiosnę kierownictwo zdobyło kawałek ziemi. Posadzono warzywa, kukurydzę i buraki. Na polu pracowały starsze dzieci i personel. Kupiono krowę i osła, mieliśmy więc mleko, a osioł służył jako siła pociągowa. Zajęć było dużo – nauka w szkole, robienie na drutach i zbieranie opału(suchej trawy) do kuchni. Wybrano mnie na drużynową średniej grupy dziewcząt. Do moich obowiązków należało opiekować się grupą, szczególnie wtedy, kiedy wychodziliśmy poza teren domu dziecka.

Tego lata wyżywienie poprawiło się, ale nie na tyle byśmy nie byli głodni. Byliśmy tak wygłodzeni, że każda ilość pokarmu została natychmiast wchłonięta przez organizm. Można było jeść bez przerwy i zawsze czuło się głód.

Jednym i może jedynym wówczas marzeniem każdego dziecka było najeść się do syta chleba. Tak przetrwaliśmy do 1946 roku. W kwietniu, a więc prawie po roku, dotarła do nas wiadomość, że skończyła się wojna i możemy wrócić do kraju. Oznajmiła nam to wychowawczynie w czasie porannego apelu. Ogarnęła nas wielka radość aż do szaleństwa. Wiwatowaliśmy, chusteczki i czapki leciały w górę. Całowaliśmy się i w tym wielkim uniesieniu zaśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła...” Byliśmy szczęśliwi.

Po miesięcznym przygotowaniu opuściliśmy Sajram. Wracaliśmy do Polski. Na stacji podstawiono pociąg towarowy przystosowany do przewożenia ludzi. Załadowano kilka tysięcy dzieci. Ostatni wagon przeznaczono na kuchnię. My wracaliśmy ze swoimi wychowawczyniami. Na drogę otrzymaliśmy wszyscy nowe ubrania i buty. Sukienki szyto nam na miarę tuż przed wyjazdem. Zapatrzone w żywność, jak ryż i konserwy. Podróż trwała prawie miesiąc. W czasie podróży zdarzył się wypadek. Na nasz transport najechał z tyłu inny pociąg i rozbił ostatni wagon – kuchnię. Nikt nie zginął w czasie wypadku, bo nikogo tam nie było. Zdarzyło się to nocą i w związku z tym staliśmy na otwartej przestrzeni aż do rana. Jechaliśmy przez Pustynię Kara-kum, lotne piaski i obszar solne. Mijaliśmy szeroką Wołgę, żyzne pola Ukrainy, tak dojechaliśmy do Warszawy. Warszawę zobaczyłam w strasznych ruinach. Była smutna, okaleczona, sponiewierana jak cały naród polski.

Teraz zaczął się dla nas nowy etap wędrówki. Dom Rozdzielczy w Gostyninie koło Kutna, skąd zabrała nas rodzina mojej mamy. Potem po odnalezieniu ojca przenieśliśmy się na Ziemie Zachodnie, gdzie od 16 roku życia rozpoczęłam pracę. Nie czułam się tu dobrze, nie było miejsca dla mnie. Wciąż tęskniłam za rodzinnymi stronami.

Po latach, kiedy weszłam w dorosłe życie, nie mogłam mówić o swoich przejściach. Nie mogłam, gdyż zawsze boleśnie przeżywałam wszystko od początku. Nie mogłam, bo było to źle widziane i źle rozumiane przez otoczenie. Szczególnie przez ludzi, którzy w czasie wojny potrafili jakoś ułożyć swoje życie bez głodu, zimna i strachu przed śmiercią. Nie mogłam, bo mówienie o tym do niedawna było zabronione pod odpowiedzialnością karną. Tym razem przez polskie władze, na polskiej ziemi.

To wszystko było we mnie. Zapadło w mojej pamięci cichym protestem dziecka, któremu zabrano dzieciństwo, dom, matkę, ojca, chleb i rzucono na poniewierkę w wir zbrodniczego, nieludzkiego systemu. I tak już pozostało. A dziś? Sprawiedliwość dziejowa spełniła wreszcie nasze nadzieje. Nikt nie zaprzeczy i nie zatrze śladów naszej wojennej, niechcianej tułaczki – polskich zesłańców na sowieckiej ziemi, nie zatrze naszych wspomnień i pamięci o tych, którzy na tej ziemi oddali swoje życie. To także była walka narodu polskiego o przetrwanie, którą toczyliśmy przez sześć lat na wszystkich frontach świata. Wynieśliśmy z tej walki godność ludzką, którą odbierano nam przez lata wszelkimi sposobami. Zachowaliśmy język i obyczaje ojczyste, wiarę naszych przodków i wiarę w lepszą przeszłość. I na tym polega wartość naszych przeżyć, cierpień i zmagania.

KRONIKA

- **MOJE WSPOMNIENIA WOJENNE**

Wszystko co nasze Polsce oddamy
W Niej tylko życie, więc idziem żyć ...
(I. Kozielewski, *Hymn harcerski*)

Urodziłam się 13 sierpnia 1927 roku w Krakowie jako jedyna córka Romana i Katarzyny (z domu Cekiera) Łukasików. Mój ojciec urodził się 12 sierpnia 1900 roku w Krakowie. Przed II wojną światową pracował w Wojsku Polskim, w Składnicy Łączności Nr 5 w Krakowie przy ulicy Kamiennej. Był urzędnikiem wojskowym a Jego praca była ściśle tajna. Przed samą wojną mieszkaliśmy przy ul. Obożnej 13 A w Krakowie. Ewakuacja nastąpiła w czasie wojny na rozkaz wyjazdu z Krakowa wraz z rodziną do Łańcuta, a dalej niespodziewanie z taborem wojskowym i z pomocą Huculów dotarliśmy przez Kołomyję, Kosów, Kuty za granicę do Czerniowiec w Rumunii. A potem dalej.

W 1939 roku ukończyłam 5 klas Szkoły Powszechnej, następnie w Rumunii (Caracal) i Algierii (Cap-Matifou) szóstą klasę. W Algierze (Płn. Afryka) uczęszczałam do Gimnazjum i Liceum im. Gen. Wł. Sikorskiego. Tamże uczyłam się od 1941 r. do 1945 r. otrzymując świadectwo IV kl. gimnazjum tj. małej matury i I kl. liceum. Dużą maturę złożyłam w Trani k/Bari we Włoszech. Po powrocie z Wielkiej Brytanii do Polski, od 1947 roku odbywałam studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie uzyskując stopień magistra filologii angielskiej w 1952 roku.

Pracę zawodową rozpocząłam zaraz po studiach. Ostatnim miejscem zatrudnienia od 1964 roku, była Biblioteka Instytutu Botaniki PAN w Krakowie, gdzie prowadziłam wymianę zagraniczną publikacji. W 1966 roku zdałam egzamin z bibliotekoznawstwa przed komisją Egzaminacyjną PAN w Poznaniu. W 1987 roku przeszłam na emeryturę, pracując dłużej jeszcze 2 lata.

Do dziś trudno mi zrozumieć jak to się stało, że moje szczęśliwe dzieciństwo nagle legło w gruzach. Mieszkaliśmy w Krakowie, przy ul. Obożnej 13 A, w dzielnicy Krowodrza, a właścicielem domu był p. Franciszek Filanowski. W tym samym domu na parterze mieszkała rodzina polsko-włoska: p. Nullo Di Camillo z żoną Polką i trojgiem dzieci: Bolesławem, Nullo i Neldą. Pan Nullo Di Camillo był kierownikiem fabryki makaronu przy ul. Łokietka. Nie dziwiłoby to nikogo gdyby nie fakt, że rodzina ta nagle wyprowadziła się udając się do Włoch, do Mediolanu. Jak się zaraz okazało, było to tuż przed wybuchem wojny.¹

Romana Łukasik

¹ Dedykuję Pani dr H. Komorowskiej, która zainspirowała mnie do opowiedzenia jej tych wspomnień, wykazując dużo cierpliwości i nakładu pracy w zapisywaniu ich z wyrwanych fragmentów mej pamięci.

*

Wybuch II-ej wojny światowej

Wybuch II-ej wojny światowej zastał mnie, gdy miałam zaledwie 12 lat, byłam uczennicą Szkoły Powszechnej nr 37 przy ul. Mazowieckiej (skończyłam piątą klasę). Funkcję dyrektora szkoły pełniła p. Antonina Gołkowska, będąca nauczycielką matematyki. Była to szkoła żeńska, jedynie 1 klasa miała charakter koedukacyjny. Pierwsze dni wojny upłynęły pod znakiem alarmów, czyli „wyjątych syren”. Wtedy, jak inni mieszkańcy schodziliśmy do fabryki „Miraculum” mieszczącej się naprzeciw naszego domu. To miejsce miało służyć za schron.

Exodus w nieznane

Moi rodzice wraz ze mną musieli opuścić Kraków w trzecim dniu wojny tj. w pierwszą niedzielę września 1939 roku, na rozkaz biura wojskowego mego ojca. Przeżywaliśmy prawdziwe piekło zanim dotarliśmy do Rumunii. Planowana ewakuacja dotyczyła miasta Łącuta względnie Rzeszowa. Widać jednak, że uchodźstwo było naszym przeznaczeniem. Nie wiedzieliśmy gdzie ukryć się przed bombami spadającymi na drogi, mosty, budynki.

Początkowo jechaliśmy pociągiem towarowym zajmując jeden z bydłych wagonów przystosowanych do rozłożenia pościeli i umieszczenia bagażu. Po nakazie opuszczenia pociągu ze względu na zagrożenie, pieszo przemierzaliśmy drogę obok taborów wojskowych od Tarnowa (spod Bogumiłowic i wsi Krzyż) do Radomyśla. Niemieckie „Messerschmitty” zrzucały na nas bomby. Nie mieliśmy się gdzie ukryć wokół były tylko pola uprawne, więc upadaliśmy np. w ziemniaki, które mają niskie pędy nadziemne. Lotnicy specjalnie zniżali lot, aby nas ostrzeliwać z karabinów maszynowych. Nie wiadomo, kto zdołał po tym nalocie podnieść się a kto już pozostał nieżywy lub ranny. W Radomyślu miało po naszą grupę przyjechać 10 autobusów, a tymczasem po 17-tu godzinach wędrowni zniecierpliwieni tułacze dosłownie przypuścili szturm, aby dostać się, jak się okazało do jednego z trzech podstawionych. Nam udało się wyjechać drugim autobusem. Gdy jechaliśmy już autobusem do Lwowa, kierowca zauważył eskadrę samolotów niemieckich i zapytał pasażerów czy ma przejechać przez most czy zatrzymać się przed nim. Wszyscy byli jednego zdania, aby jak najszybciej przejechać most, bo pewnie jest celem ataku, i tak się stało. Ledwie wysiedliśmy z autobusu za mostem a kierowca próbował zamaskować gałęziami pojazd, most został zniszczony. My przedostaliśmy się do najbliższego domu. Tam wpuszczono nas tylko do przedpokoju, w którym stanęliśmy bardzo stłoczeni, ramię przy ramieniu. Usłyszeliśmy lament chłopca ok. 16-letniego, który co dopiero stracił cały dom z rodziną. Dalsza droga w miarę spokojna prowadziła już prosto do Lwowa. W tym pięknym mieście przez jedną dobę zamieszkaliśmy w wojskowych barakach przy ul. Koszykowej, a jeden dzień (następny) spędziliśmy u brata mamy.

Widmo tragizmu we wsi Raj

Mój ojciec przypadkowo spotkał kolegę, który zabrał nas swoim odkrytym samochodem i tak znaleźliśmy się we wsi o nazwie Raj koło Brzeżan, ale w pośpiechu musieliśmy opuścić to miejsce na wiadomość, że drugi nieprzyjaciel

jest tuż tuż. Następnie droga wiodła przez Kołomyję, Kosów, Kutry aż poza polską granicę, do Czerniowiec w Rumunii. Tam zatrzymaliśmy się na noc w zajeździe z grupą uchodźców u rumuńskiego gospodarza, który nie chciał nas przenocować słysząc, że mamy tylko polskie pieniądze. Wreszcie dał się przekonać jakąś ilością papierosów będących w posiadaniu kogoś z naszej grupy. Pozwolono nam w ubraniach położyć się na podłodze wyścielonej workami. Nie mogłam zasnąć, choć byłam śmiertelnie zmęczona, bo wokół panował obrzydliwy fetor. W nocy, gdy przez chwilę zapalono światło elektryczne, ujrano nas w „okowach karaluchów”, które dokładnie nas oblepiły. Tak więc pierwszy kontakt z zagranicą był niefortunny, ale przynajmniej mieliśmy dach nad głowami, podczas gdy na zewnątrz dawały się już odczuć jesienne przymrozki. Zaraz też tłum ludzi po przenocowaniu w zajeździe został objęty transportem kolejowym, nie wiadomo, dlaczego najpierw na północ, a potem na południe, a w Tulczy przetrzymywani byliśmy przez długie godziny. Podczas podróży zaopatrzone nas w okrągłe bochenki chleba, które raz po raz z niemiarywym ruchem pociągu, spadały nam z półek na głowy. Pociąg zatrzymywał się w dowolnych miejscach, niekoniecznie na małych stacyjkach i ruszał, gdy nikt się tego nie spodziewał. Jednego wieczoru mama postanowiła zdobyć dla mnie coś ciepłego do picia. Wychodząc z wagonu napotkała na sprzeciw z mojej strony, który stawiałam ze względu na jej niebezpieczeństwo i swój ogromny strach, że może nie zdążyć wrócić. To jednak była mała stacyjka, bo widniał na niej oświetlony punkt jakby peronu. Mama postanowiła wysiąść z pociągu i szła z półlitrowym garnuszkiem w rękę kierując się zapachem gotującego się jedzenia, który doprowadził ją w mroku i mgłę do grupy żołnierzy rumuńskich, pochylonych nad kotłem. Jeden z nich dał mamie znak ręką by zbliżyła się, co też uczyniła. Wtedy garnuszek został napełniony zupą, która smakowała mi jak jakiś wykwintny rarytas. Z okien pociągu widzieliśmy rozlewiska Dunaju i ogromne ilości dzikiego ptactwa. Dla mnie był to obraz nierealnego świata, ale już bez groźby z ziemi i z nieba i mieliśmy poczucie bezpieczeństwa.

Caracal w Rumunii

Pod koniec września, po wielu trudach, dojechaliśmy do miasta Caracal koło Krajowej (Craiova) gdzie władze miejskie zorganizowały dla nas pomoc. Polscy uchodźcy ponieśli ogromne straty materialne podczas ucieczki i byli w okropnym stanie po trzech tygodniach tułaczki, często bez dostępu do wody i ciągle w tej samej odzieży, jak w naszym przypadku. Po upragnionej kąpieli w łaźni miejskiej skierowano nas nocą, do domów rodzin rumuńskich, podstawionymi zaprzęgami konnymi.

Zawsze mam w pamięci okazywaną nam życzliwość przez Rumunów, którzy przyjmowali nas pod swój dach. Po zamieszkaniu u pierwszych gospodarzy, przy Strada Carpați, zmieniliśmy mieszkanie tylko dlatego, że po otrzymaniu zasiłku uchodźczego nie chciano od nas przyjąć... pieniędzy. W ostatnim – na Strada Regele Ferdynand znajdowało się w rodzinie 5-letnie dziecko, które, o dziwo, bardzo rozpaczało przy naszym wyjeździe do Algieru, skandując moje imię.

W Caracal na uchodźstwie przebywały też oprócz nas trzy rodziny pochodzące z Krakowa, znane nam: **Pani Żakowa** z 4-ma córkami Krystyną, Kazimierą, Stanisławą i Teresą (urodzoną w Rumunii). Dalsze ich losy były zwią-

zane z moimi, tzn. razem wyjechałyśmy do Algieru i Trani i razem byłyśmy w obozie w Anglii. Druga córka p. Żakowej – Kazia tam wyszła za mąż za pana Zenona Różyckiego. Wszyscy obecnie przebywają na terenie USA. **Pani Bronisława Semlakowa** z nastoletnim synem Aleksandrem wyjechała na początku roku 1940 do miejscowości Craiova w Rumunii, gdzie było zorganizowane Gimnazjum i Liceum. Jej syn, do końca wojny, ukończył I-wszą klasę liceum, a już w Krakowie II-gą. Studia wyższe na UJ z dziedziny chemii z tytułem magistra ukończył w 1951 roku. **Pan Jarmuszkiewicz**, z którym mój ojciec pracował przed wojną przybył z córką Donatą i starszymi synami Tadeuszem i Bogdanem. Wiele innych rodzin z Krakowa było nam nieznanymi. Wszyscy wymienieni oprócz p. Żakowej z córkami, w różnym czasie wrócili do Krakowa, młodzi założyli rodziny, obecnie część z nich już odeszła. I tak losy każdej rodziny potoczyły się inaczej.

W grudniu 1939 roku lub w styczniu 1940 r. do Caracal przybył Kardynał August Hlond, aby uchodźców podtrzymać na duchu. Witaliśmy Go kwiatami, przed Hotelem Minerva, gdzie mieściła się polska YMCA.² Od tego czasu na mszach niedzielnych zaczęto śpiewać modlitwę obozową nieznanego autora:

O Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
Wołamy z cudzych stron do Ciebie
O polski dach i polską broń

Ref.

O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj,
Do wolnej Polski, nam powrócić daj,
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz dom

O usłysz, Panie, skargi nasze,
O usłysz nasz tułaczy śpiew
Z nad Warty, Wisły, Sanu, Bugu
Męczeńska Cię woła krew

Ref.

O Boże, skrusz ten miecz ...

W czasie naszego pobytu w Caracal gościł u nas teatrzyk objazdowy, z którego pobytu zapamiętałam słowa młodej pieśniarki p. Bogdańskiej: „Dla Was żyć, bawić Was, – to jest dewizą w moim życiu, nieraz w ukryciu o tym śnię, byście kochali szczerze mnie... Prędko tu płynie czas, gdy jestem z Wami goście mili. Chcę byście się bawili” itd.

W YMCA odbywały się różne imprezy np. dla dzieci w postaci zajęć plastycznych i zabaw (ryc. 1), dla dorosłych zajęcia w rodzaju „praktyczna pani”, kursy językowe, i odprawiane były niedzielne msze św. W Caracal Polacy nagminnie kupowali tanie kożuszki baranie, zwykle bezrękawniki z obszytymi lamówkami z kolorowej, cienkiej skóry, a produkowane przez rumuńskich kożuszników. Służyły one nam długo, nawet w „ciepłym kraju”, jakim był Algier, jako zabezpieczenie przed zimnem w różnych okolicznościach. Rumuni jak tylko mogli, starali się, aby adaptacja Polaków w ich przyjaznym mieście przebiegała jak najlepiej. Dlatego też otworzyli restaurację, gdzie serwowano popularne polskie obiady. Do takich dań

² Young Men's Chrystian Association – Związek Młodzieży Chrześcijańskiej.

należał rosół z makaronem, kotlet schabowy i ziemniaki z kapustą. Caracal było jednym z większych skupisk Polaków.

Ryc. 1. Dzieci w YMCA w Caracal.

Polacy jak zwykle, otaczali opieką źle traktowane czy też zranione psy. Domagali się lepszych warunków ich życia, gdy pod budami ustawionymi przy domach zdesperowane psy robiły podkopy by uciec przed zimnem, które jak mówili miejscowi, przyszło do Rumuni z Polakami (wyjątkowo mroźna zima w 1939/1940). W hallu YMCA każdy napotykał leżącego, ciężko rannego, psa wilczura, który wymagał specjalnego leczenia.

Drugie nasze miejsce zamieszkania po Strada Carpați, to Strada Pârâului w Caracal. Tam duży pies wilczasty (typu wilk), trzymany na łańcuchu przy budzie z ostrzeżeniem, że to „zły pies” był przez nas dokarmiany resztkami jedzenia. Pewnego późnego wieczoru, gdy wracałam z rodzicami z jakiejś imprezy w YMCA (było bardzo mroźno) zastaliśmy przymkniętą bramę domu, a wewnątrz, na podwórku, uwolnionego z uwięzi psa. Konieczność zmusiła nas do wejścia i wtedy pies rzucił się na mnie, przednimi łapami okalając moja szyję. Bardzo się przestraszyłam, jednak okazało się, że to nie był atak, ale przywitanie. Rumuńskiego języka nie miałam sposobności się nauczyć, znam do dzisiaj zaledwie kilka słów grzecznościowych, ale zapamiętałam początek ówczesnego hymnu państwowego „Traiasca regele in pace și onor...”³

Nasz pobyt na wygnaniu i tułacze życie nie skończyło się jeszcze. Po pięciu miesiącach pobytu w Caracal mama i ja przyłączyłyśmy się do grupy 250 osób (głównie kobiet i dzieci polskich) wyjeżdżających do Algieru w Północnej

³ „Niech żyje król w pokoju i szacunku...”

Afryce, dzięki Francuskiemu Czerwonemu Krzyżowi, niektórzy sugerowali, że to dzięki władzom polskim w Londynie. Mojemu ojcu, tak jak wielu innym, nie poszczęściło się w przedostaniu się do Francji, by tam walczyć o wolność. Na komisji lekarskiej orzeczono kategorię zdrowia „D”, zamykając tym samym możliwość służenia w wojsku. Choć stan taty był dobry i miał tylko 40 lat, został „internowany” z zakazem opuszczania Rumunii. Do Polski powrócił wraz z innymi w sierpniu 1945 roku.

Algier, Północna Afryka (środkowa część Maghrebu)

Wyjazd do Algieru nastąpił 20 lutego 1940 roku z punktu zbornego w Piatra Olt przez Turnu Severin do Jugosławii, zwykłym pociągiem. W Lublanie wysiedliśmy z pociągu będąc zaproszonymi do restauracji na posiłek. W dalszą drogę udaliśmy się do Włoch przez Wenecję (niestety nocą). Dwa lub trzy dni spędziliśmy w luksusowym hotelu w Mediolanie i mieliśmy okazję zwiedzić słynną katedrę. Na terytorium Francji, w Nicei najmłodsze dzieci zostały otoczone opieką przez Organizację Czerwonego Krzyża. W podrzędnym hotelu w Marsylii byliśmy krótko, a moja mama i ja zostałyśmy zabrane drugim transportem morskim – statkiem „Ville d’Oran” przez Morze Śródziemne do Algieru.

Powitanie Algieru we Foyer Polonais

Przybyliśmy tam 28 lutego 1940 roku, w słoneczny i upalny dzień, ubrani w ciemną, ciepłą odzież, podczas gdy miejscowe Europejki nosiły piękne kolorowe suknie z naturalnego jedwabiu. Tak wczesne i gorące lato nie powtórzyło się już podczas naszego pobytu. Zebraliśmy się w Domu Polskim (Foyer Polonais), gdzie podzielono nas na grupy według tzw. potrzeb osobistych, jak na przykład dzieci z matkami do szkoły podstawowej, podczas gdy moja mama z miejsca znalazła się w Szpitalu Mustafa – Hôpital Mustafa w Algierze. Nie mogłam znieść myśli o rozłące z moją mamą i wyjeździe 36 km od Algieru do szkoły polskiej w Cap-Matifou i rozpaczliwie i głośno płakałam. Wtedy zbliżyła się do mnie starsza Pani, której nikt nie znał, a która zapewniała mnie w naszym języku, że nic złego mi się nie stanie i że ona mną się zaopiekuje. Nigdy już więcej nie ujrzałam tej osoby. Inni zostali skierowani do schroniska pod wezwaniem Św. Jadwigi, w Algierze, przy Boulevard de Gallieni, w dzielnicy El-Biar.

Pobyt w Cap-Matifou

Cap-Matifou, mała nadmorska miejscina wydawała się ładna, ale byliśmy bardzo rozczarowani widokiem zamieszkania w prymitywnych warunkach, w barakach po końskich stajniach, nazywanych „pavillons”. W każdym z nich były tylko dwa rzędy łóżek oddzielone kamiennymi filarami a o łazience i ciepłej wodzie nie można było nawet marzyć. Nad naszymi głowami „spacerowały” duże, zielono ubarwione jaszczurki. Przyzwyczailiśmy się do ich widoku, gdy nas zapewniono, że nie są jadowite.

Wrażenia były okropne, a możliwości wydostania się z tej sytuacji żadne! Grupy dzieci przydzielono do odpowiednich klas, które uczyły się w języku polskim. Niekiedy młodsze dziewczęta z aktualnej szkoły razem ze starszymi dziewczętami nie objętymi jeszcze nauką w gimnazjum umilały sobie czas maszerując w takt patriotycznej pieśni nieznanego mi autora i czasu jej powstania.

Jeden nas łączy los i jeden łączy ból,
Jedna tęsknota do tych lasów, do tych pól,

Jedna nas łączy dola lepsza albo zła
W Polaku, Polak brata dziś na pewno ma!
Niech znikną zwady, kłótnie, – zwarci bądźmy dziś
A wtedy wspólna zrodzi się nam myśl
Trąbka pobudkę gra, wiarę niech każdy ma
Bóg nam pomoc swą da!
Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy
Wrócimy tam, wszyscy razem młodzi i starzy
Wrócimy tam, aby zerwać Ojczyźnie kajdany
Wrócimy tam, gdzie nasz kraj, gdzie nasz dom kochany!

Po 2-ch miesiącach dodatkowo uczyliśmy się w odległej szkole francuskiej. Drogę do szkoły pokonywaliśmy pieszo w palącym słońcu, które topiło asfalt a nasze buty przyklejały się do niego. Kolegami były arabskie dzieci, a pani nauczycielka Francuzką. Uzyskałam 7 nagród „billets de satisfactions” w ciągu miesiąca, deklamując wierszyki i nie rozumiejąc ani słowa. Na przerwach lekcyjnych wszyscy razem tańczyliśmy śpiewając: „Dancer l’habit gai, l’habit gai de Ramona...”⁴ Czułam się bardzo osamotniona, byłam jak sierota, sama w obcym kraju i między obcymi ludźmi. Jedynie od czasu do czasu odwiedzała mnie pani Alice Lébar, żona francuskiego lekarza, od lat zamieszkała w Algierze. Przywoziła wiadomości ze szpitala, gdzie była leczona moja mama, czasem wręczała jakiś upominek. Warte wspomnienia są też odwiedziny w szpitalu mojej mamy przez żonę konsula, panią Frydrychową, która zapobiegliwie przyniosła jej słownik polsko-francuski, aby mogła się nim w potrzebie jakiejś posłużyć. Kiedy mama odkryła, że w sali szpitalnej są częste przypadki śmierci zwłaszcza nocą, a w dzień jest ponuro bez słońca, (okna były wystawione na północ), poprosiła konsylium lekarzy francuskich o przeniesienie piętro wyżej, gdzie umieszczano mniej chorych i gdzie „zaglądało” słońce. Padły wyrażenia wypowiedziane niegrammatycznie i bez tradycyjnego „s’il vous plaît”, ale prośba była natychmiast zaspokojona, a jeden z lekarzy powiedział „Vive La Pologne”.

Szpital Mustafa w Algierze

W Cap Matifou miałam wypadek, zwichnęłam nogę i po kilku dniach dowieziono mnie do Szpitala Mustafa w Algierze, na prześwietlenie. Nie pamiętam jak to się odbyło, natomiast zapamiętałam kamionetkę⁵, która mnie wiozła, a na przedmieściu bez słowa, kierowca francuski pozostawił mnie samą w pojeździe na ok. 2 godz., a potem sałę, do której weszła nieoczekiwanie Polka – p. Płaczkiewicz, a ja znając ją tylko z pojedynczego widzenia, rzuciłam się jej na szyję prosząc, aby mnie zaprowadziła do mamy. Moje pragnienie spełniło się i skacząc na jednej nodze zjawiłam się przed nią. Mama była wzruszona a jednocześnie przerażona moim wyglądem, byłam b. wyrosnięta i strasznie wychudzona. Francuzki leczące się a szpitalu polubiły mamę, fotografowały się z nią a ja zostałam obdarowana przez nie drobnymi prezencikami.

Podobno zmiana sposobu zwracania się do niej nastąpiła wtedy, gdy zrozumiała, że traktują ją lekceważąco jak postępowały w stosunku do Arabek, nie znających języka francuskiego (ktoś, kto nie znał języka francuskiego był traktowany jak człowiek drugiej kategorii). Gdy wypowiedziała słowa: „Tu est tu, est moi, je suis madame polonaise” (tzn. ty to ty, a ja jestem polską panią) wszystko się zmieniło i zwracano się do niej per „vous”.

⁴ „Taniec jest zwyczajem wesołym Ramony...”.

⁵ Rodzaj małego autobusu.

Po upadku Francji w czerwcu 1940 roku przewieziono nas z powrotem do Algieru, ale ciasnota w jednym wówczas schronisku stawała się uciążliwa. Na początku naszego pobytu aprowizacją dla schroniska zajmowała się pani, która kupowała dla nas przeterminowaną żywność. I tak na przykład makaron po zalaniu mlekiem wzbudzał niesmak i wręcz obrzydzenie, bo wypływało z niego robactwo. Najwyraźniej przyczyną tego zjawiska była niska cena produktów. Owocami dla nas najbardziej dostępnymi były nèfles (niespłiki japońskie), dobrze zaspakajające pragnienie, a często za posiadane pieniądze dokupowałyśmy też mandarynki i pomarańcze.

Obóz w Ben-Chicao (Tellskie Góry)

We wrześniu komisja francusko-niemiecka wysłała nas do zamkniętego obozu w Ben-Chicao w górach Tellskiego Atlasu, (107 km od Algieru), którego dyrektorem był Mr. Frineau.

Zanim dotarliśmy pociągiem do tego miejsca przejechaliśmy niezliczoną ilość tuneli mijając rosnące na zboczach kwitnące drzewa eukaliptusowe. Ben-Chicao wydawało się miejscem odosobnionym, zapomnianym przez Boga i ludzi, jedynie misjonarze jugosłowiańscy schodzili do nas z gór, aby nas wyspowiadać. W uzasadnionych przypadkach do wyjścia z obozu służyły przepustki od francuskich żandarmów.

Zima wyjątkowo była okrutna, spadł obfity śnieg, wiały silne wiatry, a pośród czarnych, upiornych nocy słychać było wycie szakali. Arab ubrany w wojskowy mundur ze strzelbą na ramieniu przypominał nam o zasłonięciu okien wieczorami, gdy świeciło się światło elektryczne, wołając „la lumière” (światło).

Przed naszym tu przyjazdem zwolniono z obozu jakieś niemieckie kobiety, kiedy to Gen. E. Rommel zwyciężał w Tunisie, a alianci nie mieli jeszcze przewagi nad wrogiem.

W tymże obozie pamiętne były Święta Bożego Narodzenia, w wigilię, podczas gotowania dla nas posiłku przez dyżurujące Panie, zapalił się dach i jego resztki wpadły do kotła. Tym sposobem zostaliśmy pozbawieni „świętecznych dań”.

Najbliższe miasteczko nazywało się Médéa i razu pewnego pojechałam tam z mamą do usunięcia zęba u dentysty. Ząb prawdopodobnie nadawał się do leczenia, ale nie było możliwości finansowych i utrudniony dojazd.

W obozie znajdowało się kilka psów-kundelków, chorych przeważnie od kleszczy na nich pasożytujących. Wśród nich był duży biały owczarek „toutou” (tu-tu) rzadko wypuszczany poza obóz, ponieważ uważany był za zbyt agresywnego. Jedynie dla nas Polaków, których doskonale wyróżniał, był przychylny za okazywaną dobroć. Po naszym wyjeździe jednakże doszły nas słuchy, że został zastrzelony z powodu zagryzienia kogoś.

Życie okolicznych mieszkańców – Arabów było bardzo ubogie. Mieszkała w kurnych chatkach, w zimie na klepisku koło rozpalonego ogniska krążyła gromada półnagich dzieci. Łóżek nie mieli a zamiast nich były płyty kamienne przypominające katafalki cmentarne.

Drogi dojazdowe, rzecz dziwna, były wszędzie uporządkowane, pokryte asfaltem a spośród ich wąskich wstęg widać było jedynie, wysokie skaliste góry, dołem porośnięte drzewami migdałowymi. Jednego dnia sekretnie wydo-

stałam się z obozu, bez przepustki, z mamą i ciężarną panią Chylicką-Oborską. W autobusie przepełnionym Arabami, gdzie panował niesamowity fetor, pani oczekująca dziecka mdlała, co chwilę. W Algierze trafiła prosto do szpitala a my do konsulatu, gdzie zagrożono nam więzieniem z powodu bezprawnego opuszczenia obozu. A moja mama chciała tylko załatwić dla mnie formalne przyjęcie do szkoły gimnazjalnej, bo w Cap-Matifou uzupełniłam wiadomości z 6-tej klasy (wcześniej uczęszczałam już do 6 klasy w Rumunii).

W Ben-Chicao spędziliśmy blisko rok zanim przyjechał delegat z Londynu, p. inż. Władysław Krygowski, i został dyrektorem naszego ośrodka w Algierze. Powrót do Algieru odbywał się etapami, toteż miało to wpływ na przedłużanie się naszego pobytu w obozie. Z powodu zimna rozglądałyśmy się za drzewem do ogrzewania piecyka. Ratunkiem dla nas było rozebranie podłogi z sąsiedniego, przechodniego, już pustego pokoju. Deski, a raczej ich zakończenia, kładło się na dwa łóżka i wskakiwało w sam środek. W ten sposób przelały się pośrodku i można było nimi palić.

Powrót do Algieru

Po przybyciu do Algieru, z powodu przeludnienia w schronisku, dr Hacziewicz udostępnił nam do zamieszkania infirmerię (izbę chorych), w czasie, gdy nie przyjmował pacjentów. Wkrótce powstało drugie schronisko i na stałe zamieszkaliśmy pod adresem: rue Jules Ferry 38 również w dzielnicy El-Biar. Zostało ono nazwane schroniskiem pod wezwaniem Św. Jana. Składało się ono z 4 sal i jednej kuchni. Mama i ja zostałyśmy umieszczone na I piętrze wg obietnicy francuskiego konsula Mr Rigolet'a. Nasza sala początkowo liczyła 29 osób, a do nich dołączył piesek o nazwie „Ciapek”. Osoby mieszkające w różnym czasie w naszej sali to: p. Rychłowska z córką Barbarą i synem Andrzejem i z siostrzenicą Stradecką Zofią; p. Stawowczykowa z córką Lilą (Wandą); ja z mamą i ciocią; p. Agopsowiczowa Aniela z synem Andrzejkiem i matką p. Bańkowską; p. Markowa z 3-ma córkami: Marią, Anną i Janiną; p. Jaczyńska z czworgiem dzieci: Oleńką, Hanią, Kazikiem i Basią; p. Batkowska z synem Zdzisławem i pojedyncze osoby: Mela Niedźwiedzka, Ala Kruszewska, Zofia Zyhla, Helena Burczykówna, Zenobia Paryska i Helena Płaczkiwicz. Nie wykluczone, że kogoś pominęłam.

A oto jak wyglądały poszczególne sale w schronisku pod wezwaniem św. Jana w Algierze. Przede wszystkim miały one w pewnym sensie zapewnić intymność mieszkańcom. W tym celu na ścianach zawieszono sznury, na nich wisiały prześcieradła izolujące nas przynajmniej od wzroku otoczenia. Natomiast głos zawsze mógł być słyszalny w mniejszym lub większym stopniu. Powstały w ten sposób jakby odrębne małe pomieszczenia zwane przez nas kojami, nie miały one stołów, krzeseł ani szaf „umeblowane” były za to nieodzownymi łóżkami, bez których nie mogliśmy się obejść. Służyły one nam nie tylko do spania czy odpoczynku, ale również do siadania przy odrabianiu lekcji, jedzenia a nawet mycia się (pod miednicę podkładało się ceratę chroniąc łóżko przed ewentualnym wyciekami wody). Słowem łóżka miały uniwersalne zastosowanie, aż dziwne, że nikt przez to nie dostał przysłowiowego „garba”. Na sali mieszkały z nami na pierwszym piętrze matki z dziećmi, w różnym wieku, przeważnie ziemianki z kresów wschodnich, żony oficerów. Gdy ktoś z nas cierpiał, lub prze-

żywał dramat, wszyscy starali się dostosować do tej wyjątkowej sytuacji, a czasem do radosnej atmosfery, gdy młodzieży pozwolono przegrywać płyty muzyczne. Modne były wówczas piosenki Tino Rossi'ego.

Algier, bardzo piękne miasto oczarowało nas swoją egzotyką. I tak nowe dzielnice nazywano „La Blanche”, a stare „Kasbah” o domach zwykle z arkadami. Mieszkańcy mówili przeważnie po arabsku, francusku, włosku, a wielu z nich było pochodzenia hiszpańskiego. Arabowie nosili bufiaste spodnie z cienkiej tkaniny a na głowach czerwone fezy i białe turbany (bogatsi ubrani byli w burnusy), a kobiety nosiły długie, białe szaty i miały zakwefione twarze, a na czołach widoczne były tatuaże.

Dzika plaża była cudownym fenomenem natury a przylegająca do niej płatna o nazwie „Franco” z parasolami, już mniej piękna, bo pozbawiona ogromnej skały koloru ołowianego jakby wrosniętej w wybrzeże Morza Śródziemnego. Piasek na całej plaży był miałki i tak gorący od słońca, że dosłownie parzył w stopy. To był prawdziwy raj móc tam przebywać i choć nie umiałam pływać, korzystałam z przypiływu fal morskich podskakując, by nie ulec całkowitemu zalaniu ponad głowę. Nie zdawałam sobie sprawy, że mogłam być przez fale powalona lub też natrafić na jakieś nierówności na dnie morza. Morze było spokojne w odróżnieniu od Adriatyku. Miało kolor blado niebieski a to drugie we Włoszech w Trani było raczej niespokojne, wzburzone o kolorze lazurowym, z kamienistymi plażami.

Razu pewnego ja z dwiema koleżankami miałyśmy nieprzyjemną przygodę przez oszczędzanie pieniędzy na bilety trolejbusowe. Wyszłyśmy pieszo z El-Biaru, położonego 200 m n.p.m., aby dojść do plaży położonej w dole. Zabłądziłyśmy, minęłyśmy jakiś rynek z rozłożonymi na straganach gnijącymi owocami, obleżonymi przez roje much. Weszłyśmy w sam środek Kasby – niebezpiecznej dzielnicy arabskiej. Schodziłyśmy szerokimi schodami, obok nas piętrzyły się wysokie budynki, a górą widziałyśmy tylko skrawek nieba. Mogłyśmy przepaść bez wieści, ale jakoś szczęśliwie udało nam się dotrzeć do plaży, może dzięki temu, że w ogóle nie rozglądałyśmy się i szłyśmy jak lunatyczki przed siebie.

Ja rzadko chorowałam, ale pamiętam, że jeszcze przed ukończeniem szesnastego roku życia wykonano mi w Szpitalu Mustafa zabieg chirurgiczny przycięcia (a nie wyłuszczenia) migdałków. Przeprowadził go lekarz francuski w obecności naszego lekarza p. Stanisława Haczkiwicza, który mieszkał na tzw. „Librze” wraz z żoną Martą i synem Maciusiem. Gdy małżonkowie gdzieś się wybierali zawsze prosili moją mamę albo ciocię, aby go przypilnować. Zapamiętałam, że chłopiec był bardzo wrażliwy, bajki o sierocej doli wzruszały go do łez. Ta trójka (rodzice z synem) wcześniej wyjechała do Egiptu, stamtąd po pewnym czasie otrzymaliśmy w drodze wdzięczności paczkę odzieżową za pośrednictwem polskich lotników. Dwukrotnie skorzystaliśmy z przysyłanej nam odzieży z USA (rodzaj zapomogi), ale dopiero poprzez losowanie zdołałam uzyskać coś godnego uwagi. To mama wylosowała dla mnie coś przydatnego, bo podobno w tym względzie potrzebna jest szczęśliwa ręka. Od czasu do czasu na nasze podwórko przychodzili arabscy handlarze odzieżą. Kiedyś zmuszona byłam sprzedać sukienkę (liczył się kolor bieli względnie jasne wzory na jasnym tle). Na inne, nawet z dobrej tkaniny czy ładnym kroju „marchands des

habits”⁶ nie mieli zapotrzebowania. U jednego z nich na piersiach widniały ordery, pewnie za jakieś polityczno-wolnościowe zasługi. Tenże mężczyzna zapewnił nas, że nie musimy obawiać się zamieszek, gdyż tak samo jak Arabowie nie mamy ojczyzny. Widać, że był dobrze zorientowany.

Ryc. 2. Świadectwo z ukończenia Gimnazjum w Algierze. (s. 1 i 2).

wąwozu gdzie młodzież sprawdzała swoje umiejętności fizyczne ćwicząc swe mięśnie na gałęziach drzew. Naprzeciw wąwozu, u jego wejścia, był biały dom z dużą klatką papugi kakadu, która donośnym głosem wykrzykiwała słowo „ca-caouettes”, co chyba miało wyrażać chęć jedzenia fistaszków. Dalej szło się w kierunku Pałacu Chińczyka, do którego wstęp był podobno zabroniony. Wiemy, że było tam pięknie, w ogrodach pełnych zieleni i egzotycznych kwiatów. Nie mogliśmy pozbawiać się jego uroku i skrycie odwiedzaliśmy to miejsce. Każda prawie ulica w Algierze była jakby udekorowana palmami, a w ogrodach rosły różne gatunki pierzastej mimozy o delikatnym zapachu, a w sadach drzewa owocowe – figowe, pomarańczowe czy mandarynkowe.

Otwarcie Gimnazjum i Liceum im Gen. Sikorskiego w Algierze

Po powrocie z obozu w Ben-Chicao zaczęłam regularnie uczęszczać do zorganizowanego, przez polskie władze w Londynie, polskiego gimnazjum i liceum im. Gen. Władysława Sikorskiego. Zajęcia były prowadzone przez pedagogów, którzy razem z nami przybyli z Rumunii. Dyrektorem był Stanisław Czernik (rodem z Ostrzeszowa), zarówno w Algierze jak później, już w 1946, w Trani, wspaniały polonista i wielki patriota. Książek nie było za wiele, pochodziły z drukarni w Jerozolimie. Pedagog ten uzupełniał wiadomości swoimi wykładami, które cieszyły się wielkim uznaniem przez uczniów. I tak się stało, że lekcja języka polskiego była prawdziwą przyjemnością. Załączam jedno ze świadectw, które tam otrzymałam (ryc. 2).

Gdy wojna rozpętała się z ogromną siłą ambasador polski w Rzymie p. Gawroński, ożeniony z włoską arystokratką, wysłał najstarszego syna Alfreda do Algieru. W ten sposób chciał uchronić go przed zwerbowaniem do wojska Mussoliniego. I tak grono uczniów naszej klasy powiększyło się, gdy nauka odbywała się w pomieszczeniach infirmerii w schronisku na Boulevard de Gallieni. W Algierze okresowo uczyliliśmy się w trzech miejscach. Najpierw w schronisku pod wezwaniem św. Jadwigi przy Boulevard de Gallieni pod gołym niebem pośród drzew figowych lub też w przybudówce infirmerii. Drugie lokum to dwie lub trzy salki na parterze w wynajętym domu. Były one przechodnie, ciemne z częstą awarią elektryczności. Nauka odbywała się podzielona na lekcje popołudniowe i popołudniowe. Inne miejsce to stary pałac jakichś zubożałych książąt arabskich, będący w rękach angielskiego właściciela. Budynek chylił się do upadku, był piętrowy a jego okna wystawione na stronę południową. Nad naszą klasą usytuowaną na parterze znajdowała się kancelaria nauczycielska z podłogą z dziurawych desek, przez którą docierały do nas ciekawe rozmowy naszych przełożonych. Najchętniej po lekcjach chodziłam do pałacu z koleżanką Krysią Żakówną, aby w ciszy móc przygotowywać się do ewentualnie zadawanych nam pytań z różnych przedmiotów. Zdarzało się, że podczas nauki i wzajemnego przepytывania musiałyśmy bronić się przed upałem, polewając się wodą.

W rozległych zabudowaniach pałacowych mieszkał tylko nasz nauczyciel języka angielskiego p. Sidorowicz, który, był zszokowany, że nocami pałac tętnił życiem poprzednich arabskich właścicieli. Przekazywał nam tę informację jako zupełnie prawdziwą, bo na własne oczy widział, czym się zajmowali i słyszał odgłosy ich działań przy różnych czynnościach.

Nasz kościół

W pobliskim kościele koło merostwa odbywały się msze św. w każdą niedzielę o godz. 9-tej. Polski chór, pod dyrekcją lekarza pochodzącego z Krakowa, który uczył nas również w szkole biologii – dra Stanisława Haczkiwicza, śpiewał pieśni kościelne. W nabożeństwach uczestniczyli też Francuzi, którzy zwykli śpiewać w obronie swojej zniewolonej ojczyzny: „Pitié, mon Dieu, c'est pour notre patrie... Dieu de Clémence, Dieu Protecteur Sauvez, sauvez La France...”, a nasza polska grupa: „sauvez, sauvez La Pologne.”⁷ Poza kościołem część Francuzów czciła szefa Rządu Vichy Maréchal'a Pétain'a, śpiewając: „Maréchal Pétain, nous voilà de la France...”⁸ Polski chór śpiewał również w godzinach nocnych na falach radiowych (krótkich) pieśni patriotyczne i okolicznościowo kolędy. Francuzom przypadły do gustu chóralne śpiewy Polaków podczas nabożeństw, bo tłumnie brali w nich udział. W okresie Świąt Bożego Narodzenia pewien francuski generał wydający swą córkę za mąż, życzył sobie, aby chór zaśpiewał na ślubie kolędę:

Pospieszcie pastuszki do stajeneczki,
zaśpiewajmy Jezusowi,
zaśpiewajmy Dzieciątkowi,
zrodzonemu na niskości
chwała, chwała na wysokości

⁷ „Litości mój Boże dla naszej ojczyzny... Boże Miłosierny i Opiekunie Nasz ratuj Francję a Polacy ratuj Polskę.”

⁸ „My jesteśmy z Tobą i Francją...”

gdyż bardzo spodobała się pannie młodej. W niektórych pieśniach nabożnych jako solista występował sam dyrygent śpiewając basem, tak, że miały one końcowe brzmienie zamiast „amen” to „mamen”. Byłam bierzmowana w tymże kościele przez arcybiskupa francuskiego, otrzymując imię Barbara.

Cierpieliśmy niedogodności z powodu upałów dochodzących nieraz do 65°C w lecie, ale także z powodu sirocco i szarańczy. Owoce drzew były wtedy masowo objadane przez te owady a dzień zamieniał się w szarość, prawie nieprzeniknioną z powodu naniesionego z pustyni piasku. W normalnie letni, upalny dzień na ulicach w godzinach południowych widziało się jedynie Polaków a niektórzy tubylcy leżeli pokotem na ziemi. Na słupach i drzewach odzywały się donośnymi dźwiękami cykady. Modliszki rzadko wpadały przez otwarte okna na salę, ale zawsze wywoływały przestrasz, szczególnie u jednej wrażliwej osoby – Lili Stawowczykówny.

Od listopada do końca stycznia było zimno i deszczowo, a temperatura powietrza spadała do ok. 6-ciu lub 10°C. Brakowało na salach pieców do ogrzewania, a podłogi były wyłożone posadzkami. Podczas naszego pobytu w Algierze, jeden raz zatrzęsła się ziemia, malaria była wśród nas rzadkością, a dżuma szczęśliwie nas ominęła po szczepieniu I-wszą amerykańską szczepionką. Podobnie jak opisana w powieści autora „Dżumy” Alberta Camusa, pandemia tej choroby w Maroku, w Algierze w tym samym czasie pojawiły się tylko pojedyncze przypadki tej strasznej choroby. Zapadali na nią w Algierze przede wszystkim ludzie związani z oczyszczaniem miasta. Zaraza przywieziona została w jakimś statku handlowym z Azji (podobno z Chin) wraz z ryżem i zakazonym szczurem. Dlatego pierwszą ofiarą stał się marynarz a chorobę rozpoznano w szpitalu. Zarządzenie władz francuskich zakazało hodowli zwierząt m.in. gołębi i psów. Starszy kolega, Tadeusz Ostrowski z bólem serca zlikwidował klatkę z gołębiami, a nasz „Ciapek” dostał się w ręce Amerykanów usiłował nas odnaleźć, a gdy mu się to nie udało, wracał do obozu. Po drugiej lub trzeciej próbie nieudanego powrotu, zjawił się zziąpany, toczył pianę z pyszczka. Podejrzanego o zakażenie wścieklizną, zastrzelono.

W naszym najbliższym otoczeniu rozwijała się też bardzo groźna choroba, której uległa p. Jadwiga Niedźwiedzka, matka mojej koleżanki i po krótkim pobycie w szpitalu odeszła. Pogrzeb odbył się 4 października 1942 roku. Nie doczekała „Débarquement”, którego tak pragnęła, uważała bowiem, że pojawi się ktoś z jej rodziny amerykańskiej. Rzeczywiście w miesiąc po tym nieszczęściu jej córka Mela poznała wojskowego, który był spokrewniony z jej rodziną.

„Debarquement” w Algierze

Dzień 8 listopada 1942 roku upamiętniło ważne wydarzenie historyczne, a mianowicie lądowanie wojsk alianckich – „Débarquement”. Od tego czasu nasz los poprawił się dzięki pomocy amerykańskich żołnierzy i polskich marynarzy, przede wszystkim przez dostarczenie żywności i środków czystości. Zarówno środki czystości np. mydło i niektóre artykuły żywnościowe jak chleb (1/4 kg na osobę dziennie) były reglamentowane. Soczewica była naszym przysmakiem a czasem bakłażany. Często spożywałyśmy z talerza oliwę z oliwek zmieszaną z sokiem cytrynowym i rozdrobnionym chlebem. To nas trzymało przy życiu. Nie do wiary odkąd przyszła dla nas pomoc, chleb jadłam po przyłożeniu, na jego kromce, tabliczki czekolady. Zamiast ogólnie stosowanych

przedtem kostek szarego mydła, które się nie pienią a zmieszane były jakby z kłującymi ziarnkami piasku, teraz używało się najprzedniejszej jakości mydła toaletowego do prania i mycia.

Do portu zawijały polskie statki handlowe jak „Sobieski”, „Batory” czy też łodzie podwodne np. „Sokół” lub okręty wojenne np. „Garland”.

Ryc. 3. Autorka z mamą i ciocią oraz polskim marynarzem Stefanem Konatowskim w Algierze.

W Londynie, chyba w gazecie „Orzeł Biały” ukazał się artykuł o naszej kolonii w Algierze m.in. słowa: „marynarze znieśli ze statku wszystko, co się dało...”. Pewnie kapitan nie był zadowolony, bo „Sobieski” wyruszył w rejs bez zaopatrzenia w żywność. Niedługo potem zostaliśmy zaproszeni na ślub jednej z naszych pań z marynarzem ze statku „Sobieski”, panem Pawłem Kaczmarciem. Wesele iście królewskie odbyło się na statku, który stał na redzie i dojeżdżaliśmy do jego pokładu motorówką pod polską banderą.

Kilka naszych pań z kolonii powychodziło za mąż, nie tylko za marynarzy, np. Basia Rychłowska z naszej sali wyszła za mąż za Francuza, André, podobno mieszkają w Paryżu. Ojciec Basi, kapitan WP, po wojnie, zaraz po wyzwoleniu z Oflagu przyjechał do rodziny (żony, córki i syna). Słyszałam jak skomentował nasze posiłki w Algierze – „gdyby tak nas żywiono w obozie jak tu was, to dawno byśmy pomarli”.

Marynarze polscy – ludzie dobrej woli

Po wylądowaniu aliantów, spokojny dotąd Algier stał się niebezpieczny. Nagle zaczęły spadać bomby, kiedy to Niemcy rozpoczęli bombardowania Algieru ze swoich baz we Włoszech. Szczęśliwie nikt z nas nie zginął. Zdobywanie Algieru odbyło się prawie bez walk, jedynie z morza dobiegały odgłosy wystrzałów. Jednakże poszczególne ulice i domy były sprawdzane przez żołnierzy alianckich. Do naszego schroniska podeszła grupa Amerykanów, jak się okazało w większości polskiego pochodzenia, przeważnie ze stanu Massachusetts, którzy owacyjnie nas witali, a wyrazem ich radości były dosłownie „fruwające” tabliczki czekolady w kierunku naszych dzieci.

Zdarzyło się kiedyś przed Świątami Bożego Narodzenia, że kilku marynarzy gościło w naszej Sali w schronisku. O ile pamiętam byli oni ze statku handlowego „Sobieski”. Właśnie szłam przez podwórze od strony kuchni, gdy natknęłam się na gałąźe jakiegoś iglastego drzewa. Okazało się, że pochodziły one z jodły ociosanej przez rodzinę francuską, która w pobliżu nas mieszkała. Bezwiednie zabrałam gałązki i wniosłam na I piętro naszej sali. Marynarze wzruszyli się do łez, że ktoś o nich pamięta, twierdząc, że tym sposobem będą mieli na statku choinkę w czasie rejsu. Były podziękowania, a ja nie czułam się godna pochwały gdyż działałam bez określonego celu i przydatności (ryc. 3).

Polscy marynarze przywozili nam wiadomości z szerokiego świata. Dowiedziałam się o istnieniu obozów zorganizowanych dla uchodźców w Płd. Afryce i w Kolhapur w Indiach, gdzie istniały wielkie skupiska Polaków z nazwami ulic w języku ojczystym np. zależnie od wykonywanych zawodów rzemieślniczych. Stamtąd przywieziono mi lalkę „Łowiczanke” i kosmatego pieska. W roku 1944 dostałam od któregoś z marynarzy pierwszy jednotomowy słownik angielsko-polski i polsko-angielski autorstwa J. Stanisławskiego.

Kiedy narodziła się piosenka z polskimi słowami na melodię *Marsylianki*, nie wiem. Prawdopodobnie ktoś z gości ją zaintonował a my śpiewaliśmy ją potem.

A gdy pokonamy wroga i nastąpi pokój nam,
powrócimy do rodzinnego proga
i zaśpiewamy wszyscy wraz wam:

Biada wam, Krzyżacy, żołdacy
oto nadszedł wyzwolenia czas
z aliantami u boku Polacy
pójdziem walczyć, pokonamy was.

Do boju nadszedł czas,
bić Niemców – to cel twój,
na bój, na bój, na krwawy bój,
Hej ludu, zbrój się, zbrój

Do sytuacji dramatyczno-humorystycznych zaliczyć należy jedną z nocnych ucieczek przed bombami zrzucanymi z samolotów niemieckich. Wybiegliśmy z sali schroniska do brudnej, obskurnej piwnicy, służącej za schron, a w ciemności omal nie usiadłam na ruchomym meblu, który okazał się kaskiem na głowie jakiegoś żołnierza. Żołnierz ten prawdopodobnie przechodząc ulicą podczas alarmu, obrał sobie naszą piwnicę jako bezpieczną przystań.

Moja mama zachorowała, zaatakowana amebą. Chorobę wyleczył dr Ćwikliński, od lat zamieszkały w Algierze, a p. hrabia von Hutten Czapski wspomagał ją pszennym chlebem, przez swego szofera p. Edwarda.

Bazylika „Czarnej Madonny”, czyli „Notre Dame d’Afrique”, w dużej dzielnicy arabskiej Bab-el-oued położonej nad dzielnicą Kasbah, czuwała nad nami. Usytuowana na najwyższym wzniesieniu dominowała nad Zatoką i budynkami głównych ulic Algieru: Michelet, d’Isly, Clemenceau, Waygand; parkami: de Galland, Rafael; kinami: Colisée (gdzie wyświetlano filmy angielskie i amerykańskie gdyż było to kino przeznaczone tylko i wyłącznie dla wojsk alianckich), Midi-Minuit, Régent; super-marketami: Monoprix, Priminix i Gallérie de France.

Przyjaźnie

To dziwne, że jeszcze pamiętam szczegóły opisanych przeze mnie wyżej faktów i tkwią one we mnie głęboko ukryte do dnia dzisiejszego. Nawiązałam wiele przyjaźni z koleżankami z klasy: Melą Niedźwiedzka, Krysią Żakówną i Halinką Skalską, naszą nauczycielką języka francuskiego p. mgr Wandą Małecką-Wnorowską. Mama i ciocia przyjaźniły się z p. Kramarzową pochodzącą z Bielska-Białej, przez którą bliżej poznałam jej córkę Edytę, moją młodszą koleżankę do dzisiaj, zamieszkałą obecnie w Manchesterze. Koleżankę Jasię Sumówną – prymusa(-kę) całego gimnazjum i II klasy liceum w Algierze, spotkałam w 1947 roku w Krakowie na UJ, filologii romańskiej. Głównie widywałyśmy się na ćwiczeniach pani dr Strzałkowej. Obie uczestniczyłyśmy w zajęciach proseminaryjnych siedząc razem w pierwszej ławce. Koleżanka mieszkała na tzw. „stancji” przy ul. Łobzowskiej. Mnie marzyło się zaliczenie dodatkowego (pobocznego) studium, ale po upływie roku okazało się to niemożliwe. I tak nasze drogi rozeszły się. Jasia jako żona p. Władysława Pawłowicza wyjechała do Wrocławia, a chociaż nie korespondowałyśmy ze sobą, w pamięci pozostał mi dokładny jej adres, który zostawiła mi, wyjeżdżając: Wrocław-Krzyki, ul. Poranna 6/11 (teraz już nieaktualny, bo wysłana w latach 90-tych pocztówka wróciła). W Algierze Janina (będąc sierotą) przebywała pod opieką pani Zajączkiewiczowej, która była tam z córką Ireną i synem – nie pamiętam imienia. Zanim wyjechała z Krakowa obie „kuzynki” Janina i Irena zaprosiły mnie do pięknego dworku w Krzeszowicach pod Krakowem, który należał do pp Zajączkiewiczów w spadku po p. Hessowej. Po wojnie przeszedł on pod administrację państwa i pełnił rolę przedszkola.

Dotąd sama się dziwię, że uległam namowom mamy i pojechałam pociągiem do Mouzaia-les Mines koło Ben-Chicao ażeby skorzystać z zaproszenia p. Chylickiej-Oborskiej, Jej męża i dzieci. Było tam bardzo miło, bo tradycyjna wigilia Bożego Narodzenia, lecz w nietypowej scenerii, chociaż śniegu było wystarczająco dużo, jednak nocą słychać było znane mi już wycie szakali. Mama była przekonana, że właśnie tam nabędę więcej sił w przyjemnej atmosferze i dobrym wyżywieniu. Ja natomiast najwięcej obawiałam się jazdy pociągiem przez tunele.

Przed Świętami Bożego Narodzenia w 1944 roku pojechałam z Melą do centrum Algieru, aby odebrać nasze fotografie. Po drodze wstąpiłyśmy do supermarketu Gallérie de France w celu kupienia mojej mamie jakiegoś skromne-

go upominku na św. Mikołaja. Na parterze, w szklanej gablocie, wypatrzyłam jakiś drobiazg w sam raz na moją kieszeń. Gdy sprzedawczyni sięgnęła po wskazany kosmetyk, zjawił się jakiś Amerykanin, który uparł się, że on mi go kupi. Protestowałam aż zaczął się zbierać tłumek ciekawskich. Pisząc o tym komicznym wydarzeniu, właściwie nie pamiętam jak się to skończyło. Znajomi poinformowali mnie, że ludzie tej nacji zwykli robić tego rodzaju gesty.

Podczas długiego pobytu w Algierze odwiedził nas Gen. Kazimierz Sosnowski, do którego pamiątkowej „Złotej Księgi” wpisałam kilka zdań na polecenie dyrektora szkoły p. Stanisława Czernika. Na jego też życzenie napisałam podziękowanie polskim uczniom z Południowej Afryki za przesłane nam zeszyty i korespondowałam z jednym z nich, kol. Tadeuszem Wiczrowskim, który pochodził ze Stanisławowa i wraz z rodziną na początku wojny został wywieziony do Kazachstanu. Wiem, że później został junakiem w Aleksandrii a następnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii.

Do miejscowości Blida w Algierii gdzie znajdowało się lotnisko przylatywał też król angielski Jerzy VI, a Gen. Charles de Gaulle był widziany w samym Algierze, gdy wstępował do Prefektury usytuowanej w pobliżu Placu Rządowego (Place de Gouvernement).

Jeszcze w XIX wieku, taka rosła fama, korsarze morscy, po ograbieniu statków, na tym właśnie placu handlowali niewolnikami. Były to relacje m. in. przekazywane nam przez starca bez nóg, z długą siwą brodą, którego każdego dnia przynoszono na krawędź naszej ulicy Jules Ferry gdzie siedział całymi dniami przy drewnianej budzie.

Pewnego razu późnym wieczorem okoliczni mieszkańcy tej części El-Biaru zostali zaproszeni na wesele zamożnej pary arabskiej. Ja osobiście nie byłam na nim, ale z opowiadań mojej mamy, cioci i innych osób wiem jak ono wyglądało. Na obniżonym terenie, za wymienioną „drewnianą budą” znajdował się plac, na którym urządono tę uroczystość. Podawano w filiżankach mocną kawę, a tancerki popisywały się wykonywaniem różnych figur tanecznych m. in. tańcem brzucha. Za urokliwe występy bywały nagradzane banknotami, które ślinami naklejane były na ich półnagie ciała.

Polscy Komandos

Do Algieru przybyli także w czasie trwania zawieruchy wojennej nasi polscy komandos w grupie ok. 107 osób po przeszkoleniu na terenie Szkocji. Stacjonowali pod Algierem w złych warunkach obozowych. Jeden z nich p. Mieczysław Dudycz przed wyjazdem do Włoch, aby tam walczyć, pozostawił nam do przechowania fotografie rodzinne, które zostały mu zwrócone we Włoszech. Wiem, że wielu komandosów z „Zielonych Beretów” zginęło m.in. w walkach o Monte Cassino.

Komandosów poznaliśmy osobiście przez zaproszenie nas wszystkich do ich obozu. Nasz ksiądz odprawił nabożeństwo wśród rozłożonych namiotów, a po podwieczorku zasiedliśmy przy rozpalonym ognisku zasłuchani w pieśni komandosów. I tak rozbrzmiała piosenka cytowana w książce „Na ścieżkach polskich komandosów” pana Mirosława Dereckiego: „Raz, naprzód śmiało, gdy piosenka wesoło brzmi, co nam zostało z tych szkockich beztrudnych dni...”. Innym razem w dniu 11 listopada 1943 roku urządono nam w kinie Régent poranek pożegnalny przy rue Clemenceau na El-Biarze przed wyruszeniem komandosów do Włoch, aby tam walczyć.

Pod koniec wojny kilka osób starszej młodzieży nie objętej nauką szkolną wyjechało do Anglii na przeszkolenie wojskowe jako wolontariusze, młode dziewczęta służyły w wojsku jako tzw. „pestki”. Wcześniej starszy kolega, Zbyszek Podolec, zaciągnął się do wojska i zginął w walce na granicy francusko-belgijskiej. Był on bardzo dobrze zapowiadającym się karykaturzystą i malarzem, cenionym też w kręgu „znakomitości francuskich”. Rozpacz matki, która wcześniej straciła już 9-letniego syna Tadzia w wypadku drogowym w Algierze, była ogromna. Choć wszyscy wiedzieli o śmierci drugiego syna, nikt nie zdobył się na odwagę, aby ją i siostrę o tym zawiadomić. Dopiero „niewinnie” wyglądający list przesądził o tej tragedii. Nasi koledzy z klasy wstąpili do marynarki wojennej. Podobno Stefan Pawlicki zginął na morzu, gdy okręt (czy łódź podwodna) wpłynął na minę, a Jasiu Rejmer miał więcej szczęścia i przeżył.

Zaraz po zakończeniu wojny pojechałam z Melą Niedźwiedzką do centrum Algieru i wtedy natknęłyśmy się na zamieszki uliczne spowodowane przez Arabów, blisko Poczty Głównej. Na ziemi leżał ranny a może zabity człowiek, a wszystkie bramy domów były w pośpiechu zamykane. Zajeżdżały duże samochody z żandarmerią francuską, a Arabowie z pobliskich ulic wychodzili uzbrojeni w kije. Trafiliśmy do recepcji jakiegoś hotelu (na ścianie I-go pomieszczenia wisiało dużo kluczy). Okna prędko zasłaniano okiennicami, a słysząc obcą mowę, pytano nas czy lubimy Arabów. Gdy nas wypuszczono po około 1 godzinie na ulicy nie było już samochodów pancernych a jedynie trepy, opadłe z nóg Arabów. Widocznie załadowano ich do w/w samochodów.

Na zakończenie pragnę dodać, że ze szczególnym pietyzmem zwiedzałam Algierię (Algérie) dzięki zorganizowanej przez nauczycieli wycieczce dla nas, uczniów. Byliśmy u stóp Grobu Chrześcijanki o kształcie okrągłej kopuły (Tombeau de la Chrétienne) w Tipaza. Były tam też ruiny bazyliki. Oglądaliśmy miasto Cherchel, gdzie znajdowały się ruiny budowli rzymskich (jak amfiteatr i Muzeum z mozaikami i freskami) stanowiące dowód po starożytnym panowaniu Rzymian w tym regionie. W samym Algierze gromadnie zwiedzaliśmy największy meczet, oczywiście wg wymogów zdejmując buty z nóg. W wielu miejscach można było zauważyć jak Arabowie pięknie się modlą upadając na twarze np. po pracy o zachodzie słońca np. w winnicach. Doc. Wnorowski uczący nas matematyki będąc na urlopie w Bou Saâda, odwiedzał jarmarki kabylskie, razem z mieszkańcami siadywał na ziemi, jadł z nimi ugotowaną w solonej wodzie szarańczę (po odrzuceniu głowy, skrzydeł i odwłoka), czyli same tułowia. Zżył się z nimi i nawet przyjechał do Algieru przedstawiając nam spahistę, młodego człowieka wyglądającego na Europejczyka, ubranego w mundur wojskowy o spodniach z błękitnymi lampasami.

Zwiedzanie Algierii dało nam dużo satysfakcji, ponieważ wzbogaciło naszą wyobraźnię i wiedzę o historii świata.

Grono Pedagogiczne w Algierze

Dr Henryk Orliński przez pierwsze lata był dyrektorem gimnazjum i liceum a Algierze. Tytułowano go senatorem. Uczył nas łaciny.

Mgr Wanda Malecka (Wnorowska) uczyła nas języka francuskiego w Algierze i Trani. Mamy jej do zawdzięczenia nauczenie się pacierza w języku francuskim, który odmawialiśmy przed każdą lekcją, stojąc przy pulpitych. Do dziś dźwięczą mi w uszach dokładnie zapamiętane słowa: „Notre Père, qui Etes

au Ciel” i „Je vous salue, Marie, Pleine de Grâce”⁹ ... przy wspaniałej egzegezie, na najpiękniejszy, w moim mniemaniu, język świata. Po wojnie w kraju była nauczycielem akademickim Uniwersytetu Jagiellońskiego a także lektorem w PAN w Krakowie, przy ul. Sławkowskiej 17. Między innymi pani mgr Magdalena Nowak z IB PAN uczestniczyła w jej lektoratach. Znana w Polsce pod nazwiskiem 2-go męża Doc. Feliksa Wnorowskiego. Spotykałyśmy się po wojnie. Mieszkając w Krakowie przetłumaczyła kilka książek. Posiadam trzy książki z jej tłumaczeniem z języka francuskiego na język polski. Utrzymywałyśmy kontakt aż do Jej śmierci.

Dr Mirosław Ramułt uczył nas biologii w pierwszych latach, później lekarz **Stanisław Haczewicz**. Po wojnie zetknęłam się z pracą naukową dr M. Ramułta, z zakresu biologii, opublikowaną w Edynburgu. Instytut Botaniki PAN jest w jej posiadaniu.

Doc. dr Jan Dihm pochodził z Wadowic, uczył nas historii i geografii. Do Krakowa przyjeżdżał na zjazdy PAN. Przesłał mi swoją pracę o Tadeuszu Kościuszcze.

Ryc. 5. Świadcstwo maturalne (s. 1 i 2).

Z końcem wojny, było nam ciężko, bo pogłoska o wstrzymaniu zasiłków pieniężnych na utrzymanie mieszkańców schroniska była przerażająca. Z tego

powodu z dwiema paniami podjęłam się pracy w drukarni w dzielnicy Kasbah. Była pora deszczów, a należało wyjechać wcześniej rano trolejbusem i stojąc na betonie składać w drukarni jakieś odbitki do godziny 17-tej z przerwą dwugodzinną. Pracowałyśmy przez około 2 lub 3 tygodnie. Prefektura wypłaciła nam należne pieniądze za pracę. Duża część mieszkańców naszej kolonii była zasobna w pieniądze.

Dodatkowo otrzymywali oni za sprawą Gen. Mariana Kukiela, a na miejscu pewnie za pośrednictwem polskich władz, pieniądze z Londynu tzw. „koleżeńskie” ze zbiorów żołnierskich z terenu Wielkiej Brytanii. Pytanie, dlaczego szereg rodzin, w tym nasza, zostało pominiętych, chyba nigdy nie zostało to wyjaśnione.

Gdy tylko wojna się skończyła rząd warszawski przysłał swego konsula z pracownikami. Przeprowadzono wywiad, kto zechce wrócić do kraju w marcu 1946. Większość nie wyraziła jednak zgody na powrót do kraju w perspektywie kilku miesięcy (w marcu 1946) i z wielką ulgą skorzystała ze wspaniałomyślności Gen. Władysława Andersa, aby mieć możliwość wyjazdu do Włoch. Ten zamysł był zachowywany w głębokiej tajemnicy.

Muszę przyznać, że nigdy nie modliłam się tak gorąco, jak wtedy o Przemienienie Pańskie. Toteż, gdy któregoś wieczoru wróciłyśmy do schroniska z pracy, panowała tam wielka radość, bo już wszyscy wiedzieli oprócz nas, że za kilka dni wyjedziemy do Włoch.

Nasz pobyt w Algierze trwał 5 lat i sześć miesięcy i zaznaczył się też troską o moją chorą mamę ze strony ks. Kazimierza Sołowieja, który pośredniczył w przekazaniu pieniędzy od Papieża Piusa XII na sanatoryjne leczenie w górach w Hammam Melouane, gdzie była leczona m.in. wodą mineralną „Marabut”.

Autobus, którym mama jechała, wyruszył z Placu Rządowego (Place de Gouvernement). Czas był niespokojny, bo trwały zamieszki wolnościowe Arabów. Mama nie знаła języka francuskiego i zarządzający domem sanatoryjnym zrazu skierował ją mylnie do prymitywnego hotelu arabskiego o bardzo niskim standardzie.

Pożegnanie Algieru

W listopadzie 1945 roku statkiem „Maloja”, na którego pokładzie znajdowało się też wielu żołnierzy angielskich powróciliśmy z Afryki do Europy do Włoch. Powrót był ufundowany przez Gen. Władysława Andersa (Dowództwo II Korpusu). Zakotwiczyliśmy się w miejscowości Aversa. Był to obóz międzynarodowy nad Morzem Tyrreńskim na północ od Neapolu. Stamtąd samochodami zawieziono nas do Trani a niektórych do Barletty, gdzie był węzeł kolejowy.

Trani, Południowo-Wschodnie Włochy

W Trani koło Bari nad Morzem Adriatyckim w Apulii (Puglia) część z nas tj. w wieku szkolnym na poziomie gimnazjum i liceum uczyła się w internacie dla ok. 400 uczniów. Tam też składałam dużą maturę. Pośród uczniów było wielu, przybyłych niedawno z niemieckich obozów koncentracyjnych i jenieckich oraz przymusowych robót w Niemczech, wspaniałych, młodych ludzi, którzy walczyli np. w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku.

Po ukończeniu nauki, nie wiedząc nic o naszej przyszłości mieliśmy się rozproszyć z tego miejsca po wszystkich zakątkach ziemi.

Nauka w Trani

Naukę w drugiej klasie liceum (maturalnej) rozpoczęłam spóźniona, bo 28.XI.1945. Było nas w tejże klasie tylko 6 koleżanek z Algieru, jako najmłodsze wiekiem spośród wszystkich. Kolegów starszych od nas o około pięć lat było 12-tu, przybyłych z różnych stron (Ryc. 4 i 5). Nauka trwała do czerwca 1946 roku. Co mogłam zapamiętać z tak krótkiego okresu czasu? Jedyne to najważniejsze, że w dniu zdawania matury byliśmy głodni, bo nikt nie zadbał o to, aby nam pozostawić obiad w kuchni. Ale oczywiście pamiętam też, że przez pewien czas byliśmy zapraszani na podwieczorki do Domu PCK, położonego w bliskości. Tam nawet trochę pracowałam w czasie wakacji i dostałam wynagrodzenie w naturze, czyli konserwy, które zawiozłam mamie do szpitala. Był on ponad miarę przepełniony chorymi. Ze strachem chodziło się tam w odwiedzinach. Na oddział wewnętrzny przechodziło się przez wielką „halę” z całym tłumem chorych zainfekowanych chorobami zakaźnymi.

Mieszkaliśmy w internacie. Chodziłyśmy 3 razy dziennie, trójkami, ubrane w mundurki, ze śpiewem na ustach (piosenki akowskie) do obozu na posiłki (Ryc. 6). Kierowniczką internatu była pani Hanna Krzyżanowska, a jej zastępczynią p. Młotkowska. Dziewczęta od czasu do czasu jeździły na zabawy taneczne do Matery, gdzie byli polscy oficerowie, tam grała orkiestra wojskowa i spędzały czas w miłym nastroju. Wiele z nich powychodziło za mąż za partnerów, z którymi tańczyły. Obecnie przebywają a Australii, Wielkiej Brytanii lub USA.

Pewnego dnia do internatu przyszła wiadomość, że nasz kolega oczekujący wraz z matką i siostrą na transport z Algieru do Polski w marcu 1946 r. – nie żyje. Niespodziewanie został on zastrzelony na ulicy El-Biaru przez pijanego marynarza francuskiego. Tragiczny finał rozegrał się w sądzie, matka winowajcy – Francuska, w unижony sposób (klęcząc) błagała o litość i o darowanie kary jej synowi.

Najwięcej zapadły mi w pamięć wycieczki zorganizowane do ważnych miejsc we Włoszech w dwóch grupach i bliskich odstępach czasu. Jechałyśmy w dużych samochodach krytych plandekami, wyposażonymi w długie ławki. Najpierw do Neapolu zwiedzić okolice Herkulanum i sam Wezuwiusz. Nie wszyscy podołali wspinaczce do samego wierzchołka krateru. Po dawnych wybuchach wulkanu na zastygłej lawie rosły czerwone kwiaty na długich łodygach. Na Capri przewoźnicy ukazywali nam uroki Lazuruwej Groty i ostrzegali przed nisko położoną skałą, a więc głowy nasze musiały być pochylone. Na wzgórzu znajdowała się willa Axel Muntha, częściowo zamieniona na muzeum, gdzie mieściły się starożytne zabytki m. in. skarby wydobyte z dna morza jak np. kamienne płyty, pokryte mozaikami, na których podobno kobiety prały bieliznę. Sam właściciel nie wyszedł do nas, bo był już ociemniały, ale Księgę z San Michele, jego autorstwa, każdy powinien znać. Zwiedzaliśmy też Białą Grotę jako fenomen natury, gdzie zobaczyliśmy zwisające, jakby sople skalne.

Ryc. 6. Trani, przejście dziewcząt z internatu do obozu na obiad.
Autorka pierwsza w środkowym rzędzie.

W Rzymie zwiedzaliśmy chyba wszystkie katedry, a do fontanny di Trevi wrzucaliśmy monety, aby w legendarnym przekonaniu ponownie znaleźć się w tym miejscu. W dniu, kiedy byliśmy w Watykanie, papież niestety nie udzielał audiencji. 12 maja 1946 roku w 11 rocznicę śmierci marszałka Piłsudskiego, pod jego pomnikiem, jakaś delegacja składała kwiaty w parku im. Gen. Garibaldi – bohatera narodowego Włoch. Widzieliśmy też Forum Romanum, Colosseum – wielki amfiteatr rzymski i inne zabytki. Jeszcze wcześniej byliśmy w Pompei – zdaję sobie sprawę, że nie opisuję tej wycieczki po kolei.

Największym wrażeniem było dla nas Monte Cassino, sam klasztor O.O. Benedyktynów uległ prawie całkowitemu zniszczeniu, a cmentarz Polaków był zadbany. Wokół płyty z nagrobkami widniał napis: „Przechodniu powiedz Polsce, że polegliśmy wierni jej służbie.” Pamiętam, że na wzgórze jechało się niebezpiecznymi serpentynami. Końcowym etapem podróży było krótkie zwiedzanie Mediolanu i otrzymanie biletów na jakąś operę w Teatrze La Scala.

Pod koniec nauki w szkole, trzech chłopcy a nasi koledzy, zostali wytypowani przez środowisko duchownych na studia na wyższych uczelniach w Madrycie. Byli to: **Władysław Bobrek** (drużynowy harcerzy), który wybrał chemię. Po studiach wyjechał do Peru i związał się z Uniwersytetem w Trujillo. **Adam Włodarczyk**, wybrał medycynę i pracuje jako wzięty lekarz w USA. **Zdzisław Grudziński** wybrał kierunek inżynierski i podobno wrócił do Polski. Wszyscy wyżej wymienieni otrzymali stypendia pochodzące z Watykanu. Byliśmy też uczeni propedeutyki filozofii i religii przez nieocenionego teologa ks. Dr Franciszka Mączyńskiego, więźnia obozów jenieckich. Uczestniczyliśmy w odprawianych przez niego mszach św. w pobliskiej kaplicy. Ks. dr F. Mączyński do końca życia pracował w Pontificio Istituto Polacco w Watykanie. Długie

lata otrzymywałam od Niego pozdrowienia na kolorowych widokówkach (również z Papieżem Janem Pawłem II), oraz fotografie (ryc. 7).

Wyjazd do Wielkiej Brytanii i powrót do Polski

Trani opuściłam wraz z mamą, odebraną w ostatniej chwili ze szpitala, udając się grupowo 13 sierpnia 1946 r. do Anglii, przede wszystkim drogą lądową. Najpierw dotarliśmy do portu Calais we Francji a stamtąd drogą morską, po uspokojeniu się olbrzymiego sztormu na kanale La Manche, do Dovru w Anglii. Zamieszkałyśmy w obozie West Chilmington koło Pulborough w hrabstwie Sussex. Po pewnym czasie mamę przeniesiono do szpitala w Diddington (a może Doddington?) a potem do Storrington. Aby nie marnować czasu i móc przebywać w ogrzewanym baraku (w innych panował okropny ziąb) wykonywałam robotki ręczne z włóczki na drutach, za co mi sownie zapłacono.

Ryc. 7. Grono Pedagogiczne (na pierwszym planie) i uczniowie w Trani.

Pod koniec maja 1947 roku wyruszyliśmy pociągiem z południa Anglii na północ (z trzema przesiadkami) do Szkocji. Potem z portu Leith wypłynęliśmy, wraz z innymi repatriantami, statkiem „Eastern Prince” do Gdańska. Na miejscu byliśmy 12 czerwca a już następnego dnia dotarliśmy do Krakowa. To wreszcie w Krakowie, 13 czerwca 1947 roku, skończyła się nasza tułaczka uchodźcza, a zaczęło, równie nie lekkie, życie w upragnionej ojczyźnie.

Przed wyjazdem z obozu w Anglii do Szkocji kierownictwo kilkakrotnie zachęcało mnie do zastanowienia, czy rzeczywiście chcę trwać w postanowieniu o powrocie do Polski. Ja byłam niezłomnie, samodzielnie i patriotycznie nastawiona do swojej decyzji, ale moja chora mama miała odmienne zdanie, gdyż przebywając w szpitalu doszły ją słuchy, że powracający z zagranicy repatrianci

są traktowani od początku bezdusznie, jeśli nie okrutnie, przez samych rodaków w kraju.

W Gdańsku przyjmowano nas w celu załatwienia niezbędnych formalności. Przyznam, że to, co zobaczyłam przeraziło mnie do głębi, czułam potrzebę ucieczki na statek, bo tak wyglądało przyjmowanie nas: sala była pusta, bez krzeseł i ławek, z okienkiem, do którego ustawiała się kolejka po różne skierowania do miejsca zamieszkania. Jakaś Angielka, żona polskiego wojskowego, z dzieckiem na ręku raz po raz oglądała się za siebie, co wzbudziło zainteresowanie innych oczekujących w kolejce. I co ujrzałam? W rogu sali stała oparta o ścianę ogromna siekiera, która była dla nas jakimś złowieszczym symbolem, sposobem ostrzeżenia. To ja ponosiłam winę za to, że przyjechałyśmy, ale dosłownie pchała mnie jakaś niewidzialna siła „przeznaczenia” – do umiłowanej Ojczyzny. Teraz trzymając w ręku zapomniany paszport z Algieru wystawiony przez konsula R. Putryńskiego w 1944 roku, stwierdziłam, że mogłam jeszcze zawrócić, bo miałam miesiąc czasu (termin ważności brzmiał 22 lipca 1947 r.). Szczęśliwie jednak byłam już w rodzinie, z mamą i tatą.

Nie mieliśmy mieszkania (nie mogliśmy wrócić do tego, opuszczonego w 1939 roku), ani żadnego dobytku. Gdy po około czterech miesiącach dostaliśmy z „przydziału” upragnione mieszkanie, okazało się ono o bardzo prymitywnym standardzie. Nie mieliśmy też, żadnego wyposażenia do niego. Jedyńm komfortem była zimna woda ciekąca z kranu kuchennego. Toaleta była wspólna na drewnianym ganku, oczywiście bez zbiornika na wodę. Kuchnia o dziurawej ścianie i prowizorycznie zabezpieczonym suficie wyraźnie nosiła ślady potężnego wstrząsu, jaki miał miejsce obok, w czasie zniszczenia III-go mostu na Wiśle, gdy wycofywali się Niemcy i wyzwalamo Kraków, w styczniu 1945 roku. Było to przy ul. Wita Stwosza 11/6, później zmieniono jej nazwę na ul. Piwną (w Podgórzu).

Ojciec pracował w magistracie, nikt nam nie pomagał, a życie zaczynaliśmy, od przysłowiowego garnuszka. Żyliśmy w ubóstwie, bo przez cały okres studiów (anglistyka) na Uniwersytecie Jagiellońskim odmawiano mi przyznania stypendium (podobno kierując się względami powrotu naszego z Zachodu a nie ze Wschodu). Tak przynajmniej oceniała to organizacja „Bratniak”, która wizytowała nasze mieszkanie. Często podejmowałam próby zaangażowania się do jakiejś pracy zarobkowej, ale proponowano mi tylko pełne etaty, których nie mogłam przyjąć ze względu na studia stacjonarne i opiekę nad obłożnie chorą mamą. Mimo nadmiaru obowiązków zaraz po otrzymaniu absolutorium uczelnianego objęłam pierwszą pracę, niezwiązaną ze studiami, w lutym 1952 roku, równocześnie pisząc pracę magisterską. W Instytucie Botaniki PAN (była to moja czwarta i ostatnia praca trwająca ponad 25 lat) pracowałam w bibliotece, prowadząc wymianę zagraniczną publikacji.

Niezwykłym etapem naszego rodzinnego życia było przygarnięcie latem 1948 roku, zaleknionego, rocznego psa „Żaby” przypominającego owczarka nizinnego. To inteligentne zwierzątko doznało u nas wielkiej metamorfozy i w ciągu półroczka przekształciło się w wierne i uczuciowe. „Żaba” była towarzyszką mojej obłożnie chorej mamy przez wiele godzin nieobecności ojca i mojej w ciągu dnia. Rozumiała każde prawie słowo i polecenie, bo tak nauczyła ją mama. Darzyła nas wyjątkowym przywiązaniem, ale została otruta przez złych

ludzi. Od tej pory, czyli po 25 marca 1955 roku u ojca wystąpiły pierwsze objawy b. poważnej choroby trwającej 10 lat (aż do śmierci).

*

PS. Pamiętnik został napisany z potrzeby serca w imię: „póki życie trwa i pamięć nie zawodzi”.

Romana Łukasik

• **SPRAWOZDANIE Z MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI PN. „LEKARZE POLSCY NA SYBERII OD XVIII DO XX WIEKU” ZORGANIZOWANEJ DZIĘKI FINANSOWEJ POMOCY URZĘDU MIASTA ŁODZI**

Konferencja odbyła się w Łodzi w dniach od 29 do 31 października 2007 r. w pomieszczeniach Instytutu Medycyny Pracy przy ul. Św. Teresy 8. Patronat Honorowy nad konferencją objął Prezydent Miasta Łodzi pan dr Jerzy Kropiwnicki. Konferencję zorganizowały następujące instytucje:

1. Katedra i Zakład Historii Medycyny i Farmacji Uniwersytetu Medycznego w Łodzi;
2. Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny i Farmacji;
3. Komisja Badań nad Historią Syberii Komitetu Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Honorowym Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego był JM Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi pan prof. dr hab. med. Andrzej Lewiński. Spiritus movens Konferencji, czyli główny jej inspirator i realizator – prof. dr hab. med. Jerzy Supady – sprawował de facto funkcję koordynatora wszelkich poczynań związanych z organizacją spotkania, przewodząc Komitetowi Organizacyjnemu. Poza tym do Komitetu Organizacyjnego weszli w charakterze wiceprzewodniczących panowie profesorowie: Zbigniew Wójcik z Warszawy i Antoni Kuczyński z Wrocławia oraz członkowie: Pani Bożena Kuzara, Pani mgr Marta Miśkiewicz i Pan mgr Piotr Machlański (związani z Katedrą i Zakładem Historii Medycyny i Farmacji Uniwersytetu Medycznego w Łodzi).

Problematyka konferencji obejmowała następujące bloki zagadnień tematycznych:

1. Lekarze polscy na Syberii jako więźniowie i zesłańcy;
2. Lekarze polscy pracujący dobrowolnie na Syberii;
3. Lekarze polscy w armii rosyjskiej;
4. Lekarze polscy biorący udział w badaniach i rozwoju cywilizacyjnym Syberii;
5. Lekarze polscy w Armii gen. Władysława Andersa.

Dwudniowy program obrad uwzględnił 32 referaty, w tym wystąpienia gości z Rosji, wygłaszane przede wszystkim w auli Instytutu Medycyny Pracy. Ramowy plan konferencji obejmował uroczystość inauguracyjną z udziałem Prezydenta Miasta Łodzi, w zastępstwie którego przybyła do Instytutu Medycyny Pracy pani Wiceprezydent Miasta Łodzi Halina Rosiak, oraz JM Rektora Uniwersytetu Medycznego w Łodzi pana prof. Andrzeja Lewińskiego. Organi-

zatorzy zaprosili na inaugurację łódzkiego duszpasterza akademickiego ks. Pawła Sudowskiego i prezesa „Wspólnoty Polskiej” pana prof. Andrzeja Stelmachowskiego oraz dyrektora Instytutu Medycyny Pracy pana prof. Konrada Rydzyńskiego; dwaj ostatni z powodu rozlicznych obowiązków nie zaszczylicili swoją obecnością uroczystości otwarcia konferencji. Po powitaniu gości przez prof. Jerzego Supady’ego wygłosili kolejno okolicznościowe przemówienia: Wiceprezydent Miasta Łodzi pani Halina Rosiak, JM Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi pan prof. Andrzej Lewiński, duszpasterz akademicki ks. Paweł Sudowski, pan prof. Zbigniew Wójcik oraz pan prof. Antoni Kuczyński. Poza tym Wiceprezydent Miasta Łodzi Pani Halina Rosiak i JM Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi Pan prof. Andrzej Lewiński złożyli na ręce prof. Jerzego Supady’ego pisemne pozdrowienia dla uczestników konferencji oraz wyrazy uznania dla jej organizatorów.

W pierwszym dniu obrad (29 października) odbyły się dwie sesje naukowe. Pierwszą prowadził pan prof. Tadeusz Brzeziński, drugą pan prof. Antoni Kuczyński. Drugi dzień obrad (30 października) podzielony był na trzy sesje, którym przewodniczyli kolejno panowie profesorowie: Zbigniew Wójcik z Warszawy, Roman Meissner z Poznania, Jerzy Supady z Łodzi i Albin Głowacki z Łodzi.

Uczestników konferencji, którzy przyjechali do Łodzi, zakwaterowano w Instytucie Medycyny Pracy. Tamże serwowano dla nich posiłki (śniadanie, obiad, kolacja), a w przerwach obrad przygotowywano kawę, herbatę i ciastka. Wszyscy obdarowani zostali materiałami promującymi miasto Łódź i Łódzki Uniwersytet Medyczny, a także otrzymali identyfikatory z nazwą i datą konferencji oraz z imieniem i nazwiskiem. Posiadający znaczne walory edytorskie, wydrukowany na kredowym papierze program konferencji zawierał na stronie tytułowej herb miasta Łodzi oraz informację, iż „Międzynarodowa konferencja *Lekarze polscy na Syberii od XVIII do XX wieku*, zorganizowana (została – J.S.) dzięki finansowej pomocy Urzędu Miasta Łodzi”. Wewnątrz broszurki programu zamieszczono dwa wiersze więźniarki GUŁagu, poetki Beaty Obertyńskiej („Gwiazda Polarna”, „Suplikacje”) oraz fotografię więźniów i mapkę Syberii. Ponadto na sali obrad (aula) zawieszono wykonany przez artystę plastyka pionowy transparent z napisem informującym o nazwie i dacie konferencji, zaopatrzony również w herb m. Łodzi.

Kolejnym przedsięwzięciem promocyjnym m. Łodzi była uroczysta kolacja (29 października, godz. 20) w zabytkowych wnętrzach eleganckiej restauracji pod nazwą „Klub Spadkobierców” przy ul. Piotrkowskiej 77, poprzedzona pamiątkową fotografią w wykonaniu artysty fotografa w stroju z la belle epoque. Podobne intencje promocyjne przyświecały organizatorom konferencji, którzy zaprosili jej uczestników na autokarową wycieczkę z profesjonalnym przewodnikiem po Łodzi w dniu 31 października br. Trwające 5 godzin zwiedzanie miasta uwzględniało w programie m.in. Cmentarz Żydowski, pałac fabrykanta Poznańskiego, Manufakturę, pałac fabrykanta Kindermana, Muzeum Kinematografii w pałacu fabrykanta Scheiblera, Stare Miasto, Plac Wolności, fragment ulicy Piotrkowskiej, ciągi ulic m.in. Narutowicza, Gdańskiej, Zachodniej, Zielonej, Al. Kościuszki i Wojska Polskiego. Poza tym zaprezentowano gościom niektóre skupiska miejskiej zieleni, m.in. parki: im. Matejki, Moniuszki, Staszica, Poniatowskiego, a także łódzkie dworce (Fabryczny i Kaliski) i ko-

ścioły (m.in. Katedrę). Pokazano również ciekawe przykłady łódzkiej architektury fabrycznej z przełomu XIX i XX wieku. Powrót do Instytutu Medycyny Pracy wiódł ulicą Rokicińską oraz Alejami Piłsudskiego i Włókniarzy.

Na zakończenie organizatorzy konferencji obdarowali przybyłych do Łodzi gości publikacjami książkowymi na temat dziejów łódzkiej opieki zdrowotnej autorstwa prof. Jerzego Supady'ego. Uczestnicy konferencji bardzo chwalili jej wysoki poziom merytoryczny (naukowy) oraz aspekt organizacyjny spotkania. Zaskoczeni byli urodą miasta, którego albo nie znali, albo znali bardzo powierzchownie. Komplementy będące udziałem wszystkich gości, stanowiły dla organizatorów miłą nagrodę za realizację zamysłu konferencji i trudy z nią związane.

Konferencja znalazła szeroki wydźwięk w lokalnych mediach. Mówiono o niej w łódzkiej audycji telewizyjnej, w miejscowych rozgłośniach radiowych a w lokalnej prasie („Dziennik Łódzki”, „Expres Łódzki”) opublikowano informacje na jej temat. Organizatorzy wysłali sprawozdania z Konferencji do kilku ogólnokrajowych czasopism naukowych („Przegląd Wschodni”, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny”, „Analecta”). Referaty wygłoszone na konferencji zostaną w najbliższym czasie ogłoszone w formie publikacji książkowej i stanowić będą interesujące kompendium wiedzy o działalności lekarskiej Polaków za Uralem.

Jerzy Supady

• PRZYWRACANIE PAMIĘCI

Latem 2007 roku na cmentarzu w miejscowości Siołki k. Luszniewa na Białorusi staraniem członków tamtejszej Polskiej Macierzy Szkolnej został wzniesiony pomnik nagrobny generała Józefa Kopcia uczestnika powstania kościuszkowskiego (1794). W dziejach związków polsko-syberyjskich to postać powszechnie znana, bowiem dostał się on do rosyjskiej niewoli w bitwie pod Maciejowicami i zesłany został na Kamczatkę. Jego wspomnienia z zesłania obfitują w wiele realiów kulturowych dotyczących syberyjskich etnosów, przybliżają widoki syberyjskich miast owych czasów, tundry i tajgi oraz panujących tam warunków klimatycznych. Józef Kopeć związany był z Ziemią Braclawską na terenie dzisiejszej Białorusi, tam bowiem miał rodzinny majątek, który został skonfiskowany po upadku powstania. Po pewnym czasie odzyskał go jednak i osiadł w rodzinnym majątku ciesząc się wolnością oraz szacunkiem okolicznych dworów i ich mieszkańców. Tam zmarł i pochowany został w rodzinnej kaplicy grobowej. Nie zachowała się ona jednak do naszych dni, ale za to przetrwała pamięć o walecznym generale. Stąd też mieszkający tam Polacy odgrzebują stale polskie wątki związane z historią tej ziemi. Postanowiono więc wskrzesić pamięć o ich „ziemlaku”, powstańcu i zesłańcu na Kamczatkę poprzez ufundowanie mu symbolicznego grobu.

Projektantką pomnika była Eulalia Pietkiewicz. Na czarnej granitowej jest wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, poniżej zaś napis: śp. Józef Kopeć generał powstania kościuszkowskiego, data urodzin i śmierci. Na płycie nagrobnej widnieje herb Kopciów: Kroje i pierścień z napisem „Ojczyzna Obrońcy Swemu”, który za powstańczą waleczność J. Kopeć otrzymał od Naczelnika Tadeusza Kościuszki

Pomnikiem opiekują się: parafia Dryświaty, szkoły w miejscowościach: Karasino, Dryświaty, Mieżany, Opsa, Kupczeli oraz Polska Macierz Szkolna istniejąca od ponad 100 lat, a jej działalność na Białorusi została wznowiona 10 lat temu. Prezesem Macierzy jest Stanisław Sienkiewicz a jej oddziały znajdują się w Mińsku, Brześciu, Wilejce i Brasławiu. Macierz Szkolna poszerza wiedzę o polskiej kulturze i historii, opiekuje się grobami bohaterów „Kraju Ojcowskiego”, organizuje konkursy plastyczne, poetyckie i sportowe zgodnie z dewizą „Pamiętajmy, że Polska tam gdzie jesteśmy my.”

Mieczysław Kopeć

• TESTAMENT ZESŁAŃCA

Godnym uwagi i przedstawienia współczesnemu pokoleniu jest testament Włodzimierza Jalskiego, zesłanego na Syberię po 1863 roku, gdyż odmówił przysięgi na wierność Carowi. Umarł tam w 1875 roku Nie wiem kim był, ani też dlaczego ten jego testament wydrukowany został w 1939 roku w „Gazecie Rolniczej, z dnia 11 marca. Być może zachwycił kogoś, tak jak mnie, wzorcem życiowej postawy, nakazanej jego potomnym. Upowszechniam ten interesujący, zarazem budujący dokument przeszłości, jako prawnuczka zesłanego z Wilna na Sybir w 1848 roku spiskowca Franciszka Dyonizego Cywińskiego herbu Puchała i wnuczka Tadeusza Zygmunta Więckowskiego herbu Prus, którego starszy brat Wandalin, uczestnik Powstania Styczniowego, zesłany na Sybir nigdy do kraju nie wrócił i stracił wszelki kontakt z rodziną. Odnalazł ją 110 lat później jego wnuk Walentyn Wienckowski

*Maria Radomska
Sanitariuszka AK „Wacka” w 1944 roku*

*

TESTAMENT DLA MOICH SYNÓW, DLA ODCZYTYWANIA CO ROK W ROCZNICĘ MOJEJ ŚMIERCI

1. *Redde quod debes...* Bogu oddawaj złoto miłości, kadzidło modlitwy i mirrę pokuty.
- ✓ Rodzicom cześć – a po śmierci pomoc duchową. Starszym – uszanowanie, przełożonym – posłuszeństwo, słudze – zapłatę. Bliźniemu uprzejmość i pomoc.
- ✓ Wiernie spełniaj wszelki obowiązek. Długi oddawaj. Obietnic dotrzymuj. Nie spóźniaj się nigdy ani minutę.
- ✓ W małych i wielkich rzeczach zachowaj porządek. Miarą porządku niech ci będzie wszystko moc zjednywać po ciemku.
- ✓ Czyń rzecz każdą, jak gdyby była jedyną na świecie. Co mogłeś lepiej zrobić – jest źle zrobionym.
- ✓ W sporze z bliźnim wstawiaj się w jego położenie, abys mu krzywdy nie żądał, ale nawet nie mógł jej żądać.
- ✓ Rano wstawaj! W tym są skarby zdrowia, rozumu, czci i dóbr wszelkich.
- ✓ Zdrowia nie marnuj żadnym zbytkiem, choćby rzeczy dobrej w sobie. Nie rób z dnia nocy.

- ✓ Miej sobie za szczególną przyjemność jadać umiarkowanej jeszcze od zwierząt; one jadają do sytości, nigdy do przesyty.
- ✓ Głupim jest, kto o zdrowie nie dba, póki mu służy, a potem ofiaruje Bogu i ludziom niedołączną pracę i próżne stękanie.
- ✓ Nie ufaj sobie więcej niż drugim. Jeśli bowiem siebie znasz, to wiesz, żeś słaby.
- ✓ Staraj się nie palić tytoniu. Palenie drażniąc nerwy prowadzi do picia, a wódka odziera człowieka z godności i wszelkiego dobra. Unikaj też gry w karty – tego pracowitego próżniactwa.
- ✓ Nie marnuj ani grosza, ani minuty.
- ✓ Kochaj się w prawdzie, nie obrażaj jej nawet żartem.
- ✓ Poważaj każdego i bądź dla niego w sercu życzliwy, a nie tylko zewnętrznie uprzejmym.
- ✓ Takie oto cnoty Tobie tu przedstawiam, abyś je zamięłował miłością przodków.
- ✓ Wystrzegaj się dumy ziębiącej serce.

• **ODSŁONIĘCIE POMNIKA PAMIĘCI GEN. A. E. FIELDORFA „NILA” – SYBIRAKA**

Generał August Emil Fieldorf „Nil” był legendarnym dowódcą, ściśle związanym z Armią Krajową. Jako żołnierz Związku Strzeleckiego utworzonego przez Józefa Piłsudskiego, przeszedł 14 sierpnia 1914 roku chrzest bojowy pod Brzegami. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920, a w 1939 roku walczył w składzie 12 Tarnopolskiej Dywizji Piechoty. Ciesząc się bezgranicznym zaufaniem przełożonych był pierwszym emisariuszem wysłanym z Londynu do kraju. Od jesieni 1942 roku był komendantem „Kedywu”, przyjmując pseudonim „Nil”. Dnia 29 września 1944 roku mianowany został generałem brygady. Aresztowany przez NKWD w 1945 roku, nie rozpoznany i brany za kogoś zupełnie innego, znalazł się w sowieckich łagrach na Syberii gdzie pracował przy wyrębie tajgi.

Do kraju powrócił ciężko chory w 1947 roku. Tutaj na Jego trop trafił Urząd Bezpieczeństwa i w roku 1950 został on aresztowany i poddany uciążliwemu pod względem fizycznym oraz psychicznym śledztwu. Postanowienie o aresztowaniu wydała ppłk. Helena Wolińska będąca prokuratorem wojskowym, obecnie przebywająca w Londynie. Wyrokiem Sądu Wojskowego skazano Go na śmierć. Ówczesny Prezydent Bolesław Bierut, nie orzekł wobec Generała prawa łaski. Wyrok wykonano przez powieszenie dnia 24 lutego 1953 roku. Do dzisiaj mimo usilnych starań nie ustalono miejsca jego pochówku.

W 89 rocznicę Święta Niepodległości (2007) w Parku im. dr H. Jordana w Krakowie odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika Generała „Nila”, dłuta artysty rzeźbiarza Wojciecha Sieka. Fundatorami zaś byli Kazimierz Holewa, prezes Towarzystwa Parku im. dr H. Jordana oraz dr Halina Barycz. W parku tym znajdują się pomniki: Jana Pawła II, ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego, Józefa Piłsudskiego, Ignacego Paderewskiego, Marii Skłodowskiej-Curie i innych wybitnych Polaków. Uroczystość uświetniły: kompania honorowa Wojska Polskiego, orkiestra garnizonu krakowskiego, szwadron ułanów, drużyny harcerskie, organizacje kombatanckie, w tym także Związku Sybiraków i liczne

rzesze mieszkańców Królewskiego Miasta Krakowa. Odczytano został list córki Generała Marii Fieldorf-Czarskiej, zaś w uroczystości brała udział Jego bratani-
ca Prof. Maria Fieldorf, z mężem Leszkiem Zachutą.

Wiesław Krawczyński

1. GOŚĆ Z MOSKWY

W grudniu 2007 roku przybyła do Krakowa studentka Uniwersytetu Historii i Archiwum w Moskwie Nastia (Anastazja) Podborska, która przygotowuje rozprawę doktorską na temat Polaków w Kraju Krasnojarskim. Przyjechała w ramach wymiany jej uczelni z Uniwersytetem Jagiellońskim. Jest ona córką Olgi Podborskiej mieszkającej w Krasnojarsku, która przed laty rozpoczęła śledzenie polskich śladów w tej części Syberii i doprowadziła do powstania tam organizacji zrzeszającej członków mających świadomość swoich polskich korzeni. We współpracy z Biblioteką Jagiellońską zorganizowała ona w Krakowie wystawę ukazującą związki Polaków z Krasnojarskiem na której prezentowane były także pamiątki zesłańcze członków Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków, których wichry wojny rzuciły w tę część Syberii.

Pamiętam także i swój tam pobyt, przeto starałem się opowiedzieć Nastii ten fragment mej zesłańczej tułaczki. Przeprowadziła ona także w Krakowie kilka wywiadów z sybirakami, którzy ongiś przebywali w Krasnojarskim Kraju. Interesowały ją warunki życia na zesłaniu, rodzaje wykonywanej pracy, relacje między zesłańcami różnej narodowości, stosunek miejscowych władz do zesłańców, formy dyscyplinowania ich oraz represyjność obozowych nadzorców. Wywiady te dadzą jej możliwość przedstawienia zesłańczych losów w przygotowywanej rozprawie doktorskiej i skonfrontowania ich z materiałami zachowanymi w rosyjskich archiwach. Urzeczona naszym krajem oraz Królewskim Miastem Kraków, Nastia ma zamiar przyjechać tu kolejny raz by uczestniczyć w kursie języka polskiego.

Wiesław Krawczyński

SPRAWOZDANIE Z PRAC KOMISJI SYBERYJSKIEJ KOMITETU HISTORII NAUKI I TECHNIKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK W 2007 ROKU

W okresie sprawozdawczym Komisja pracowała w końcówce kadencji organów korporacyjnych Polskiej Akademii Nauk z lat 2003-2007 oraz w pierwszych miesiącach kadencji 2007-2010. Wcześniej nazywała się Komisją Badań nad Historią Syberii – obecnie Komisją Syberyjską (powrót do dawniejszej nazwy). W minimalnym stopniu zmienił się jej skład osobowy. Pozostały, jak wcześniej, formy działania: posiedzenia naukowe, udział w krajowych i zagranicznych konferencjach naukowych, pomoc merytoryczna osobom zainteresowanym problematyką syberyjską.

Komisja liczy 23 członków, z czego 7 osób jest członkami Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, a pozostali to wybitni specjaliści z różnych ośrod-

ków naukowych w kraju. Są to: **a) Członkowie Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN:** prof. Stanisław Alexandrowicz, Toruń; prof. Kalina Bartnicka, Warszawa; prof. Maria M. Blombergowa, Łódź; dr Hanna Krajewska, Warszawa; prof. Antoni Kuczyński, Wrocław; prof. Zbigniew Wójcik, Warszawa, doc. Leszek Zasztowt, Warszawa; **b) Inni:** dr Anna Brus, Warszawa; prof. Wiesław Caban, Kielce; dr Mariusz Chrostek, Rzeszów; dr hab. Barbara Jędrychowska, Wrocław; dr Katarzyna Kość, Warszawa; doc. Edward Malak, Warszawa; dr Anna Milewska-Młynik, Warszawa; prof. Eugeniusz Niebelski, Lublin; dr Joanna Schiller, Warszawa; dr Zofia Strzyżewska, Warszawa; prof. Jerzy Supady, Łódź; mgr Lucyna Szaniawska, Warszawa; prof. Wiktoria Śliwowska, Warszawa, dr Dorota Zamojska, Warszawa; mgr Mahmud Taha Żuk, Warszawa.

Przewodniczącym Komisji z wyboru w Komitecie Historii Nauki i Techniki PAN, jest prof. Z. Wójcik, natomiast na wewnętrznym posiedzeniu Komisja wybrała prof. A. Kuczyńskiego jej wiceprzewodniczącym i mgr M. Taha Żuka na sekretarza. Wzorem lat poprzednich Komisja zbierała się 5 razy w roku na posiedzenia referatowe: trzy razy przed wakacjami i dwa razy po wakacjach, przy frekwencji od 15 do 20 osób, zawsze z dyskusją na wysokim poziomie merytorycznym.

Niemal w każdym posiedzeniu uczestniczyli także historycy ze Wspólnoty Niepodległych Państw, przebywający w tym czasie w Warszawie na stażach naukowych (PAN i uczelnie wyższe), bądź jako stypendyści Kasy im. Mianowskiego. Zwykle podczas posiedzeń wymieniano się informacjami o krajowych i zagranicznych konferencjach naukowych, w tym także na temat wsparcia merytorycznego udzielanego przez Kongres Polaków w Rosji polskim stowarzyszeniom na Syberii. Zawsze też prezentowano na posiedzeniach najnowszą literaturę dotyczącą kontaktów polsko-syberyjskich. Znaczna część referatów wygłaszanych na posiedzeniach była później publikowana na łamach „Wrocławskich Studiów Wschodnich” oraz „Zesłańca” redagowanych przez A. Kuczyńskiego.

Tytuły referatów na posiedzeniach: **22 stycznia 2007.** Zebranie tematyczne: Władysław Kotwicz (1877-1944), orientalista – 135. rocznica urodzin. Referaty: dr Jerzy Tulisow, Warszawa – Życie i działalność W. Kotwicza; dr Ewa Dziurzyńska, Kraków – Spuścizna W. Kotwicza w Archiwum PAN/PAU w Krakowie; mgr M. Taha Żuk, Warszawa – Karaimscy i muzułmańscy korespondenci W. Kotwicza; prof. Z. Wójcik, Warszawa - W. Kotwicz o Józefie Kowalewskim. **16 kwietnia 2007** – dr J. Tulisow, Warszawa – Z wizytą u Ewenków; mgr inż. Michał Książek, Warszawa – Dziś prawdziwych Ewenków już nie ma; dr Robert Wyszyński, Warszawa – Buriaci dzisiaj; mgr M. Taha Żuk, Warszawa – O trwałe upamiętnienie 80. rocznicy zgonu Bronisława Piłsudskiego. **4 czerwca 2007** – dr Mariusz Chrostek, Rzeszów – Z XIX-wiecznych polskich syberyków literackich; dr M. Pędracki, Warszawa – Wpływ sylwetek zesłańców na stereotypy obrazu Polaków wśród współczesnych Jakutów i Ewenków; prof. Z. Wójcik, Warszawa, prof. A. Kuczyński, Wrocław – Problematyka konferencji naukowych polsko-syberyjskich w 2007 roku; **15 października 2007** – prof. Z. Wójcik, Warszawa – Projekt monografii o wkładzie Polaków do rozwoju cywilizacyjnego Syberii. **12 grudnia 2007** – prof. Wiesław Caban, Kielce – „Bąk”, pismo satyryczno-moralne zesłańców politycznych w guberni penzeńskiej; mgr Stefania Skowron-Markowska, Wrocław – Maria Antonina Czaplicka i jej badania etnograficz-

ne na Syberii; mgr M. Taha Żuk, Warszawa – Grób Antoniego Muchlińskiego, orientalisty, na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie; prof. Rodżana Dugarowa, Ułan-Ude (Buriacja) – Kultura współczesnej Buriacji; prof. Z. Wójcik, Warszawa – śp. Prof. Gabriel Brzęk – w piątą rocznicę zgonu autora *Historii zoologii w Polsce*, Kraków 2007.

Szczególne wartości poznawczą miały referaty sesji poświęconej W. Kowalczykowi. Ponadto członkowie Komisji zdecydowali o przystąpieniu do pracy nad monografią o wkładzie Polaków do rozwoju cywilizacyjnego Syberii. Sprawą zainteresował się Instytut Historii Nauki PAN. Z inicjatywy mgr M. Taha Żuka podjęto starania o zabezpieczenie grobów wybitnych orientalistów: J. Kowalewskiego i A. Muchlińskiego) na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

W programie działalności Komisji żywe zainteresowanie budziły krajowe i międzynarodowe konferencje poświęcone tematyce syberyjskiej. Niemal wszyscy uczestnicy Komisji uczestniczyli z referatami w konferencjach organizowanych przez inne instytucje. Były to między innymi: **1.** Konferencja pod nazwą „Polacy w nauce i kulturze Tomska oraz Zachodniej Syberii” odbywająca się w dniach 10-13 czerwca 2007 roku we Wrocławiu. Jej organizatorem był Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. W konferencji brali udział członkowie Komisji: dr M. Chrostek, prof. A. Kuczyński, dr hab. B. Jędrzychowska i prof. Z. Wójcik; **2.** Konferencja „Polacy lekarze na Syberii XVIII-XX wiek”, odbyła się w dniach 28-30 października 2007 roku w Łodzi a jej organizatorem był prof. J. Supady z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi przy współpracy z Komitetem Historii Nauki i Techniki PAN. W niej również brali udział członkowie Komisji, a ponadto dwaj członkowie wspomnianego Komitetu: prof. T. Brzeziński i prof. R. Meissner; **3.** Kolejna konferencja nosiła tytuł „Polacy w Guberni Archangielskiej w XIX początek XX wieku” i odbywała się w Domu Polonii w Pułtusku w dniach 10-13 grudnia 2007 roku Jej organizatorem był Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Ponadto członkowie Komisji uczestniczyli w dwu konferencjach organizowanych przez Katolicki Uniwersytet Lubelski poświęconych także tematyce syberyjskiej. Obie organizował prof. Eugeniusz Niebelski. Pierwsza poświęcona była św. Rafałowi Kalinowskiemu, na której referat o Jego kontaktach z Benedyktem Dybowskim wygłosił Z. Wójcik, druga natomiast dotyczyła tematu powstańców styczniowych działających na Zachodzie Europy, (w tym Sybiraków) w której uczestniczył także prof. Z. Wójcik.

Wspomnieć również należy konsultacyjną rolę Komisji wobec osób przygotowujących rozprawy doktorskie i habilitacyjne. Ponadto Związek Sybiraków zwrócił się z prośbą do Komisji w sprawie rozpoznania problemu liczby Polaków deportowanych w latach 1939-1956 w głąb Związku Radzieckiego. Ze względu na charakter Komisji, której przedmiotem jest sprawa historii nauki, problem ten będzie konsultowany ze specjalistami.

Zbigniew Wójcik

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- [Jekatierina N. Tumanik] Е. Н. Туманик, *Александр Николаевич Муравьев: начало политической биографии и основание первых декабристских организаций*; redaktorzy N. P. Matchanowa i D. J. Rezun, Instytut Historii Syberyjskiego Oddziału Rosyjskiej Akademii Nauk, Nowosybirsk 2006, s. 372.

Przed upadkiem systemu komunistycznego główny nacisk w badaniach nad nielegalnymi rosyjskimi organizacjami w państwie carów kładziono na udział ich członków w „procesie rewolucyjnym”. Podciągano ich, często naginając lub stronnictwo selekcyjnie fakty, pod szablon „szlacheckich rewolucjonistów”. Recenzowana praca Jekatieriny N. Tumanik kandydata nauk historycznych w Instytucie Historii Syberyjskiego Oddziału Rosyjskiej Akademii Nauk poświęcona Aleksandrowi Nikołajewiczowi Murawjowowi (1802-1853) włącza się w nurt bardziej obiektywnego przedstawiania tych wydarzeń. Swą książkę Autorka traktuje jako istotny element do wolnego od nacisku systemu komunistycznego, poznania zróżnicowanego wewnątrznie ruchu dekabrystów. Nie bez racji przekonuje, że opracowanie biografii jego umiarkowanych działaczy pozwoli ustalić, co było typowe a co wyjątkowe w ich poglądach politycznych i postępowaniu.

Recenzowana książka składa się z bardzo obszernego wstępu, siedmiu rozdziałów, zakończenia, aneksu, częściowej bibliografii, indeksu osób i wykazu skrótów. Każdy rozdział Autorka kończy podsumowaniem. Celem monografii jest wszechstronne opisanie formowania się i przemian poglądów Aleksandra N. Murawjowa w pierwszym okresie jego życia, jego działalność w tajnych organizacjach politycznych do aresztowania w grudniu 1825 r., następującego po nim śledztwa i wyroku.

Podział na rozdziały jest trafny. Jego podstawą są łatwe do wyróżnienia, w wypadku Murawjowa, etapy życia bohatera książki. Lekturę pracy ułatwia umieszczenie przypisów bezpośrednio pod tekstem; śladowe stosowanie skrótów (ich wykaz zamieszczony na końcu pracy zawiera głównie nazwy archiwów) i podział monografii na podrozdziały. Tekst urozmaica kilka tabel.

Należy zaznaczyć, że Jekatierina N. Tumanik od kilkunastu lat zajmuje się biografią Aleksandra Murawjowa zarówno przed jak i po powstaniu dekabrystów. W kilkudziesięciu artykułach obszernie opisuje jego aktywność po 1826 r. (także po polsku: *Dekabrysta A.N. Murawjow i polscy zesłańcy w Tobolsku (1832-1833)*, „Zesłaniec” 2003, nr 12, s. 27-31).

Podstawę źródłową badań Autorki stanowią przechowywane w rosyjskich archiwach i oddziałach rękopisów (bibliotek, muzeum i Rosyjskiej Akademii Nauk) materiały ze śledztwa, akta własne organizacji, do jakich należał, jego własne teksty (głównie publicystyka), napisane przez A. Murawjowa pamiętniki – „Zapiski”; wspomnienia jemu współczesnych i korespondencja.

Jekatierina N. Tumanik z należytym krytycyzmem podchodzi do dotychczasowej, bardzo obszernej, literatury przedmiotu i wspomnień m.in. samego Aleksandra N. Murawjowa (np. na s. 116). Solidny warsztat badawczy ukazują też czytelnikowi przypisy. Zdecydowana większość z 1511 odsyłaczy zawiera wskazanie na źródła i opracowania, na których oparła się Autorka.

We wstępie słusznie zwraca uwagę na motywowaną komunistyczną ideologią pomijanie milczeniem umiarkowanej części ruchu dekabrystów, której zwolennicy w miarę radykalizowania się tego nurtu politycznego usunęli się z jego szeregów. W późniejszych latach wielu z nich wstąpiło do administracji państwowej carskiej Rosji. Jednym z nich był omawiany w książce Aleksander N. Murawjow (brat Michała – po latach słynnego wieszatela zwalczającego w bezlitosny sposób zwolenników powstań listopadowego i styczniowego na Litwie). Wstęp wszechstronnie przygotowuje czytelnika do lektury pracy. Jego większość (s. 9-34) zajmuje omówienie licznych rosyjskich publikacji poświęconych dekabrystom. W pierwszym rozdziale Autorka przedstawiła krótko rodzinę Murawjowów. Jej członkowie pełnili w XIX w. wysokie funkcje w administracji i wojsku carskiej Rosji. Ukazała wychowanie i wykształcenie, jakie otrzymał przyszły wybitny dekabrysta w domu rodzinnym. Ten ostatni uważa za oazę narodowej „dworskiej kultury sformowanej na podstawie historycznych tradycji” (s. 90). Studia Murawjowa na uniwersytecie Jekatierina N. Tumanik uważa za mało prawdopodobne. W drugim rozdziale ukazuje bohatera książki w okresie jego służby wojskowej przed wkroczeniem Napoleona w granice państwa carów. W trzecim omawia losy Murawjowa w trakcie wojny 1812 r. Autorka podkreśla duży wpływ, jaki na przyszłego dekabrystę miał jego udział w wojnie z Napoleonem i pobyt w Europie Zachodniej. Podobne znaczenie miały te dwa fakty także dla poglądów szeregu innych przyszłych dekabrystów. Kolejny rozdział (najmniejszy w monografii) przedstawia aktywność Murawjowa od powrotu w granice państwa carów do powstania dekabrystowskiego Związku Ocalenia (lato 1814 – początek 1816). Kolejny piąty i szósty rozdział ukazują działalność Murawjowa w Związku Ocalenia i Związku Dobra Publicznego (luty 1816 – czerwiec 1819). Zajmują one większość zasadniczej części pracy. Ostatni rozdział obejmuje lata 1819-1826. Jest poświęcony poglądom i pozycji społecznej Murawjowa po jego wycofaniu się z aktywnej działalności w szeregach dekabrystów. Niemal połowę tego rozdziału zajmuje ukazanie jego uwięzienia i losów od zbrojnego wystąpienia dekabrystów do skierowania bohatera książki, mocą wyroku sądowego, na Syberię (grudzień 1825 – lipiec 1826). Warto wspomnieć, że w ostatniej części pracy, omawiając poglądy historyczne Murawjowa (s. 296-309), Autorka przedstawia także jego polemikę z naszym wybitnym uczonym i politykiem Joachimem Lelewelem. W załącznikach umieszczono 4 dokumenty ilustrujące ewolucję poglądów Murawjowa. Są one opatrzone przypisami. Ostatni dokument, ze względu na swą specyfikę, na niecałych 6 stronach ma aż 99(!) odsyłaczy i dość obszerne wprowadzenie Autorki. Warto wspomnieć o ładnej kolorowej okładce książki m.in. z podobizną głównego bohatera. W samej pracy brak ilustracji, co w monografii o takiej te-

matyce nie dziwi. Z obowiązku recenzenta należy wspomnieć o paru mało istotnych drobiazgach utrudniających nieco lekturę. Szkoda, że Autorka nie rozwiązała skrótów przy zastosowaniu ich pierwszy raz w tekście pracy. Brak całościowego wykazu opracowań i źródeł wykorzystanych w monografii. Wyjątek uczyniła Autorka dla obfitego wykazu własnych artykułów dotyczących całego życia Murawjowa. Jest to zrozumiałe, niemniej dla polskiego czytelnika wygląda dość dziwnie. Zważywszy na wielkość i jakość literatury przedmiotu przyczyną takiego rozwiązania były zapewne finanse. Wspomniany brak niweluje jednak bardzo obszerne omówienie dotychczasowego stanu badań we wstępie, indeks osobowy i liczne przypisy. Cenna praca Jekatieriny Tumanik oparta na szerokiej bazie źródłowej warta jest polecenia każdemu, kto chce pogłębić swą wiedzę na temat dekabrystów. I na koniec dodajmy, że Autorka w swoich studiach historycznych podejmuje też tematykę dotyczącą dziejów Polaków na Syberii, i czyni to z dwóch powodów: pierwszy, że jest to nadal deficytowy problem w historiografii rosyjskiej i drugi, Katarzyna Tumanik ma świadomość swoich odległych polskich korzeni.

Tomasz Skrzyński

- ***Wieczory polskie*, pod red. ks. dr. Marka Żołoteńskiego, Nowa Ruda 2007, s. 150**

Współautorami książki pt. *Wieczory polskie* są: ks. dr Marek Żołoteński – duszpasterz kolejarzy oraz dr Janusz Radłowski i dr Antoni Lenkiewicz. Jest ona pokłosiem cyklicznych spotkań zainaugurowanych w 2003 r. przez ks. Marka noszących nazwę „Wieczory Polskie”. Spotkania składają się z dwóch części: wykładu historycznego oraz koncertu muzycznego. Organizatorami tego przedsięwzięcia są: Duszpasterstwo Dolnośląskich Kolejarzy, Dolnośląskie Towarzystwo Muzyczne (dyr. Maria Zawartko, radna Wrocławia), Wrocławskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych (prezes Olga Pleśniak), organizujące wystawy plastyczne oraz Towarzystwo Pomocy Hospicjum Ojców Bonifratrów we Wrocławiu (reprezentowane przez Grażynę Wałęgę). Wieczory odbywają się w trzeci wtorek każdego miesiąca o godzinie 17. w Klubie Kolejarza na Dworcu Głównym we Wrocławiu.

Książka zawiera 32 wykłady przedstawiające specyficzne losy Rzeczypospolitej od czasów konfederacji barskiej aż po okres drugiej wojny światowej. Nie sposób nie dostrzec kilku bardzo ważnych wątków tych dziejów przedstawionych rzetelnie i z wielkim znanstwem przedmiotu. Rzec można, że są to wartościowe kompendia wiedzy dotyczące rozbiorów Polski, powstania listopadowego i stycziowego, wielkiej emigracji, pierwszej wojny światowej i odzyskania niepodległości oraz drugiej wojny światowej i z jej czasów Polskiego Państwa Podziemnego, Powstania Warszawskiego oraz inne. Ambitne założenia autorów wykładów, by przedstawić te złożone problemy zostały spełnione. Przeto otrzymaliśmy książkę niezwykle potrzebną dla historycznej edukacji. Polecam ją nauczycielom historii w różnych typach szkół oraz uczniom bowiem omówione w niej zagadnienia zostały przedstawione niezwykle przystępnie, odwrotnie do niewdzięcznych w lekturze niektórych podręczników historii.

Nie sądzę, aby potrzebne było specjalne podsumowanie tej książki. Napiszę może tylko tyle, że jej lektura uczy i pozostawia autentyczny ślad w pamięci

dotyczący wielu omawianych w niej tematów. Zachęcam więc do jej lektury a organizatorom „Wieczorów Polskich” podpowiadam wzbogacenie spotkań o syberyjskie tematy, zwłaszcza, że we Wrocławiu istnieje najliczniejszy w Polsce Oddział Związku Sybiraków, którego członkowie prowadzą też zajęcia z młodzieżą szkolną. Jeśli kogoś zainteresuje ta książka informujemy, że można ją nabyć za zaliczeniem pocztowym kierując zamówienie do: Wydawnictwo „Biuro Tłumaczeń”, ul. Wieczysta 77/33, 50-550 Wrocław; tel.336-70-44; e-mail: gazetapolska@poczta.onet.pl

Bronisław Przesmycki

- **Antoni Lenkiewicz, Kazimierz Pułaski (1745-1779). Dla uczczenia bohatera Polski i USA w 225. rocznicę śmierci (w październiku 1779 r.) oraz w 260. rocznicę urodzin (w marcu 1745 r.), Wrocław 2004, s. 147.**

Zastanawiałem się czy w tym „Regale z książkami” prezentować piąte już wydanie tej opowieści biograficznej o Kazimierzu Pułaskim, które ukazało się w roku 2004. Uzasadniam więc ten wybór rocznicowym wydarzeniem bowiem właśnie w tym roku mija 240 rocznica Konfederacji Barskiej. Bez wątpienia jest to książka potrzebna i najważniejsza w niej jest to, że życie jej bohatera oplecione zostało interesującą faktografią. Jest tego nadmiar w 46 szkicach będących tytułowymi częściami książki takimi jak: Bezkrólewie, Akt Konfederacji w Barze, Konfederacki pułkownik, Okopy św. Trójcy, Komendant na Jasnej Górze, Chrzest bojowy w Ameryce i ranga generała, Dowódca amerykańskiej kawalerii i inne, składające się na obraz bogatego życia K. Pułaskiego.

Wiem, że w Warce jest (skromny, jedyny zresztą w Polsce) pomnik K. Pułaskiego, ale wiem też, że w Waszyngtonie sławi go wielki ekspresywny monument. Może ten przykład z Ameryki stanie się przesłanką do tego, że w kraju nad Wisłą np. w Warszawie, będziemy mieli kolejny monumentalny pomnik K. Pułaskiego. Czas by pomyślała o tym Pani Prezydent Warszawy! Nie ma też w stolicy Placu Konfederacji Barskiej, a i oto należy zadbać!

Powróćmy jednak do książki, którą naprawdę warto przeczytać. Jej treść pozwala zbliżyć się czytelnikowi do postaci tytułowego bohatera. Wartki tok narracji zmusza nas do tego abyśmy na przystanku myślowym poszli tropem życia K. Pułaskiego, by poznać wszelkie odmiany jego losu. Opisani w książce ludzie i ich sprawy jawią się w szerokim kontekście dziejów Rzeczypospolitej z czasów Konfederacji Barskiej i późniejszych jej powikłań politycznych, a autor książki posiadał wyborną zdolność koncentracji na tych wydarzeniach, których nam historia nie poskąpiła.

Otrzymałmy więc książkę interesującą, której autor rzetelnie wykonał swoje zadanie sprawiając, że po jej przeczytaniu stajemy się bogatsi o wiadomości dotyczące K. Pułaskiego, a za jego przyczyną pełniej jawi się nam obraz historycznych powikłań, które dotknęły Polskę owych czasów. Niech ta lakoniczna konstatacja stanowi zachętę dla czytelnika by sięgnął po tę ze wszechmiar interesującą książkę. Zapewniam, naprawdę warto!

Bronisław Przesmycki

- [Wanda Pelc, Genowefa Sadecka], *Zapiski sybirskie Wandy Pelc i Genowefy Sadeckiej*, Rzeszów 2007, s. 140.

Wiara w Boga, oddanie się Jego Opatrzności oraz szczere, głębokie modlitwy niejednokrotnie stanowiły ulgę strwożonym przez los ludziom, do których zaliczyć też należy ofiary zesłań w głąb Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej. Te osoby nauczyły się pokonywać pojawienie się zesłańczej niedoli i bez względu na okoliczności właściwie wypełniały swoje rodzinne obowiązki. Tak wiele miały też tolerancji, by znosić zniewagi i obrazy ze strony innych i na zadawany przez nich ból. Bywały przecież tam na syberyjskim zesłaniu takie sytuacje, w których człowiek zapominał nieraz twarze swoich bliskich, pamięć o Bogu pozostawała jednak wieczna i świeża, odnawiana częstokroć modlitwami i głęboką wiarą, że minie zły zesłańczy czas.

Prezentowane tu *Zapiski sybirskie* stanowią wspaniały opis takich właśnie chwil przepełnionych, głodem, ciężkimi chorobami oraz śmiercią na zesłaniu, tragedią, która wszechobecnie doświadczała człowieka. W książce możemy znaleźć historie, które niełatwo wyrzucić z pamięci, zapamiętane i opisane przez Wandę Pelc we wspomnieniach pt. *Z Towarni przez Omsk do Rzeszowa* oraz Genowefę Sadecką, z domu Pieczonka w relacji zatytułowanej *Dzieciństwo na katordze*. Wspomnienia poprzedza tekst Izabeli Mikuł zatytułowany *Zapiski z wędrówki „do straszliwych jurty”* podkreślający fakt, że właśnie tego rodzaju relacje sybiraków stanowią ważne i niezbędne uzupełnienie do poznania naszych losów na Wschodzie. W jego opisach rzetelność i prostota w obrazowaniu jest znaczącą wartością. „W tych *Zapiskach* nie ma zmyślenia. – podkreśla I. Mikula. Autorki starają się być wierne faktom. Zapisały to, co ich pamięć i relacje najbliższych pozwoliły zachować. Idąc za śladem tego zapisu, możemy wejść w ogrom cierpień Polaków tamtego pokolenia i podziwiać ich wolę życia i hart ducha.”

Część publikacji stanowią zdjęcia, zapiski z pamiętników i dokumenty, które by przetrwać po dziś dzień, musiały być szczelnie przechowywane, nawet w najskrytszych zakamarkach. Forma upamiętnienia zesłania właśnie w ten sposób jest niezwykle ważna i daje możliwość „wejścia” głębiej w autentyczność sybirackiego losu. Ukazana jest w nich tęsknota, wiara w przetrwanie i powrót do ojczyzny, do domu, który choć już dawno zdewastowany to jednak rodzimy, przywołujący na myśl wiele wspomnień, chwil szczęścia i smutku, lecz przede wszystkim czasu spędzonego w gronie bliskich. Uzupełnienie wspomnień z czasu zsyłki stanowią wiersze, ukazujące głęboką i szczerą wiarę w Najwyższego oraz siłę woli, by przetrwać. Wiersze współtowarzyszy z zesłania, autorów nieznanych, po utwory Marii Konopnickiej czy Adama Mickiewicza, wprowadzają w nastrój zadumy i refleksji.

Książka napisana w sposób przejrzysty, podzielona jest na dwie części: pierwsza opisująca losy Wandy Pelc, druga jest zajmującą relacją Genowefy Sadeckiej. Jak wcześniej wspomniałam bardzo istotnym dodatkiem do treści zapisków są zdjęcia, pisma urzędowe, listy, autentyczne strony z zesłańczych pamiętników. Część pierwsza przedstawia okres sprzed czasu zsyłki i początki tra-

gedii z nią związanej. Tragedii nie tylko ludzi, ale i zwierząt przywiązanych do swoich opiekunów. W opisach można znaleźć relacje z katorżniczej pracy, choć jakoby trapiły zesłanych żyjących w bardzo trudnych warunkach oraz nieludzkie traktowanie przez komendantów.

Ujmujące są opisy jak bezwzględnie eliminowano język polski, nawet pod postacią pieśni modlitewnych, nie wspominając już o literaturze. Jednak mimo tych srogich zakazów nie pozwolono ulecieć w zapomnienie historii, językowi czy kulturze polskiej. To matki uczyły swe dzieci o Bogu i Polsce. Jak pisze autorka, nad tymi osobami „czuwała Opatrzność” i dzięki wielkiej wierze, wysiłkom i trudom na sybirskim szlaku, ostatecznie powrócili do kraju, gdzie dla wielu z nich także nie było łatwo żyć z piętnem syberyjskiego zesłańca.

Druga część wspomnień autorstwa Genowefy Sadeckiej stanowi wspólny opis szczęścia dzieciennych lat oraz kontrastujący z nimi pobyt na zesłaniu. Pojawia się w nich wiele wątków opisujących sferę współżycia między ludźmi, w warunkach kiedy codziennością była trudna aura zła. Dotykają one wiele spraw jakie niosło tamtejsze życie i odnajdywania samego siebie oraz dokonywania nie łatwych przecież wyborów. Wywołują one różnorodne refleksje, zmuszające czytelnika do pamięciowych powrotów w czasy gułagu.

Wiele w tej relacji obrazów z zakamarków ludzkich postaw, jasnych i mrocznych. Ukazują też one propagandowe działanie, stosowane względem polskich dzieci przez sowiecki system edukacji, na szczęście nie skuteczny wobec matczynej troski o ich patriotyzm i wiarę w Opatrzność. Wartością tych opisów jest szczerość i pokazanie tego co zdaniem autorki było najbardziej własne. Z nich poznajemy rzeczywistość zesłańcą, marzenia i tęsknoty do wolności. Tak więc różnorodność materii faktograficznej to zasadnicza zaleta tych zapisków. Autorka wplata je w nurt swego zesłańczego życia i ukazuje szczęście oraz uczucia jakie towarzyszyły jej powrotowi do Polski. Bo faktycznie było to wydarzenie szczególne.

Warto na koniec wspomnieć o starannym wydaniu książki opatrzonej interesującym wstępem. Wygląda ona skromnie acz estetycznie, tekst dobrze zredagowany, materiał podzielony na części odnoszące się bezpośrednio do zdarzeń. Ponadto jej walory dokumentacyjne jawią się w postaci zdjęć oraz osobistych zapisków. Prosta, wszak dająca wiele do namysłu okładka, utrzymana w ciemnej tonacji, nie rozprasza, lecz kieruje uwagę ku chwilom, które dzięki tego typu publikacjom nie odejdą w zapomnienie.

Dla interesujących się tematyką sybirackich losów książka to bardzo ciekawa i godna polecenia. Podziękować należy Jadwidze Romańczyk, siostrze Wandy Pelc bowiem to dzięki jej staraniom publikacja została przygotowana do druku. Należy też mieć nadzieję, że książka ta zachęci sybiraków do spisywania wspomnień. Nie wyczerpawszy wątpliwości, że tak będzie, do rozważenia pozostaje kwestia ich adresata. Bez wątpienia stanowią one ważne źródło historyczne, a po drugie ukazują czas miniony znaczony zesłaniami na Sybir w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Z całą pewnością książka znajdzie należne jej miejsce wśród zesłańczych wspomnień. W żadnym wypadku nie idzie tu też o tworzenie martyrologicznych obrazów, lecz przeciwnie chodzi o pokazanie, że potrafiliśmy przetrwać trudny syberyjski los, by wrócić do Polski!

